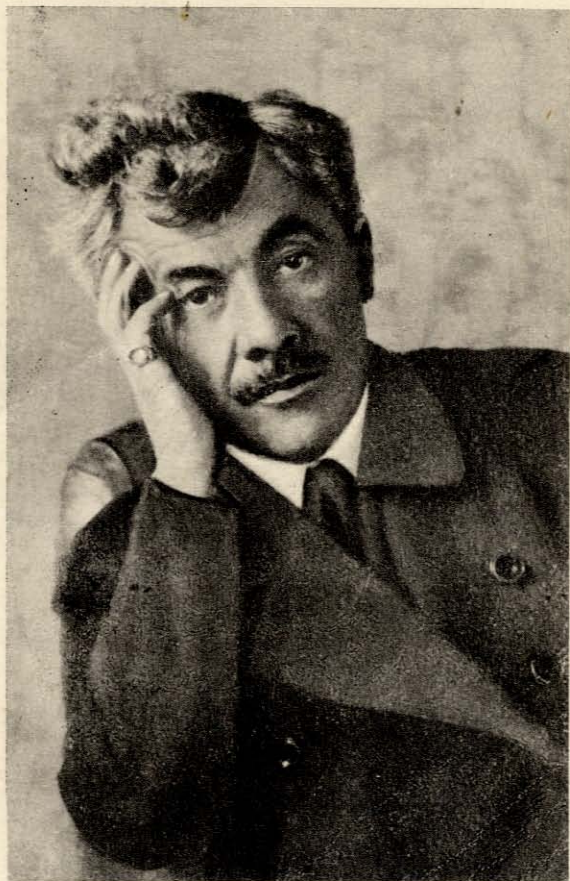




Zygm. Bartkiewicz

ZYGMUNT BARTKIEWICZ

TRZY OPOWIEŚCI —

HISTORIA JEDNEGO PODWÓRZA
ZŁE MIASTO

63



WARSZAWA 1930
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

Wyp. 02

ODBITO 5200 NUMEROWANYCH EGZEMP.



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0267056

Copyright by Dom Książki Polskiej Warsaw 1930
Prawa przedruków i przekładów zastrzeżone
Czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie

K-205/75/54468 p

JW. Pani

ZOFJI ROSSAK-SZCZUCKIEJ

w niewymownym hołdzie

HISTORJA JEDNEGO PODWÓRZA

I

Niemal to świat — stajnia, gdy budzi się w chłopcu do życia ochota.

Tam pierwsze młodego serca porywy i pierwsze bojowe marzenia, walki zawsze zwycięskiej obrazy, wykołysane w myśli młodzieńczej, aż do zdumienia żywe i barwne. I tuż pierwsze myśli o sławie. A niechże przytem i stangret dawny, wiekowy się zdarzy, który w życiu coś widział i przeżył, tedy bywa, że stajnia duszę poruszy, zanim jej dotknie urzędowo — nauka, władza niewątpliwie uroczysta, dostojna, z którą się liczyć należy, ale zawsze sercu to bliższe, co stary Walenty widział w powstanie.

Cóż to były za konie, jacy wtedy panowie, jaka moc w ręku, a w duszy wspaniałość! Często prosta, niezdarna opowieść, a już świat z bajki, w blaskach promienistych radości i barwy, rozśpiewany, kipiący w młodej myśli wiruje. Młode serce, aż wzbiera i ciasno mu i obco wśród ludzi szarych, smutnych, znękanych, jedną tylko żądzą korzyści przejętych.

Kłamstwo w nich i nuda, więc dalej, w najmilsze zaciszę, gdzie bez troski myśli, pełne dawnych czarów. Biegnie tu chłopiec, już znużony nauką, jakby zgasły chwilami, odżywa, a śniąc o tem, co było, za tych dawnych panów, chłonie w duszę wrażliwą polskiego dziecka ukochanie przeszłości, czego żadna na świecie nie nauczy szkoła.

Nieraz go tu stary stangret przed gniewem ojca, czy

poszukiwaniami służby zasłonił, gdzieś w kącie. Derę cisnął na niego.

— Hej, Walenty, czy niema tam w stajni panicza?

— Gdzie znowu? A cóżby w stajni panicz zaś robił.

I długo jeszcze stary coś zrzędził, skąd to ludziom przyjdzie do głowy, żeby w stajni szukać dziecka pańskiego, które albo gdzieś w sali, albo z „gubernantką“ w ogrodzie.

A potem garść tytoniu z ojcowego kantorka i wnet ją stary do płóciennego kapciucha przesypie, w ciemnej dłoni zważy, z wdzięczną lubością i pyta przyjaźnie, jak to człowiek bliski:

— Jakże? Upiekło się wczoraj?

— Upiekło...

A nieraz dobrotliwie przestrzega:

— Bo to sztuka czasem do razu. Jakby się zaś kiedy wydało, to i stary po łbie oberwie i panicza nie chybi. Nie chybi, bo pan ociec skory na rękę.

I w tem miejscu opowieść, jak to kiedyś przed laty, za jakieś wykroczenie stajenne...

— Ale nie bez winy kara, nie bez winy ona... Jak ta śmierć niechybna....

Czasem jednak trudno z nim się dogadać, bo uparty już bardzo, a nadto służbisty, przeto łatwiej o wiele rozumieją się dusze, gdy młody w stajni gospodarz. Wtedy jedna, bez miary, ochota dwie fantazje splata i jeszcze piękniej układa się życie. I niech tylko szepnie jakiś Franek, że jutro, już ci wiadomo co jutro.

Tedy, dodnia jeszcze, dery na szkapy i hajda! przez pola, rów nie rów, bagno, droga, bez drogi, czy las. Gdzie tłuką gałęzie, czasem czapka na ziemi, śmiech za nią, a nos we krwi, ale tuż pustka przestrzenna, więc w konie, co pary. Aż zaprze się w piersiach zdyszana ochota. Ale i strach chybką siądzie na ramieniu, że to z koni, zmęczeniem roz-

partych, spada piana w kawałach. Bliżej domu, wolniej i wolniej, a myśli rozgrzane, już chłodem przejęte, bo dbały o konie, a skory na rękę pan ojciec...

— Żle, Franek.

— Ta, jakoś... może ta jakoś...

Więc z koni i za ogrodem, tyłami, przez jakieś wądoły, bagno krzakami zarosłe, chyłkiem, pośpiesznie, ale z wielkiem przejęciem, bo już marzy się głowie dawna partyzancka robota.

Dalej jakiś przełaz w płocie tajemny, w mig szkapy do stajni. Już sianem do sucha wytarte drżącymi, w pośpiechu, rękami, a za chwilę głowa pracowicie schylona, nad książką:

Amo, amavi, amatum, amare.

Ale cwałem wspomnienia tej jazdy radosnej. I kiedyż to znowu mrugnie Franek przyjaźnie, że — jutro?

Albo cóż to miłszego, jak koni pławienie, kiedy to po dniu skwarnym, pod wieczór, oklep, naprzelaj do stawu. Ale i tutaj nauka, bo nie z każdego brzegu idzie koniom na zdrowie.

Dlaczego?

— A któż tam wiadomy dlaczego? Ojciec powiadał, żeby zawsze z wiatrem i żeby z brzegu, gdzie czysto, gdzie bez rzęsy woda, bo z tego świad idzie. I drugie, żeby nie znagła, boby go zatkało. Jak zaś koń wody łapą nie zmąci — niedobrze.

— Mądry twój ojciec.

— A bo to ociec kiedy je głupi?

Chwilę zamyślił się chłopiec i już mocno w duszę zapadło poszanowanie starszej mądrości. Bo żadna nauka, żadne — czcig ojca, nie ma tej władzy, co pamięć wspomnienia, że to Franek powiedział tego wieczora, kiedy konie pławili.

Czynność to dość prosta, nie wymagająca myślenia,

przeto pełna uroku. Ale trzymać należy się mocno, najlepiej za grzywę, bo gdy koń ruszy na głębiej, płynie wtedy susami. Łatwo może zostawić jeźdźca za sobą, ani obejrzy się za nim. Dobrze, dla odmiany, zesunąć się z grzbietu, byle chwycić oburącz za ogon, i tak koń wlecze przez wodę. Chrapie szybko i z mocą, jak parowa maszyna, a za nim tłucze się serce z radości i strachu, o czym się jednak nigdy nie mówi, bo wstyd to największy — mieć boja.

— A Poniatowski to się z koniem w rzece utopił. Słyszałeś?

— O, bo to jeden szkapę zmarnuje? Latoś Kuba z Pokrzywnicy ogiera...

I tak się gawędą zabawa przeplata, lecz trwa zwykle niedługo. Jeszcze tylko Franek pokaże, jak to pływają konie, przewalając się bokiem na fali, jeszcze raz, drugi da nura pod wodę, aż dziw skąd on to umie, gdy nagle powiew od zachodu podlecą, wnet lekkie drżenie wodę ogarnie i stanie na niej, jakby łuska srebrzysta. Jeszcze chwila, a płomień zachodu już sypie na ciemną, zamarłą płaszczyznę, skryte złote.

— Czas!

Z miejsca zakotłują na drodze koniska, już długi tuman za niemi.

Gdy zaś, z mokrych kadłubów para gorąca zadymą i żwawym stępem ku domowi ruszą, Franek spojrzy po czerwonym zachodzie.

— Idzie wiaterek na jutro.

I rad z siebie, rad pogodzie, jak życiu, gwarzy sobie rzeźko, co to znaczy każdy obłok wysoko, co opary nad łąką, co mgła zaraz z wieczora, a co na doświtku. Jaka to chmura wełnista, niby baranek, a gradowa jaka.

— Zaś są takie ludzie, co po listku poznają, jak się do wiatru obraca...

A potem co mówią gwiazdy.

Chłopiec słucha uważnie, jak żadnego wykładu, chłonie wiedzę pełną prostoty. Żal w nim wzbiera chwilami:

— Skąd on wie o tem wszystkim, skąd on to umie? I jakże ubogą mu się zdaje świadomość, ile traci na wadze ciało pogrążone w wodzie, do czego to komu Binom Newtona, czy suma jakichś kwadratów, kiedy wszystko, co w życiu doraźnie potrzebne, wie i rozumie całkiem nieuczony Franek.

A pływa niewątpliwie lepiej, niż sam Archimedes.

Ale, co już zrozumieć najtrudniej: poco nieregularne słowa, kiedy Franek mówi: — zatkało — i stokroć szerszy od wszystkich profesorów i uczniów.

Któżby jednak o tem myślał długo, ktoby troskał wiele, kiedy nie odmieni nic. Więc piętami po bokach, aż coś zagra w szkapie i zadudni droga.

* * *

Dawną pracą, z ciężkich rdzennych bierwion zbudowana stajnia już przeżyła wiele. Tu pod baczem okiem i opieką tkliwą starej dworskiej służby rosły w dzielne, nieraz sławne konie, dobrze urodzone żróbki. Czasem chmyz się z nich wyrodził, czasem bez krwi i bez rasy koń cnotliwy. I tu marły stare matki, na łaskawym chlebie.

Dawna stajnia, stara służba, łaska pańska — wszystko troje, co minęło, jak ten sen.

Dziś tu pusto, tak inaczej. Ani śladu życia dawnych gwarów, i tylko w półmrokach, kędy przez zasnutą okno szara światłość smugą przenika, skrzynia pod ścianą — ta sama, a na niej chłopiec, jak przed wiekiem, marzy.

I jakby widzi w myślach wzruszonych, jak to za pradziadków stały tu długim szeregiem czarne jak kruki, hiszpańskie dzianety, płowe fryzy karczyste, niepozorne estony, znamie-

nite kłusaki i, jakby złotymi iskrami znaczone, tureckie, zaś nad wszystkich ziem konie najcenniejsze araby. A w stajni, aż wrzało od ludzkiego gwaru i rżenia ogierów.

Nie dziw, gdy pan możny i górnej fantazji, całą fortunę poświęcił tej pasji szlachetnej i oddał jej serce. Świata poza koniem nie widział, tedy zgoła nie dojrzał, że źle się działo poza stajnią, w podwórzu, źle w polu i w lasach, a najgorzej na gumnie.

Zaś przyszedł zły czas porachunku i wraz, gdy między ludzi poszły ukochane koniska, pan zamknął oczy. Nic mu już było po życiu.

A potem z pokolenia najstarszy fortunę ratował. Tedy ze służby wielu oddalił, sprzedał spory kęs ziemi, oszczędności poczynił, w jednym chadzał, pan starosta, kontuszu, lecz z resztką koni, co z dawnych cugów zostały, rozstać się jednak nie zdołał.

Nawet już i liche to było, lecz między niemi sześć siwych, krwi wschodniej, pono z samej Arabji przywiezionych przez pana, do paradnej kolasy, a tak cudnie dobranych, że nie odróżnił człek obcy. Matka rodu — Fatyma, zaś ojciec — Szeik, biały, srebrzysty, ale skóry czarniawej.

I widzi chłopiec, jak panów szlachty barwna gromada, lita złotem, rzesista zeszła w podwórze i stanęła kupą, rozgorzałą w blasku czerwonych, złoto-żółtych, szafirowych i rudych hatłasów.

— Hej, stajnia! Dawaj tu Szeika! — właśnie ktoś huknął z kompanji.

Zakotłowało się w głębi, ale w mig cisza i już biały arab w ciemnych odrzwiach rozbłysnął. Masztalerz miękką ręką go wiedzie. Koń jakby z nim igra, łeb schylił w cudnem przegięciu, chwytą go za koszulę wargami i żdziebko się boczy, z nogi na nogę przegiba, na zadzie tańczy.

Tak idzie spory kęs drogi, aż przed panami bracią czło-

wiek przewiodł go półkolem, powodu sprawnie przykrócił, a koń zanim stanął, srebrem lite krzyże rozciągnął, na nogach szerzej się rozsunął. Łeb suchy wzniósł dumnie w górę i, chłonąc w czarne chrapy powietrze, aż krwią w nich zabłysnął, spojrzął po gromadzie kosem okiem wyniośle.

— A — aa!... — pół radością, pół żalem wśród panów rozjękło.

I nagle zarżał, jakby tchnieniem potężnem w utajone granie tęsknie miłosne uderzył, a ze stajni różnemi głosami, lecz tklivością jedną odezwały się matki.

Łbem targnął w tę stronę, aż chłopem obrócił i znowu jak posąg, choć widno, że w sobie dygotał.

Tedy z gromady wystąpił sam wojewoda Tęczyński, pierwszy znawca na konie. Na nogach się rozparł, białe ręce pierścieniami zdobne za pas ciemno-złoty, frendzlisty założył i patrzył długą chwilę w milczeniu, po łbie suchym, maleńkim, gdzie oczy czarne, wypukłe tajnym ogniem gorzały, a wyżej, jak półksiężycy, dwa maleńkie uszka, niby czujna straż.

I patrzył długo pan wojewoda na szyję białą, falistą, osadzoną w barkach szerokich, rozwartych, kłębem wysokim zamkniętą, skąd biegł krzyż srebrną smugą, gdzie zad opoczysty, krągły, ciemnymi jabłkami wyraziście znaczony i ogon u nasady dziany, dalej falujący, zwiewny.

I znowu wzrok miłościwy zwrócił ku głowie.

Tak trwał w zamyśleniu, a któżby nie widział, że się koniem lubuje, zaś któżby nie odczuł, że przywary szuka. Lecz snadź jej nie znalazł, bo słowa nie wyrzekł, tylko od uroku splunął nieznacznie.

Zaś chłopu dukata za dobre staranie, a ów za czerwone cholewy pana uściskał. I aż mu oczy rozbłyły, bo takiego konia, jako żyw, jeszcze nie widział, któremu by nie przyganił wojewoda jegomość.

Zaczem inne wiedli ze stajni. Wojewoda wnet pochodzenie rozpoznał, a choć wszystko krwi godnej dziezice, czasem się skrzywił, jakby smaku zażył przykrego, czasem spojrział ledwo, rzekł krótko: — gałgan — choć złoty kasztan miał w grzywę wplecione amulety sultańskie, znak dostojęństwa rodu, i aż palił się w słońcu barwą złocistą. Niby ów człowiek pięknego pozoru: wszystkich honorów dystynkcje na piersiach, a zaś w sercu — próchno.

Tandem, w końcu pańskiej zabawy siadł młody pan starościc na tureckiego bachmata nie byle, bo z pod baszy pono, a choć koń żartki rwał się do skoku, miękką ręką go zażył, aż cuglom giętki kark poddał i stępią ruszył powolny, jak to dobry nakazuje obyczaj.

Zaś w krótkim klusie go zebrał, obrócił i kręgiem zatoczył, a w takt kroku końskiego na nim się chybał, jakby jedno był z koniem. I wnet go poznali, że choć włoskich sztuk nie dokazał, ale jeździec był prawy.

Rozgorzała w nim jednak kawalerska ochota, tedy nagle turkiem posunął i cisnął go skokiem przez wóz dworski, pobok panów stojący, w mig konia podniósł na cuglach, obrócił i z powrotem to samo i znów krokiem, ze trzy staja.

Wraz, jakby mocniej go przysiadł, rzucił krótkimi susami, nagle przychylił się zlekka, a koń jako strzała zerwana z cięciwy...

Przepadli gdzieś w pyle. Ale zanim tuman nawisły horyzonty odsłonił, już ode drogi bachmat rozgrzany, lecz posłuszny tańczy, a na nim starościc w takt kroku się chyba, jakby jedno był z koniem.

Bliżej środka, w podwórzcu, podjechał, zesunął się z siodła i zwolnił popręgów.

Zaczem panowie bracia, pogwarzając wesoło, szli na pokoje.

Zaś nagle pytał pan wojewoda:

— Wielebyś też ceniał waszmość owego bachmata? Dałbym tysiąc czerwonych.

I dodał:

— Pro bono Patriae.

— Anibym ceniał, ani chciał go przedawać — odrzekł z naciskiem starosta, jakby zamknął rozmowę, lecz wnet już magnat czuł się urażonym:

— Tedy cale nie do rzeczy czynisz, boć widzę, żeś gorsza potrzebny, gdy stodoła oto się wali, a stajnia, jakby gospodarza nie miała.

Zmieszał się ździebko starosta, a choć miał w myśli cios zwrotny, zachował go w sobie, do innej okazji i, jakby na przykre słowo nie zwrócił uwagi.

Trwali chwilę w milczeniu, aż znowu pan podjął:

— Owóż nie siebie miałem na myśli, ale oto ksiązę pan w Austrii, służąc Ojczyźnie, a nie szczędząc zdrowia, całkiem z koni się wydarł. Dwa liche podjezdki ma wszystkiego na stajni, jako sam u niego widziałem. A że to dzisiaj dobry koń trudny, więc, znając afekt waćpana dla księcia, myślałem...

— Że ja konia sprzedam z afektu, a waszmość go księciu darujesz.

A ktoś szepnął z kompanji:

— Z zarobkiem.

— Ano, waść sprzedasz, a ja podaruję, boć nie może być chyba przeciwnie... — rzekł pan wojewoda z uśmiechem.

— Dlaczego?

— Dlatego, że ja nie mam dość godnego konia na stajni, a waćpan...

Tu spojrział po wytartym kontusiku starosty.

— A waćpan masz, pono, ważniejsze potrzeby, że tak powiem — bliższe.

Przeknął starosta, lecz że w nim pychy nie było, przyznał w duchu słuszość, zwłaszcza, że nigdy nie był w takich opalach. Lecz jednocześnie nie mógł darować owej, zgoła nie pańskiej, nagłości wglądania w cudze sprawy, często drażliwe.

Lecz milczał, a i tamci w cichości szli dalej. Wojewoda szeroko, rzęsiście, rad z siebie, pan wyniosły, wspaniały, blaskami barwy i złota mieniący, niby ów bażant królewski, zaś pobok dreptał starosta w burym kontusiku dropiatym, a że przytem zwinny, choć drobny, tak właśnie wyglądał, jak ow kobuz — niepozorna ptaszyna, ale jastrzębiego rodu.

Gdy zaś doszli do dworu i już się w sobie całkiem uciśzył:

— Więc — ile? — od niechcienia zapytał.

Wnet go wojewoda ujął przyjaźnie pod ramię.

— Ano, jako się rzekło, kochany sąsiedzie. Dam tyśiąc... I — pięćdziesiąt na stajnię...

Pytająco spozierał mu w oczy, wahał się chwilę, po kompanji spojrział. I jakby tuza czerwienego położył:

— Petercymentu dam beczkę!

Wraz otoczyli kołem starostę i jęli przekładać. Ktoś go już ciągnął na stronę i szeptał poufnie, a w gorącym pośpiechu:

— Toć, bracie, fortuna... Spłacisz sumę zastawną. Ja ci sprzedam charta po Lotce... Stodoła... A koń tego, uważasz, trochę bokami... Nie bądź głupi, uważasz, fortuna! To ci mówi Nowicki...

Tedy przerwał, rzekł krótko:

— Rozważę do jutra.

Zaś pan się frasował, bo czyż to nie lepiej od ręki, i jął

znowu nalegać, aż bezmała prosić, lecz próżno, bo nic nie odmienił w terminie.

— Do jutra odpowiedź.

Najgorzej, że czem zapisać nie było. Sumitował się wielce gospodarz.

Rozjechali się goście, zaś starosta kazał na jutro dwom zaufanym pacholkom zbierać się do drogi i siadł na noc pismo koncypować do J. O. książęcia.

A szło mu dość sporo, że oto taki splendor z Woli Opatrznej, spłynął na niego, że, szczęśliwy może przesłać bachmata krwi najzacniejszej, jak ta zasługa. Zaczem z Aleksandrem Macedończykiem foremne porównanie księcia, tudzież Alcybiades, Ksenofont, Perykles, *et caetera*, *caetera*, a wszystko w słowach wielce ozdobnych, zaś w miarę uczonych.

I to jeszcze tam było, że konia za nicby nikomu nie sprzedał, ale niechce darem zuchwałym cnót subtelności urazić.

W zakończeniu, *a capite*, odpowiednie wyrazy, podkreślone powinny respektem i najwyższą estymą sługi i podnóżka, zaś podpis suty, węzłasty, poczem pan starosta, rad z siebie, odsapnął, zdjął sygnet herbowy i pismo lakował.

A już na doświtku kreślił list krótki, ale z tem zamierzeniem, aby w nim każde słowo ważyło:

„Jaśnie Wielmożny Mości Wojewodo,

Dobrodzieju mój Osobliwszy, a sercu miły Panie i Bracie!

Znęcony szlachetną Jego intencją, a w łatwej okazyi szukając sposobu do przyczynienia się, wedle skromnej możności, *pro bono Patriae*, choćby czynem ubogim, pozwoliłem sobie dziś rano wysłać J. O. Księciu, wyróżnionego miłościwym gustem bachmata, czyniąc to w zrozumieniu, że takim sposobem ukon-

tentuję subtelne życzenia J. W. Wojewody, Pana mojego i Dobrodzieja.

Wszakże zaś, abym w swoich afektach nie był tak odgadnionym, że szukam łatwych widoków, promocji, czy wogóle względów należnych godniejszym, a przeto, w skutku, łącno przez J. O. Księcia o skryte zamiary, albowi też o nieprzystojną zuchwałość mógł być pomówiony, — złożyłem Mu prośbę takową, aby sumę szacunku — tysiąc pięćdziesiąt zł. czerw. Nr. 1050, polecił przesłać, *ad maiorem Dei gloriam*, do parafji dóbr J. W. Wojewody i Dobrodzieja, kędy przez Jego działów fundowany kościółek, dla wielkiego zniszczenia i ubóstwa parafjan rychlejszej wymaga opieki, niżli moja chudopacholska stodoła“.

Zaczem z rewerencją należną służby powolne nadal miłościwej pamięci powierzał i już szedł żwawo w podwórze, aby zdać służbie listy i pańskim okiem dojrzeć ekspedycji.

* * *

Dawno przed laty, jak starzy powiadali ludzie, a ci znowu od ojców wiedzieli, ład tu był zgoła odmienny, całkiem niedzisiejszy życia porządek, a tak się zdawało, że nie tylko w człowieku, ale w każdym stworzeniu grała inna ochota. Lecz i nie dziw, gdy majątek był pański, rozległy, szczerze żywiący, a nie chuda fara dzisiejsza, gdzie i człowiek i koń zwiędłej fantazji, tylko w pracy, dla pracy żyjący.

Przed laty, powiadali, bory ciemne tu szumiały wokoło, pod nimi łąka się stała, bliżej ornej roli łany, dwór na zbożu falistym, u rzeki, a przy nim koliskiem zabudowań zamknięte podwórze. Spory spłach ziemi, co dziś stałby za fortunę, niejednemu radością szary żywot ozłocił.

Lecz dawniej nie za wiele liczyła się ziemia, a gdy z jednej strony dwór stanął, tyle szlachcic na obejście przeznaczył, ile okiem ogarnął i jak głosem dohuknął, a że widział daleko, a głos miał jak wichra, tedy i szeroko i długo legł dawny podwórzec. Póki ludzie nie przyszli, co gorzej widzieli i krótszego oddechu, a że słabsi na zdrowiu, więc chciwi, tedy ziemię dziś mierzą na łokcie.

Owóz dwór stał na wzgórzu i, jak dawny obyczaj, do słońca. Dach na nim jak czapa nawisły, a niżej ciemne przysiadłe podsienia, białymi kolumnami zamknięte, jak to zwykle dawna, szlachecka siedziba, byle jeszcze jej dodać późniejsze alkierzyki, bokówki, rozmaite wiekiem i kształtem, tulące się, jak dzieci różnego rodzaju, do przybranej matki.

Park stary, za dworem, gdzie wśród flory rozlicznej, a nawet zamorskiej — piękne *rosarium*, skąd szpaler ciemny, grabowy do wód jasnych prowadził. Zaś od czoła, dla miłego prospektu, wielka drzew kępa, z cudzoziemska kłombem nazwana, a snadź przez niegłupiego człowieka utworzona tak zmyślnie, że różnolistna krzewina z drzewami w foremne skupisko się zwarła, nie tamując oczom lubego widoku, a sobie przestrzeni i słońca.

Więc bokami, co najniższe, a kwiatami bogate, rozliczne tawuły, z wiciokrzewem splecione; za niemi już co nieco wyższe świdwy pstrolistne, pobok z berberyssem, a głębiej, z jaśminami szczerzenice, lilaki. Jakby sobie siadły u kępy dziwnie pokrzywionych brzostów, skąd włoskie topole wybiegły strzelisto, gdzieniegdzie już przyschłe, polską zimą zmorzone, ale któżby im ujął uroku, gdy w ciemni listowia i martwych konarów, ukrywały blady, pożółkły Matki Bożej posąg, opleciony w bluszcze — zbożny twór ducha.

Zajazd jasnym koliskiem wokoło.

Biegły tu po nim czwórki swobodnie, a nawet poszostną landarą biskupią człek sprawny obrócił, nie tykają białych

kamieni, co gęsto granicę znaczyły, jako że wszędzie znak jakiś porządku i prawa. Tedy i przy wjeździe brama, na filarach zamczysta, przy niej hajduk dniem, nocą na służbie, obok dzwon spiżowy, pod daszkiem, od nagłości zdarzenia, a dalej, tuż koło dworu przy drodze od pola, słup ociosany, gdzie były dwa kolca do wiązania koni: jedno szlacheckie, a zaś kmiecie drugie.

Tuż pod nim, jako że miejsce przy drodze ruchliwe, więc dozoru potrzebne, zawsze piesków gromada, rozumiejąca dobrze bieg życia w pańskim obejściu, kędy poza konnym posłańcem z sąsiedztwa, czy samym panem sąsiadem niezadko i bezdomny włóczęga szukał łatwego pożytku. Czasem malarz-wędrownik kudłaty, człek fachu łatwego i łatwego sumienia; czasem Cygan szukający kowalskiej roboty — koniokrad, albo ubogi Żydowin po skórę, czy też Węgier przemyślny z towarem, bo czyż to mało różnych procederników po świecie, pragnących się pożywić u dworu, a przeto zawsze z pieskami w żwawym zatargu.

Ależ i tutaj pewien regulamin panował, jako że rej wiódł w gromadzie psich rezydentów, wyżej drogiaty, rasowiec, za jakieś przestępstwo oddalony z pola, przeniesiony do dworu, gdzie wnet się naczelnikiem psiej służby mianował — łgarz stary i kręta.

Wiele z ludźmi obcował, więc znał się na ludziach:

Czasem na przybysza tylko szczechnął półgębkiem, czasem ogonem zakiwał przyjaźnie, choć nieznamy się zjawił, zaś czasem takie larum podniósł w gromadzie, że aż zawyły psy gończe, w zamknięciu przy stajni i biegał psiarczyk z harapem, aby jakąś nieraz Bogu ducha winną ofiarę przed szkodą na zdrowiu zasłonił. Wtedy stary wyga gdzieś w krzaki, chyłkiem, umykał, a zaciętrzewiona młodź nieopatrzna brała srogie ciągi po skórach rasowych, czy grubszego gatunku, bez uwagi zgoła, kto tam kogo rodził.

Bywało, że psy podrażnione długo w noc uciszyć się nie mogły, zwłaszcza zamknięte, więcej wrażliwe ogary, a że to psie niepokoję, czy smutki udzielają się łatwo, tedy nieraz za pańską psiarnią podnosiły wrzawę i chłopskie, po zagrodach, kundysy i trwał lament w całej wsi aż do rana. Lud przerażony żegnał się wtedy pobożnie, zaś człowiek chory czekał rychłego skona.

Takiej to nocy żalosnej, powiadali ludzie, przyszło pod złą wróżbą zdarzenie, że pani właśnie urodziła syna i trwała w ciężkim, z niemocą zmaganiu.

Aż się zrazu zamroczył pan ojciec, ale że to jejmość już bardzo miłował, a wśród ówczesnych panów szybka była decyzja, kazał strzelcom wszystkie psy wybić. Ale, choć twardy był człowiek, pono łzami się zalał. Sporzej mu było pchnąć siebie w serce.

Poszeptali ludzie; ktoś go pytał błąd, roztrzęsiony w trwodze:

— Jaśnie panie... Wszystkie?...

— Powiedziałem, chamiel!

Nikt się więcej dowiadywać nie chciał, i tak się stało, jako rozkazał.

Trwały huki do białego rana, padła z kundysami cała zarodowa psiarnia: cztery smycze chartów, pono wielkiej ceny i ogarów sfor dwanaście — jak to w raptularzu, dla porządku, pod numerem, dnia takiego i takiego *pro memoria*, podstarości zaraz wpisał. *In titulo*: Z rozkazania jegości.

Jakoż matce było lepiej, zaś pan ojciec wyrozumiał, że się pozbył złego *fatum* w porę. Lecz nie przemógł aprehensji, sam rozchorzał. Wraz krew kazał puszczać sobie, bity dysponował psiarzom za jakoweś dawne winy, co pomogło mało wiele, lecz już nie chciał, ani widzieć psa przy dworze.

Ale gdzieżby zaś dom polski obył się bez tego. Wnet gdzieś, z bezpiecznego kąta, wylazł stary wyżeł i samotny zwalił się pod słupem. Wnet przybłąda kudłacz bury, ostrouchy, przejrzał wszystkie kąty, w kuchni sobie dość podobiał — został; po nim bezimienny kulas, z przetrąconą nogą, tu się goił, jakoś i owczarek kusy, podpalany właśnie zmienił służbę, dwa gończaki ktoś darował panu... Zakipiało dawne życie.

W czas niedługi zżyły się ze sobą pieski. Zrazu coś tam bródził kusy, podpalany, bez respektu obszczekiwał szlachcę, jakby ład odwieczny chciał odmienić, aż go chłop z harapem puścił w taniec. Przy okazji żwawe pieski natargały z niego kudłów, — krótki dyskurs, złota zgoda.

* * *

Tedy rychłą wiosną, pan starosta nową psiarnię już fundował, lecz jakby chciał dawną gorącość okupić, w podwójnej miał pieczy owych różnomastnych, bezrodnych włóczęgów, co w beztroskiej sytości pławili się w słońcu, przed gankiem.

Wybrani, jak ci ludzie, którzy dziś tu, jutro gdzieindziej dobrych losów szukają, aż znajdują. Czasem jednak szczęście dobrych drodze. Niejeden ominie, a wprost trafi drugi.

Tylko kusy owczarek czuł się, nie na miejscu, snadź prócz żołądka miał jeszcze serce — dwa licha, i tęsknił. Tęsknił za polem, za krowiną i chłopską zagrodą, gdzie gospodaruje kusy, sam jeden w podwórzu.

Jakoż dobrotliwe losy sprowadziły i dla niego odmianę, wszakże przedtem przeżył osobliwszą przygodę, co raz jeszcze świadczy, że byle w sercu pragnienie szczere, a wytrwałe, zawsze tak jakoś życie się uplecie, albo nagłość wypadku przydarzy, że się wnet dola w ową upragnioną stronę obróci.

Trzeba umieć chcieć — umieją to ludzie, ale pies tylko tęskni, zdany na przygodę losu.

Owóż, co dnia, o jednej godzinie szedł tu stary człowiek z kosturem — Krzywda, pastuch, na obiad, do kuchni czeladnej. Zawsze pełen żalostnej pokory, jakby cienia własnego się lękał w tem pańskim obejściu, nie bez trwogi dwór mijał, gdzie w jednym miejscu niezmiennie, u słupów podszienia zrudziałe czapczysko z siwej głowy zdejmował, szedł tak z pół staja, zanim z ulgą odetchnął.

Pies znał go już po tym ruchu, a z twarzy, czy też z woni dość silnej, swoistej wyczuł w nim bliskiego człowieka i zrazu przywiązał, jako że miał w charakterze równie nagłość afektu, jak wstręt.

O południu wyczekiwał go z drogi i wiódł za nim przyjaznemi oczyma, a że i on kusego pieska, z gromady pańskich darmozjadów, wyróżnił, witając spojrzeniem łaskawem zdaleka, byli więc sobie radzi wzajemnie, na tej służbie u dworu.

I tak trwała przyjaźń niemowna przez lato, a trwać mogłaby długo, bo pies się już osiedził, a pastuch, od chłopców w oborze, nie chciał gdzieindziej umierać.

Jednak już gdzieś zważyły się losy i przyszła odmiana. Jakoś pod jesień, o niezwyklej godzinie, chłop pod dworem się zjawił, zafrasowany był wielce i do siebie coś prawił. Rozglądał się wokoło, jakby szukał duszy pokrewnej, którejby się zwierzył z jakiejś dławiącej zgryzoty.

Ale, że to nie miał takiej duszy nie tylko tu, ale nigdzie, nagle podszedł do pieska i garścią twardą, chropawą gładki, lśniący łepok pogłodził. Gdy zaś spojrzał w oczy wdzięczne, rozumne, w których drżało tkliwe pytanie, szepnął żałośnie:

— A to... Buhaj, graniaty dzisiak, na żerdzi... wątpia se przebił.

I łzami zachlipał. Nagle oprzytomniał, mąt spędził

z myśli i ruszył żwawo w podwórze meldować włodarzowi wypadek. Nie bez trwogi w sercu, bo pański zausznik, chłop z krwi i z kości, katem był dla chłopca.

Gdy zaś po długiej chwili stamtąd powrócił, już jak do zaufanego przyjaciela ruszył ku niemu owczarek i, zwiając krzyżem, poszczeniwał szczęśliwy, jakby go pytał: — Jakże ci, jakże?

Tedy Krzywda siadł na kamieniu, pod samym gankiem zuchwale i pieska do siebie przygarnął, długą chwilę krwią spluwał i obroczone płowe wąsiska ocierał, potem nos wytarł rzęsicie, jeszcze coś długo smakował, aż splunął.

— No, pódzi ze mną. Poszukamy se służby.

Piesek żwawo za nim poskoczył i już splotła się dola Krzywdy-pastucha z kusą, psią dolą do zgonu.

Takby się zdawało, aliści nagle psa zabrakło panu, pchnął konnych kilku, jakby na obławę, a pod wieczór rozdygotanego chłopca przywieźli.

Rozłożyli go wnetki w stodole, wziął srogie baty.

Lecz pan się przewiedział, że to już raz był pokarany całkiem niewinnie najwierniejszy sługa, więc serce w nim zmiękło i włodarz wziął cięgi z kolei, zaś chłopu pan wolę i chatę darował i pieska.

— Tyla dobra za kiepskie trzy zęby... Powidzta, narody!

A tu jeszcze i szczęście przyszło do niego, gdy choć wiekiem spóźniony, gospodynię sobie upatrzył i sprawił we-sele. Nie czekali przydługo na chłopaka do gęsi, a matka uprosiła u Boga dziewczuchę.

I tak chłopu los wypadł, z niczego.

Czas leci chyżo, ani spojrzysz za siebie. Dawni ludzie już się w groby pokładli i gasną owi — przeżyci, a w nowych jakby coraz mniej serca, jakby krew w nich wychłodziła. Rad stary, że już zeszedł na schyłki żywota, a młody, jak ziewnął, gdy się narodził, tak po dziś dzień ziewa już w życia zaraniu znudzony i smutny.

Aż ziewnie w ostatnią godzinę.

Tak przejdzie przez życie, o wiele dla bliskich zadługie, choć taki rozważny, pracowity, rozumny, a nade wszystko strzegący się wszelkich gorących porywów, których wprost nie rozumie, jak nieraz sprawy sobie nie zdaje z poziomej brzydoty chłodno przemyślanego czynu.

Dlatego zawsze taki smutny ten chłopiec wśród ludzi dzisiejszych, gdy w nim resztki, tej schedy, po dziadach — fantazji.

A choć go porwie swawola, myśl nieodmienna powróci, zapatrzona w dalekiej przeszłości obrazy. Jakby zasłuchana w muzykę gwarów minionych, kiedy to dziś grzmiały wiwaty, a jutro człowiek życie oddawał z tą samą ochotą, a za chwilę gorącą płacił niejeden, całem życiem dobrowolnej pokuty. I kiedy głupstwo pijane niosło, nieraz, dar wielkodusznie wspaniały, nawet czyn brzydki miewał gest pański, a rzadko się zdarzał, odarty z fantazji postęppek, tylko plugawy...

Szkoda cię, chłopcze, bo nie na życie radosne krwi gorącej dziedzictwo i długa tęsknota za tem, co było, a co dawno już roztrwonione, umarło.

* * *

Z ludźmi odmieniają się rzeczy. Nawet całe przestrzenie: lasy, wody i pola, jakby świat inny.

Zwolna ku odmianie chyliło się dumne podwórze, a tak się zdawało, że pod ziemię zapada. Już bez śladu zginęły wiekowe lamusy, świronki, imbary, stary dwór już wrósł w ziemię oknami i świeci pustką, na przestrzał, już beznadziejny, bo w krzyżu złamany.

Jakże się stało? Ano zwyczajnie: każdy nowy dziedzic rwał ziemię, żeby stare długi zapłacić, i nic nie budował, bo coraz mniej potrzeb miało obejście. Zaś z ziemią tak bywa, że póki w pierwotnej całości, jakoś całość się trzyma, a niechże tylko ktoś okroi dziedzictwo, wnet się rozpadnie, a rzadki ten człowiek, co zdoła zebrać zpowrotem, jak było.

Nieinaczej też w skutkach wypadło, gdy jął ratować puściznę pan starosta — pradziad i zrazu jakieś bez użytku smugi, na krańcach majątku, wyprzedał. Ale tuż lasu kawałek i splech ziemi ornej, dla foremności figury. Zaczem trwało niedługo i przyszła nowa konieczność, tedy już z większą łatwością, przeciął foremną figurę na dwoje, porówno, na czem kształt nic nie stracił. Ale zafrasował się trochę pan młody starościc, gdy przejął fortunę. Niby ów synal dobrze wyrosły, gdy w spadku kontusz otrzyma — za kusy, aby pańską szatę udawał.

Lecz się troskał niedługo, lekkiej zawsze był myśli, bawił się, pił, sprawiał szumne kuligi, gonił w polach wiatry, albo z chartami zające, że zaś lubił, dla oka, porządek, kazał dokładnie majątek wymierzyć. A gdy już barwista mapa dominjum w kancelarji wisiała, dumiał nad nią nieraz w noc późną, zapatrzony w malowany obraz, ślad dawnej świetności.

I pytał się w myśli już nieco wylęklej: coby tu, jakby i z czego? lecz obraz do niego — ni razu.

Tymczasem stukwały do dworu codzienne potrzeby, a myśl już dzwoniła na trwogę...

Aż odeszło go życie, przed czasem znużone, zaś dziedzic ostatni, z dawnych włości rodowych objął w spadku — podwórze.

Szare, zgasłe, zamarłe, kędy w pamiętliwych opłotkach, siwą pleśnią porośłych, tylko kury się snuły nastroszone, senne.

* * *

Rok za rokiem do wspomnień uciekał, a każde lato minione zdawało się lepsze.

Jesień życia podeszła.

Lecz nie dała nic z plonów, prócz doświadczenia rozumu i jednej w sercu tęsknoty:

— Żeby to raz jeszcze być młodym!

A tuż młodość patrzyła wielkimi oczami i dziwno jej było, za czem ojciec dziś tęskni, kiedy to życie takie jest smutne i, tak w niem wiele goryczy.

Całe szczęście w podwórzu: psy, kury, gołębie.

I te stare koniska na stajni, gdzie czasem wysuwa się trwożna rączyna, a na niej cukru kawałek, i wtedy w duszy tak wiele radości, że gniady jest dobry, bo wcale nie gryzie.

— Ale tyle razy mówiło się Zosi, żeby nie chodziła do stajni.

— Kiedy tam ogromnie jest miło.

I już w uniesieniu radosnem, z płonącemi zachwytem oczami, gdzie lada chwila lży błysną:

— Żeby mamusia wiedziała, że pod dachem w stajni jaskółki i mają już dzieci z dzióbkami. I kot tam przychodzi.... A te konie, to czasem tak krzyczą, jakby się śmiały, ale to one za swojemi rodzicami tak tęsknią. Ale czasem, to w stajni jest strasznie.

— Raz mówisz, że miło, potem znów strasznie. Sama nie wiesz, co pleciesz.

— A bo to Wicek... Wicek powiada, że tam pokutuje

duśa dawnego podwórza. Wicek, to on tam różne rzeczy widzi w tej stajni.

— A cóż on tam widzi, twój Wicek?

— A takie tam, różne... To szlachcice się biją, to znowu się bawią, to znów jak tam konie brykały, kiedy pan pradiadek tu mieszkał. Wtedy to było dopiero wesoło, mamusi?

— Nie, dziecko... To był Polski upadek, to były złe czasy.

— Ale teraz to znowu są dobre... — i zamyśla się dziecko, patrzy w życie uważnie, szuka w czym dobro, ale widzi smutki niezmiennie wokoło. Więc pragnie złemu zaradzić.

Po wieczornych modlitwach coś tam szepce gorąco.

— Cóż tam Zosiu jeszcze?

Choć za najskrytszą to swoją tajemnicę uważa, lecz przynaglona zwierza się, nieśmiało:

— Ja proszę... ja proszę, żeby wróciły dawne, złe czasy. Tatusz-by się trochę rozweselił może i wogóle...

— Taka duża dziewczynka i taka niemądra.

* * *

Wielkie łby hakowate pochylili ku ziemi i chwieją się na nogach zbolalych. Codzień wloką przez wyboje ulicy czarne, klekotliwe pudło, a w niem za mętną szybą siwy, pochylony człek stary, jedną tylko myślą zajęty: jak zdobyć majątek?

Sprawa dość łatwa, nawet jak życie poucza, dla najgłupszych dostępna, gdyby nie pewna trudność, jaką sobie stawil na drodze: chciał odzyskać dawną fortunę, a nie tknąć, w niczem, czci dawnego imienia. Jak w bajce.

Dziwak był wogóle. Ale któż to nie znał w miasteczku starego, który ciągle coś roił, planował i szarpał resztki ubo-

gie na różne przedsięwzięcia, pomysły, z których zawsze wychodził tylko z całym honorem. Przeto od majątku był coraz dalszy.

— On ma głowę, jak rabin, ale do interesów zawsze był dziecko... — jak to o nim mawiali ludzie znający całą wiedzę tajemną szczęścia do handlu, tak rozumiejąc, że honor to był też towar, na którym zarabiano się dawniej. Ale dziś to on wcale nie idzie.

— Dlaczego?

Tedy krzywi się kupiec, jakby rozgryzł gorycz:

— Nie jest gatunek. A jak się gdzie trafi, to kto jemu uwierzy, że on jest dobry?

A wnet wciskał się w rozmowę i drugi:

— Un jest pan z całą gębą, poco jemu handlować? On wysoko patrzy.

Lecz w tem mylił się wielce, gdyż stary już całkiem przyziemny był człowiek, bez fantazji, jak się zdawało i, z ciężkiej pracy codziennej łuskający, z dnia na dzień, grosiwo. Ale jak bywa, gdy rodzic fortunę zmarnuje, a synowi zostawi w dziedzictwie tylko ochotę, miał stary przekazaną sobie przez ojców kosztowną namiętność, która nieraz, jak przekleństwo z za grobu, niosła mu częstą zgryzotę — miał stary ową żyłkę do koni, co niejedną fortunę wypila.

Lecz to pewna, że do grobu ległby z powrotem ojciec dobrodziej, gdyby spojrzal na owe gałgany, jakie stary zbierał po świecie. Był w nich tylko fantazja, przedewszystkiem niedroga, co trudno pogodzić, już szczęśliwy był stary.

Jednak bo czegoż to nie działa, jeśli szczerza, serdeczna ochota? Zawsze miał, czego pragnął: szkapy żartkie, ogniście, z owego gatunku, co to do ostatniego tchnienia kopytami skry krzesze, aż padnie na serce, jak piorunem rażony.

Właśnie w tym czasie miał dwie gniade kobyły, co oczy rwały za sobą, taki w nich wigor, kłus, wyrzut, odsada, byle

tylko nie przyglądać się zbliska. Byle nie spojrzeć w głąb ciemnej stajni, gdzie na obolałych, opuchłych nogach le-dwo że stoją. Łby zawsze drzemiące, uszy klapiaste i ob-wisłe wargi, skąd długie, żółte zębiska, a wiek na nich starty już dawno.

Obraz cierpień żalosny, ale tylko wsiąść na kobyłę, wnet jakby djabeł ślepie zapalił, całem wnętrzem zatargał, a szkapa w lansadach i wraz szczupakami sunie, trzymaj się bracie. Zaś rozkołysz się w klusie, jakby mocy niepo-żytej maszyna.

Oczywiście, że do szkap owych i stangret nie byle. Pi-jak, złodziej, i hardy, ale garść urodzona dō koni. Żaden tak z miejsca nie ruszył, żaden nie osadził tak końmi przed gankiem.

Bodaj, że z piątym był już powrotem, to znaczy, że cztery razy, co najmniej, stary go pobili, lecz Józef, ufny w swą władzę wobec pańskiej słabości, oto znowu się zja-wił, a z nim zapach żytnich fermentów.

— Proszę łaski śnie pana, melduję, że już wcale nie piję...

— Ale śmierdzisz gorzałą.

Więc do ręki panowej się schylił:

— To, musi, tak ciągnie z ubrania!... — i już siebie pewniejszy, wobec tak przyjaznego przyjęcia, mocniej sta-nął na nogach.

— Właśnie przyszedłem... — i znowu do ręki. — Wła-śnie, oto przyszedłem, bo widzę, że koniska przez żadnych chodów i bardzo już spadły.

— Spadły, boście wszyscy złodzieje!

Tedy, pewny serca pańskiego, już z niejaką tkliwością:

— Jaśnie panie, wiadomo. Ale toć i ta kura, przy owsie chodząca, zawdy coś dziobnie. Ale przecie ten rozum w czło-wieku, żeby nie skrzywdzić stworzenia...

— Rozum złodziejski: dać tyle, żeby nie zdechło.

— Rzeczywiście, że tak, bo już bardzo spadły ze ścierwa. Jeszcze trochę gawędy, wreszcie w końcu przestroga:

— Ale pamiętaj, jak się upijesz, to...

— Ni, ni, p-szę śnie pana. Ani w usta tego grzychu nie wezmę...

Poczem Józef od pierwszego się zjawił a, tchnący nie-zmiennym zapachem, meldował się pani, jak zwyczaj.

Spełnił kielich wódeczki, z wielką ochotą.

— A mówiłeś: nie pijesz.

— Z jaśnie pani ręców, nawet w śmiertelną godzinę.

— Ale to ci jeszcze chciałam powiedzieć, żeby w kuchni bałamuctwa nie było.

— P-sze śnie pani, na zapowiedzi już dałem.

— Już to słyszałam dwa razy.

— Sprawiedliwie, p-sze jaśnie. Trafila mi się, oto, dzie-wucha gospodarna, porządna, nie z miasta, więc oto... chcia-łem po bożemu, uczciwie... — jakby nieco wzruszony, cza-pkę w rękach obracał.

Zaczem po dawnemu kradł owies, z obowiązku upijał się w niedzielę, nazajutrz klin klinem, zaś każda służąca, do miasta czy ogrodu posłana, wracała zawsze po drodze, czy z drogi, przez stajnię.

Wnet się też zdarzyło, że Antosia, dziewczyna cicha, ro-botna, dbała i prędką, słowem skarb rzadki, dziękowała pani za służbę.

— Dlaczego? dlaczego? — aż wkońcu, przez łzy, z ust pobladytch zeszło wstydlive wyznanie.

Aż pani ręce załamała z żalu.

— Bój się Boga, dziewczyno! taka byłaś cnotliwa, a tu nagle taki wstyd w domu... grzech... hańba...

I długo, długo, jakby tu słowa mogły coś odmienić, aż wreszcie dziewczyna wyrzutami dojęta:

— Ja, proszę pani, tylko z prędkości.

— Jakto z prędkości?

— A tak, że mię pani posłała po masło, na duch, a tu ten chłop, zła krew: „dzisiaj panny nie puszczać“, powiada. A tu przecie pilno, tu goście i jakże przez masła...

I w zakłopotaniu żalosnem kręci węzeł z pasiastego fartucha, łzami go polewa rzęsiście, zasłaniając widome już skutki zgubnego pośpiechu.

Ale, ponoć, przed laty to samo bywało w podwórzu. I stajnia ta sama i ciche zaklęcia, szepty gorące, jak były, a potem łzy gorzkie niezmiennie na jej progu wylane. Tylko coraz to inna dziewczucha.

* * *

W krótkim, wojskowego kroju, drelichowym lajbiku, dobrze starganych spodnich łachmanach, skąd wylaniały się wielkie sekate nożyśka, siedł do studni po wodę serca Antosi wybraniec.

Klął i pomstował, tedy każde niemowne stworzenie w popłochu usuwało się z drogi. Stary Bryś do budy się wcisnął, siwy pysk złożył na progu i patrzył na codzienne zjawisko, jak chłop wiadro napełnił, a do strugi wody, co potoczyła się żwawo po oślizgłych kamieniach, już sunęły na szeroko rozpiętych skrzydłach gołębie. Zabłyśły barwy, rozmigotały blaski, a z wdziękiem pochylone główki poły się chłodem odrobiny świetlistej.

Ale wnet złoto-płowy samiec, jakby sobie coś nagle przypomniał, ogon jak wachlarz rozpostarł, sunął, już sadził, w krótkich susach sprężony, za srebrzysto-perłową kochanką. Chwilami przystawał, wynosił się nad nią, rozgoryczały w blasku i władczy, a z piersi wzdętej pragnieniem stał jej miłosne wezwania.

Lecz zachwycenie wnet pierzchnęło, bo od kuchni ukazała

się Franka w pośpiechu. Kiecka kraciasta, nad sinemi nogami wysoko zagięta, a z pod niej, ubłoconych strzępów, białe podołek.

Jednak widać jakieś dziwne uroki niosła w sobie i z sobą, bo w mig rozjaśniła twarz Józefową.

— Niechno wody naleje... — cisnęła mu krótko, odymając pełne, czerwone usta.

— Jabym pannie nawet wino słodkiego.

— Mnie tam wody trzeba, tymczasem.

— Dla ochłody — wody.

— Komu gorąco, niech se na łeb wyleje.

— Zła panna Frania.

— Pies będzie dobry.

— A cóż się ta stało?

— Co się stało? co stało? A to pranie, to szoruj, to znowu zmywki... Cholera! Łać wodę, bo rżnę wiadro i idę.

Nagłym ruchem spłoszone gołębie dach stajni obsiadły i poczęły się uganiania, swary, pieszczoty — cały świat spraw rozmaitych rzeszy skrzydlatej. I sunął, w tej chwili, złocisty zalotnik za perłową panienką. Wynosił się znowu i puszył, napierał, aż wreszcie za szczytowem okienkiem zmożona samiczka pochyliła się ku niemu z półmiłością, z półtrwogą. Wnet rozkołysały się nad nią skrzydła, już drżące w miłosnym zachwycie. I chwila, a zerwały się ptaki radosne, bijąc mocno lotami, jakby kto w ręce klaskał z uciechy.

Dwa, trzy kręgi w blaskach słonecznych i spadły na ciemną dachu płaszczyznę, w sam środek życia i wrzawy, lecz ich dwoje już w przytuleniu małżeńskim, ani wiedzą, co się dzieje wokoło.

Zlekka, pieściwie muska go dzióbkiem samiczka, to nagle odchodzi, aby całego ogarnąć oczami i dosyta ucieszyć, że taki wspaniały, a sama dumą przejęta, jakoby wyrosła, wy-

piękniła jeszcze. I wraz, w pełni blasków słonecznych, zwały się główki gołębie i poją rozkosz. Jakby po nią, gdzieś w głębi sięgają, i rozstały się ledwo, a już żadna pieszczoty do kochanka się tuli, przegina miłośnię.

Lecz on, jakby odął się zlekka i głowę usuwa. Bolesnie zdziwiona nalega; ani wie o tem, ani chce wiedzieć, że po chwili gorącej szczęścia miłosnych upojen przychodzi nieczułość. I w serce, uniesieniem porwane, zimnem słowem ugodzi:

— Ach, nie nudź... życie nie z samych pieszczot się składa.

Lecz bez słów i bez kłamstwa rwie się ptaków kochanie. Ale nigdy bez bólu. Jakże to nasępiła się w smutku samiczka, a tuż jakby ostry żal przejął serce, gdy tkliwy kochanek, tak dziwnie nieczuły, nagle w skrzydła uderzył, kołem zatoczył i opadł tuż obok złoto-rudej samicy, zatańcował przy niej, w zalotach. I już dmie się, i puszy, prochy przed nią ogonem zamiata, a z takim szczerym zapalem, jakby już świata nie widział tylko tę jedną nieczułą i chłodną, w koronie księżniczkę.

Jakby inny duch w niego wstąpił i całkiem odmienił owego mruka, co siedział przy żonie nadęty.

Tedy serce maleńkie złość nagle przejęła. W mgnieniu przy ciemno-lśniącej rywalce rozbłysła świetlana perelka. Cios jeden, drugi skrzydłami, a potem ostrym dziobem pod gardło, aż posypało się pierze rudej zalotnicy. I raz jeszcze skrzydłem naodlew, aż pomsty już syta ruszyła kroczeniem spiesznym do gołębnika: gdzieby tu gniazdo...

Bo jedna rada — rodzina. Każdy gołąb, gdy ojcem się stanie, wnet zmienia płochą niestałość na wierne śluby małżeńskie.

Wiedzą o tem wszystkie samice, zwłaszcza te starsze, co już niejedno na tym świecie widziały.

Czas przyszedł i legły dwa małe jajeczka w gnieździe zacisznem, pod krokwią stajennego poddasza.

Dniem ogrzewała je matka miłośnię, a nocą ojciec tulił u piersi, radosną dumą przejętej.

Zaś co dnia, wieczorem, ślaniała się pod stajnią blada, wynędniała Antośka, nasłuchując przyciszonych chichotów.

III

Z szaro-smutnej rudery, w młodej zieleni, co napierana przez moce wiosenne, ledwo wybiegła z pąków winnej łoziny i krętami zwojami nad wątłym ganeczkiem nawisła, wyszedł Wicek Zakrzewski — chłopiec strzelisty, a gibki, jak młody jesionek, gdy z gęstwy do słońca wychynie.

Spojrzał wokoło, po sporem, małomiejskiem podwórzu.

— Bekas! — i prętem po wysokich butach uderzył.

Głos jakby błdził chwilę, tu i owdzie echa obudził, aż celu dosięgnął, a z kąta obejścia, gdzie za stajnią płot stary chylił się w dawnej niemocy nad wiekowym śmietniskiem, odpowiedział mu poszczek krótki, radosny. I wraz łaciasty wyślak-podrostek, w niezdarnych podskokach, przez podwórze sunął. Gdy zaś poza węglem stajni, co płaszczyznę grodziła, chłopca zobaczył, już w pędzie dopadł do niego szczęśliwy, czterema łapami na piersi się cisnął, po twarzy mlasnął ozorem.

I znowu, znowu, choć ów się opędał, wykrzykując — waruj! i: — leżeć! — a najgroźniej: — tubo, czego sam nie rozumiał, ale psu wszystkie wzywania, w jakimś cudzoziemskim języku się zdały, tak się bez pamięci radował. Jak pies to potrafi, a człowiek tylko rozumie.

Nagle pręt świsnął i radość odmienił. Pies przypadł do ziemi, na krzyż się przewinał, zdawał się błagać i skarżyć wyrazem oczu, jeszcze dziecinnych, jeszcze powleczonech

mgłą siną, gdzie blaski szczęśliwe nagle zagasty, a zabiegał strach.

Tedy zwrócił się chłopiec dobrotliwie ku niemu:

— No...

W głosie grozy nie było. Bekas ruszył się żwawo, przysiadł na zadzie i łapą po cholewie buta posunął, przepraszał, zaś oczy szczenięce mówiły:

— Już nigdy... już nigdy.

I znów łapa, ale sięga już wyżej. I już druga zuchwalsza, ale wnet wynurzenia przerwane, bo oto przed oczami świat nowy: izba wielka, ciemnawa, na ścianach jakieś zeszcłębady, ziół wianki. W kącie zwalone rude żelaztwo, sznury, rzemienie, siodło wytarte, wór z owsem rozpękły, a tuż przesunęła się mysz. Bekas w mig za nią poskoczył.

Ale daremna ochota, gdy rozpoczyna się lekcja.

Ta pierwsza lekcja. Z własnych wspomnień życiowych Wicek dobrze tę chwilę pamięta, gdy szedł z sercem wzruszonym, a głowa marzyła o tej wiedzy dotąd tajonej, co wszystkie wątpliwości, wszystkie pytania milczeniem zbywane, czy odpowiedzi niejasne, wykrętne, nareszcie rozwiąże. Przedewszystkiem dreczącą tajemnicę wyjaśni:

Gdzie Pan Bóg, skąd dziecko?

I spotkał go zawód bolesny i — nuda; z udręczeń dzieciństwa najdotkliwsza — nuda.

Temci gorliwszy nauczyciel dziś z niego. Ufny w moc swojej władzy, zaś uczeń wierzący patrzy ciekawie co będzie, bo niewątpliwie coś będzie nowego.

I widzi, że ten dobry jego znajomy, najbliższy z całego podwórza, wydobył z kieszeni coś nieznanego i zbliska ku niemu podsuwa. Coś, co pachnie dosyć ciekawie, chłapnąć jednak pyskiem nie można, bo ręka ucieka i znowu, jakby go drażniąc, przybliża. Nagle ciska przedmiot opodal.

— *Apporte!*

Oczywiście pies poskoczył z ochotą, łapami uderzył, jął tarmosić pokusę.

Ale, niestety.

— Pójdź tu, do nogi!

Chłopiec łapkę zajęczą nie bez trudu z zaciśniętego pyska wydobył, pochwalił i znowu ją ciska, ale już dalej.

I znowu — do nogi! — choć radaby dusza pobawić się z łapką.

I znowu rozkaz surowy, ale w myśli już blask zrozumienia.

Jednak kilka razy z rzędu to samo... Bez żadnej odmiany. A tu właśnie mysz zapadła w żelaztwo. Któżby z martwą łapą się bawił, więc ją z zębów wypuścił, wpół drogi, i sunął.

Pręt świsnął i opadł, pies przewinął się na krzyż i patrzył oczy szczenięce, a już pełne żalosnej pokory:

Za co? Za co go biją?

Lecz nic nie pomogło, jako, że nauczyciel surowy nie pobrażał lenistwu, bo sam uczyć się nie chciał.

— *Apporte! Apporte!* kundlu próżniaku... — poczucie obowiązku w nim budził, ale pies, choć ton głosu surowy rozumiał, już całkiem zapomniał, o co chodzi Wickowi.

Ale tuż nowa nadeszła zgryzota, zaś o ile lekcja z łapką zajęczą nie była pozbawiona pewnych, choć nietrwałych uroków, o tyle przedmiot wprowadzony, już dawniej, do programu nauki zdawał się Bekasowi wprost przykrym, a pozbawionym nawet złudzeń radości. Od pierwszej chwili nie tylko najmniejszego zajęcia nie budził, lecz już samym dźwiękiem przerażał:

— Waruj!

Na tak twarde wezwanie, nie bez oporu ulegając sile, kładł się Bekas na ziemi, przy niezmiennem dążeniu do zajęcia już zdawna doświadczonej, a rozbrajającej pozycji

brzuchem do góry. Że to jednak o wręcz przeciwne położenie ciała, dla niewiadomych psu przyczyn, chodziło, wkońcu z przykrością i trwogą ulegał. Bo i nie mógł inaczej, gdy go silne ręce za skórę ciągnącą się, fałdzistą krótko ujęły, naginając w ten sposób, aby krzyż był równomiernie między zadniami łapami złożony. Lecz co najdotkliwsze, aby jednocześnie i głowa upokorzona przemocą, ściśle między przednimi kończynami przylegała do ziemi.

Może pozornie niezbyt trudnem to się zdawało, jak każda sprawa pozbawiona myśli, wszakże, z przyczyn nauczycielowi z kolei nieznanych, wszelkie jego wysiłki spotykały się stale z psim głuchym protestem. Bo oto, gdy po pracowitem ułożeniu warującej figury, zaledwie Wicek odechnął, wtedy zwolna, nieznacznie, jakby za jakimś niezmiennem wskazaniem podnosiła się głowa, a gdy ją czuwające ręce mocno znów przychyliły, krzyżyk, jakby bezwładny, osuwał się zwolna na stronę i tym sposobem psul się pracowicie stworzony, a tak ornamentacyjny całokształt.

Pręt wtedy spełniał bolesną swą czynność, gęsto sypały się przekleństwa z psim organizmem symbolicznie związane. I znowu łeb się zlekka unosił, patrzył z wyrzutem:

— I na co ta męka komu potrzebna?

Jak pyta się dziecko, już znękanę, smutne, gdy nad niem pani stara, cierpliwa, jak ból reumatyczny:

— Powtórz... Uważaj... Bądź grzeczny.

A tam, za oknem słońce śmiejące, ptaki, kwiaty, motyle i wolność, czar życia, bo nigdy świat się tak pięknym nie zdaje, jak podczas gdy lekcja, gdy w sercu żal głuchy, dla wiący.

— Powtórz... uważaj... Bądź grzeczny.

Ale pono tak trzeba, bo czego powolna nauka w młodej duszy nie sprawi, tego życie przemocą nauczy. Czasem łamie moce serdeczne, depcze wszystkie porywy, nieraz Bożą

łaskę talentów, aż sponiewiera, umęczy, a gdy jeszcze nie zmoże, wtedy głodny, ponury czas przyjdzie. Zapłacze rodzina i człowiek — waruje.

Łeb dumny na ziemi, a nad nim losu szyderstwo:

— Bądź grzeczny...

I zwolna się człowiek poddaje, co w nim boli — drętwieje, i już, ani czuje, jak życie układa, a rzadki ten, co nawet na mgnienie, nie nachyli karku.

Bywa, że i pies taki się zdarzy, do końca żywota nie rozumie, co — waruj, choć przecie tyle batów w młodości...

Bekas nie był z tego gatunku. Dziad, pradziad warował...

A skóra po dziadach — rasowa, więc czuła na baty.

* * *

Z jakąż to żywą uciechą poskoczył, gdy się już męki godzina spełniła. Zaś na podwórzu jakby osłupiał, nagle cisnęła nim radość wolności, rozpętała szaleństwo. Pędem, naoślep ogłupiały się rzucił i wkoło i wkoło, aż z nóg się zwałił ziejący, szczęśliwy.

Bo nie z samych udręczeń składa się życie; gdyby tak było, pies-by żyć nie chciał. A że tam człowiek często takie bytowanie bez blasków przeżywa, pies o tem nie myśli, wprost nie miałby czasu, gdy ziemia tyle uroków niesie przed oczy.

Tylko trzeba umieć w nie patrzeć, trzeba mieć serce do życia, a duszę otwartą dla słońca, wtedy troska radością się zmienia i wtedy smak w treści.

Podwórza świat mały, lecz aż kipi słoneczną, wiosenną ochotą nabiegły. Górą przestrzeń bezmierna szafirów, bliżej białe obłoki się kłębią, a tuż ponad głową dwa płatki barwiste, migotliwe, zwiewne — motyle w świetlistych bezkresach cieszą się słońcu.

Wnet za niemi psie oczy z ciekawością pobiegły i uważ-

nie je śledzą, a niewątpliwie jakaś myśl w mózgu pracuje, bo łeb namarszczył się srodze, może dociekaniem zajęty, czy to ruch tylko, czy życie.

Wtem nagle:

— Ciok-ciok!... — aż psem poderwało.

Ptak jakiś spadł z wysokości na drzewo i świergoce radośny. A ten świergot aż boli, w samo serce Bekasowe uderza, gdy zaś ptak nieco wyżej podleci, znów pryśnie, jakby to w mózgu się działo, gdzie życie skrzydlate trzepoce, po każdym włóknie tańcuje.

Lecz zwolna uspokaja się myśl podniecona i łeb już nie płonie, tylko z wielką uwagą za każdym ruchem, to w jedną, to w drugą stronę się chyli. I raz po raz w oczach mignie promienista ochota, żeby to bliżej, żeby się można z ptakiem, na podwórzu, pobawić.

Nie zanosi się na to, bo ptak ciągle daleki, ciągle jedno przekorne śle z wysokości pytanie:

— Ciok-ciok?

W odpowiedzi tylko pojękuje pysk zcicha, a z wargi, zębem przyciętej, już z nadmiaru wzruszenia cienka nić śliny się sączy.

Nagle coś klasło, jakby w ręce uderzył. Małeńki kłębuszek bez głosu spadł z drzewa. Raz i drugi zadrgały skrzydełka otworzyły się szerzej — zamarły.

Pies skoczył, nosem trupka posunął, odrzucił z niesmakiem. I słucha zdziwiony, czegoż to krzyczy zbliżający się panicz z flowerem, błądy bez życia Lalutek.

— A pódziesz! A pódziesz, ty zbóju, gałganie!

Śpiesznie podbiegł do drzewa, po ptaszka się schylił. Drobny był, szary, z plamą czerwoną na piersiach.

— Ach... makolągwa!... — jakby zawód go spotkał, jakby spodziewał się orła Lalutek. I rzucił.

— Pyf, Bekas!

Ale pies, już odchodząc, tylko spojrzął za siebie, niechętnie, wzgardliwie, jak to psy czasem umieją, i na swoim miejscu ciężko się zwałił. W ciepłych wiosennych promieniach już przeciągał się mile, oczy mrużył do słońca.

A na drzewo znów spadła małeńka ptaszyna i, jakby kogoś wzywała. Podleci, zaćwierka, umilknie. Rozgląda się wkoło, zniknie na chwilę i znowu powraca, i tęskni żałośnie. I znowu z gałęzi na gałąź, w podnieceniu, żywo. jakby w sercu małeńkiem jakiś wielki niepokój.

Pies głowę podniósł, ale już senny, poziewa, już nierad, że ciągle coś się tu dzieje w podwórzu, przeszkadza.

Jeszcze chwila, i łeb ciężki na łapy się schylił i już się coś tam psu śniło: ktoś goił, uciekał...

Sen czynny, jak żywot, co nie zna bezwładu.

* * *

Pod wieczór, z błogostanu, głos nauczyciela go zbudził. Znowu izba ta sama, mysz znowu przemknęła, uderzyło serce.

Ale głos twardy, surowy:

— *Apporte!*

Pies skoczył, zatrzymał się nagle i spojrzął ku panu z wyrzutem: — Ach, znowu ta łapka!... — i ziewnął, jak człowiek poziewa, gdy już przerwał krótką chwilę porywu.

— *Apporte!*

Niechętnie, półpyskiem ją podniósł, po drodze upuścił, i jakby nagłą zniewolony potrzebą, drapać się począł, postukując nogą.

Nauczyciel tymczasem zrozumiał, że przedmiot już nie budzi zajęcia, wyszedł na chwilę i powrócił ze skrzydłem, spuścizną po jakiejś białej kokoszce.

Wnet psu zaświeciły się oczy: począł wkoło tańcować,

chwilami przysiadł i prosił, aby mu rzucić ów przedmiot oczywiście przeznaczony dla niego. Nareszcie...

— *Apporte!*

Zanim zamknęły się usta, już dopadł, już doczuł smakowitych zapachów, lbem zaszamotał, jął skrzydło tarmosić.

— Do nogi!

I znowu i znowu w poskokach, pełen żaru ciekawości, czy tyle też smaku ten dziwny przedmiot zawiera, jak na to wygląda i pachnie. Aż rozmiłował się w skrzydle, w owym trzasku ponętym, który czuł pod zębami, w owym szczerze mięsnym zapachu i zawsze powabnej białości. Rozmiałował się także w treści swej pracy, gdy po każdym spełnionym rozkazie — pochwały i cukru kawałek.

I już z wielką ochotą spełniał zadanie: niezbadanym urokiem nęciło go skrzydło i całkiem nowe wrażenie sprawiał cukier, kruszący się w zębach, w smaku od innych smaków dziwnie odmienny.

Zaś do pojęcia swych obowiązków prostą drogą dochodził, nie rozumując po ludzku:

— Przyniosłem mu skrzydło, dał mi za to cukru kawałek.

Od nowych prądów myśli był także daleki:

— Cokolwiek dałby mi za to, dałby zawsze za mało.

W psim mózgu bowiem kojarzyły się tylko zjawiska przyczyn i skutków, a więc przeniesienie przedmiotu i wślad za tem coś, co w smaku jest miłe, a jako wrażenie całkiem odmiennie, niż przykrość, następująca zazwyczaj po wspinaniu się łapami na ludzi, lub harcach w kurzawie ogrodowej grzędę.

Skąd jasny już wniosek jaką iść drogą.

Niestety, wbrew wyraźnym wskazaniom życiowym, jakże często na manowce pies schodzi, a jeśli na nich słodycz się zdarzy — okupiona bólem... Jak często...

Zanim jednak w życiu nowe doświadczenia się zjawiają: psie smutki, rozmaite niedole i losu goryczy niezrozumiane przez ludzi, — tymczasem całkowicie życie wypełnia — *apporte!*

I oto, po zrozumieniu na czem obowiązek polega, czyn dotąd martwy pies łączy z duszą: z blaskiem oczu szczęśliwych, z wdziękiem tanecznym, gdy, dumnie potrząsając głową, białe skrzydło niesie. A choć rozstać się z niem zawsze jeszcze jest trudno, bo w głębi ciągle żywa serdeczna ochota — wytuzać, potargać na strzepy (jak to się czasem miłość rozumie), pies jednak już dobrze wie o tem, co wolno, co trzeba, a czego, niestety, nie wolno, a w czem właśnie żywota uroki.

Zwolna rozum bierze myśli w opiekę, nowe jakieś blaski lśnią w oczach — blaski szczęśliwe, które człowiek, u siebie, twórczą radością nazywa.

I gdyby nie — waruj!

* * *

I gdyby nie — waruj! czem nieodmiennie każda lekcja się kończy, jeszcze piękniejszym zdawałby się świat — wielkie podwórze, nad którym w słońcu kołują białe gołębie, a na ziemi co dnia, na każdym kroku jakieś nowe, ciekawość budzące zjawiska.

A choćby i dawniejsze, niezmiennie powaby, choćby i śmietnik, co już przewąchany do dna, a jednak codziennie jakąś niespodziankę niesie. Choćby i drzewo, po którym wczesnym rankiem wspina się kot, choćby i przełaz pod płotem, gdzie od czasu do czasu zjawia się jakiś psi łeb i zwolna cała postać wysuwa, nieśmiało rozgląda, pomachując kitką, a tuż Bekas spada jak burza.

A tam, obok stajni, za siatką drucianą — króliki.

Codzienną mękę tam Bekas przeżywa. Trwa całe go-

dziny bez ruchu i śledzi chciwemi oczyma; gdy zaś nagły strach ciśnie płochliwą gromadą, wtedy jakby serce za niemi oderwać się chciało. Gdzieś w głębi zakotłuje niepokój i spłynie głosem żalonym, lub w tęsknie bolesnym szczeku rozlegnie.

Wtedy ze stajni Józef-stangret wyłoni się nagle, cieniem złowieszczym pod ścianą przesunie i długim, świszczącym batem po krzyżu, po nogach...

— Aj-aa-aj! Aja-jaj! — aż kury z nad śmietnika głowy w zadziwieniu podniosą, a kogut, w zdumieniu, oburzy.

Nie bez troski jest życie, ale troska jak dym. Wnet się rozproszy a za nią znów słońce i znów — jakaś bolesna przygoda, jak to się właśnie, zaraz po lekcji, zdarzyło.

Od gromady odłączyła się kura, wielka biała kokoszka.

I szła sobie zwolna, niefrasobliwie, zawsze zrównowazona duchowo — jak kura. Lecz i zabiegliwa zawsze, to skubnie coś z ciekawości, to boczkiem się przyjrzy i nogą zamiecie, zerknie ku niebu, czy tam co nie spadnie, i znów tknie twardym dziobem. Zrzadka coś znajdzie, częściej medytuje nad czymś: — zjeść, nie zjeść, — ale przecie tam wszystko w tym żołądku się przyda, gdzie drobnym kamuszykiem jak w żarnach zboże się ściera.

Tak sobie wędrując jedną myślą zajęta, ani spostrzegła, że od śmietnika, chyłkiem, kogut się do niej wysunął. Biegł spory kęs drogi zapalczywy, groźny, aż u pragnień kresu, swą młodzieńczą nagłośnią, starą kokosz przeraził.

Lecz, gdy stwierdziła, że nic się przecie tak dalece ważnego nie stało, jak to się kogutom, zazwyczaj, w poczuciu męskiej pychy wydaje, tedy obruszywszy się zlekka, a bez przesady otrząsając z uścisku, strzepnęła, raz i drugi, skrzydłami.

Baczny Bekas, co opodał na kupie piasku, jak zwykle, legiwał i śledził co się dzieje w podwórzu, wnet na zdarze-

nie zwrócił uwagę; scenę małżeńską, jako zwykle zjawisko, pominął, ale zajęło go wielce białe skrzydło kokosze. Niewątpliwie to samo, które nosił w pysku tak często, a bliżej zapoznać się nie zdołał. Zapragnął, i wnet w sercu zbudziła się żądza, błyskawicą porwała ją myśl: jednym skokiem się zerwał, drugim dopadł kokoszki i paszczą namiętnie rozwarła sięgnął ledwie — ogona. Jak bywa, gdy ktoś zbyt zuchwale cudzych lotów zapragnie.

Szeroko posypało się pierze, pies splunął, ogłupiał. I patrzył żalony na kurę, co z rozczapierzonemi skrzydłami po podwórzu biegła, wzywając wprost niekurzym głosem: ra-ra-ratunku!

Wnet go fale powietrzne przez podwórze poniosły; ze śmietnika, w popłochu, rozbiegły się kury, z budy Bryś stary żałośnie zaszczekał, że bez niego się działo. Amor ze schodów się stoczył, z jazgotem, aż z kuchni Wikta wypadła, oczy przysłoniła od słońca.

— Cosik, musi, z kurą się stało.

Domysł zamienił się w pewność, gdy skrzywdzoną, na ogonie, kokoszkę spostrzegła. A pies przy niej krążył w uciesznych podskokach, poszczekując z przyjazną tęsknotą.

Nad pokrewnością tych zjawisk zadumała się chwilę i aż w ręce plasnęła dziewucha ze zgrozy.

— Chryste Panie, coś ty z kurą porobił? Poczekaj, poczekaj!

Bekas jednak ani wiedział do kogo Wikta się zwraca, a czekać nie miał zgoła ochoty, ni czasu. Żwawo w inną stronę poskoczył, przysiadł na przodzie, łbem trząsnął, gałgan jakiś z ziemi poderwał, podrzucił i znowu do niego, a z wielką uciechą, serdeczną ochotą, jak to bywa, gdy młodość śmieć byle rozplómenia w urok.

Niedługo, bo już z jakimś wiórem zeschłym zabawa.

Tymczasem Wikta bez tchu meldowała w pokoju:

— Bekas, p-sze pani, ogón kurze caluśki wytargał, ledwie ją odbroniła.

— Mój Boże! A której?

— Ady tej nieśnej, jajendotce, tej białej, p-sze pani. Krzyk taki, że nie wiem, więc letę na duch, a tu kursko ledwo już ledwo i przez ogona, aż wstyd. A przy niej ten Heród — zła krew. Odbroniłam ledwo, p-sze pani.

— Mój Boże! — a że to w domu trosk wielkich nie było, bardzo się pani matka zmartwiła, sposobności rada.

I z wyrzutami do syna:

— Twój Bekas...

— Ach, bo te kury!

Lecz trudno, stało się jednak bezprawie, należy się kara. Tedy Wicek z plecionym harapem i sercem żalosnem już szedł na podwórze.

— Bekas!

Pies żwawo od zabawy z wiórem poskoczył, u roześmianego pyska puch biały drżał jeszcze.

Ból nagły i jęk, pies na ziemię się zwinął, a harap, jak wąż jadowity, nad nim się ciska i kąsa, już z żarem bólu się splata, rwie pańską skórę.

— A nie rusz, kundlu... a nie rusz!

Pies już wyje z cierpienia, czołga się kręgiem, zmiłowania wzywa; nagle błysła przytomność, na grzbiet się przewinał.

— Zabij!

Uderzenie zawisło, bo ręka osłabła. Wicek z ulgą odechnął. Jeszcze głębiej Bekas i rozstali się z żalem wzajemnym, zaś w młody, zaledwie rozwijający się mózg ze skojarzenia zdarzeń ostatnich, jeszcze jedno doświadczenie zapadło:

— Nie wolno się bawić z wiórami.

Zaś Wicek ruszył gdzie kury, i sprął je harapem rze-
telnie.

Bo także był młody.

* * *

Pies zwolna się dźwignął, jakby z kąpieli, choć przygorącej nieco, otrząsnął, obszedł kołem, zdaleka miejsce niedawnej zabawy, tak rozumiejąc, że stamtąd wyszła zgryzota, i złożył ciało zbolale na zwykłym miejscu spoczynku i codziennych rozmyślań.

Łapę na łapę założył i z tą wielką powagą na łbie namarszczonym, jaką daje tylko przeżyte cierpienie, w świat spojrzał.

Coś, jakby mu zmierzchnęło, jakby zagnała przygasło w tem otoczeniu, gdzie jeszcze przed chwilą pełną falą niosło się życie, gdzie każde mgnienie dusznych porywów spalało się w niedościgłym pragnieniu lub czynie młodej ochoty, spełnionym radośnie, bez myśli, bez troski, co jutro przyniesie, wróg szczęścia — jutro.

I nic już w nim nietylko zapалу, ale nawet ciekawości nie budzi, wszystko jakby chłodne się zdaje, bez barwy, bez ruchu. Ot choćby i ptak, co na drzewie wysoko napuszony siedzi, dziś bez głosu, bez życia, nawet na ziemię nie spada, jak to się wczoraj zdarzyło. Obok ogrodowe sztachety, codzień te same. Wysokie i niezbyt wygodne, a choć rada jest na to, cóż z tego, kiedy dawno wiadomo, że tam chodzić nie wolno.

Właściwie to nic tam tak dalece ciekawego niema w ogrodzie. Zwłaszcza gdy ścieżką idzie człowiek z grabiami. Wiadomo, że to przedmiot dość przykry, przy bliższym poznaniu, gdy z psim krzyżem się zetknie.

Właśnie człowiek niemi przygraża za jakieś dawne, za-

pomniane przewiny, ale pies głowę obojętnie odwrócił, poszukując więcej zajmujących widoków.

Pustka. Tyle że Józef z wozowni czarne pudło wytoczył i wodą polewa. Bekas go bardzo nie lubi, ale jeszcze więcej obawia, przeto każdy ruch śledzi, jakoż i słusznie, bo gdy mu tam coś wody w wiaderku zostało, nagle spojrzał w psią stronę.

Choć dość oddalony, jednak dla wszelkiej pewności zwolna się dźwignął, ułożył bezpiecznie, a chłop aż się zaśmiał:

— Cie go... Drań mądry.

Bo tak mu się zawsze zdawało, że pies musi być głupszy od niego.

Dziwnie przykre pomysły miewa ten człowiek i zawsze je spełnia z radosnym uśmiechem. Bekas niejednokrotnie to stwierdził i łatwo doszedł do prawdy, że uśmiech u ludzi niektórych ma zawsze zawodne znaczenie. Z chwilą, gdy się zjawi na twarzy, jakaś krzywda czy ból idzie w ślad za nim.

A wogóle pewna odległość zawsze wskazana przy współżyciu z gatunkiem, co ma głos gruby i głośny, stąpa na długich nogach, obutych w twarde, bolesne buciska, i smugę niemiłego zapachu po sobie zostawia.

Niewątpliwie to człowiek niedobry, całe szczęście, że pies to zawsze odczuje.

I łeb jeszcze niżej pochylił, fałdy skóry się zbiegły, nad oczami zawisły, jak zawsze, gdy głowa trudne zagadnienie życiowe rozważa, a myśl rozpoczęta dalej się snuje:

Może nieco znośniejsza ta druga ludzka odmiana, co niewidoczne ma nogi, głos nie tak gruby, ale przenikliwy, ostry i dłużej o wiele trwający. I ciężkich butów nie nosi odmiana, posiłkuje się jednak rada każdym twardym przedmiotem, na odległość i zbliska, lubi także chlusnąć wodą go-

racą w psią stronę. A zapach niesie z sobą mdławą i rybny, o wiele mniej dotkliwy jednak, niż te dymne kłęby, co właśnie, z ponad głowy stangreta, w tę stronę suną wyraźnie.

Pies znowu się dźwignął i zwałił opodal, a ze zmianą miejsca myśl także w innym pobiegła kierunku.

I już z niepokojem łeb kasztanowaty, białą strzałką przecięty, w stronę kuchni się zwraca. Nasłuchuje dźwięków, po których czujne psie ucho poznaje co tam się dzieje w sprawie tak ważnej. Kiedy nareszcie drzwi otwierają wolniej niż zwykle, a na ganku trzy miski się stawia, aby jadło przestygło.

Ale jakoś nie słyhać, choć przecie pies nigdy się, co do czasu nie myli.

Już i Bryś stary z budy pysk siwy wysunął, pojękuje zcicha, a za chwilę pocznie żalosne szczekanie, już i Amor ze swej górki strażniczej po schodach się zsunął, zgłodniały po podwórzu myszkuje, już nawet i kury zdają się szukać, gdzie miski, skąd zawsze jakąś resztkę zabiegliwym dziobem wydzwonią, gdy wtem, na podwórze, nagle Psołka wypadła.

Nareszcie. Znak nieomylny, że obiad już niedaleki, bo kuchni faworyta zawsze pierwsza do miski.

Chybka i zwinna, jak piłka w ciągłych poskokach, tu się ciśnie, tam spadnie, a choć wielkie podwórze, tak się wydaje, że wszędzie kształt biały; tylko błysnie, znów zginie, aż na drugim końcu w jednym mgnieniu się zjawi.

A wszędzie jakaś przykrość, czy zamęt jej śladem. Tu w gromadę kur wpadła, aż kogut w górę podskoczył i rozkrzyczały się, rozbiegły obrażone kokoszki, tam już szczeknęła u budy śpiącemu „dzień dobry“, do gołębi dopadła, odbiła się za nimi wysoko, już zakotłowała na środku za krótkim ogonkiem, i już do Bekasa. Na przednich łapach z wdziękiem zalotnym przegięta.

— Bawisz się ze mną?

Obróciła się, jak fryga, i znowu:

— Bawisz się ze mną?

Lecz ów zlekka wzniosł wargi i warknął przez zęby:

— Idź do diabła, bom głodny... — i oczy odwrócił, nie czuły.

— Ach! To to tak... Tak, tak, tak-tak... — zaszczekała mu w samo ucho zjadliwie i już w całym pędzie cisnęła się nagle czterema łapami na siatkę, gdzie w trwodze rozbiegły się króliki.

Tu chwilę dłużej: jakby nagłym szalem porwana, pazurami za druty, pyskiem za ramę, ale żadnych widoków, więc w pośpiechu naszczekała im obelg, i już w rogu podwórza tylko czarna łątka na krzyżu mignęła pod bramą, a wnet od ulicy, wraz ze złośliwym jazgotem, biegł głos rozpaczliwy:

— A pudzias!... a pudzias!

Głos urywany, nerwowy, równie świadczący o strachu, jak o przynależności do tego gatunku, co boi się — „za psa“.

Bekas uszy nastawił. Już sunął w tę stronę, boć miła okazja, ale tejże chwili od kuchni coś dzwignęło.

— Raz... dwa... trzy... Trzy miski ktoś stawia na ganku. Nareszcie... Więc odmienił kierunek i zapął i ruszył truchcikiem zobaczyć, czy jadło postavili wysoko.

Brys zadzwonił łańcuchem, stare krzyże przeciągnął i ziewnął szeroko, zaś na śmietniku czarny Amor tylko uchem zlekka w stronę kuchni poruszył.

Wiedział, że jeszcze nie prędko, a że wiedział wogóle najwięcej ze wszystkich w podwórzu, nie spodziewał się dzisiaj w misce — radości.

Jakieś krzyki rozlegały się w kuchni od rana — rzecz doświadczona, że na psach się to skrupi, bo wtedy zawsze

jadło bez treści. Ani złudzeń dla nosa, ani w smaku pociechy.

Gdybyż to który z nich wiedział, jak to przed laty psiarcz otrębywał godzinę jadała na tem samem podwórzu. Wtedy pies nawet szedł na obiad z paradą.

IV

Na psy zeszło dawne podwórze. Prócz paru stałych mieszańców, snuła się tu cała gromada oberwańców, przybłądów bezrodnych, a gdzieś tam ślad tylko powinowactw dalekich: szpic z czarną łatą na oku, po foksach dziedzictwo, ówdzie niby jamniczek z białą obrózką i częsty wyżeł — po ciotce. Zaś czasem taki znalazł się w kompanji, że już ani śladu dopatrzeć, kto w antenatach. I rzecz osobliwsza, w tym świecie, że im więcej w psie rasy, tem więcej w zachowaniu godności i, nieraz szlachetnych uniesień, a kundle tylko zuchwały i zawsze tchórzem podszyty.

Zaś czasem się zdarzy wyjątek.

Amor był to pies osiedziały tu zdawna. Powiadali ludzie, że razem ze starym Zakrzewskim, gdy ów z jakiejś niepomysłnej dzierżawy zwłókl się na swoje podwórze, pies, przywiązany za wozem z gratami, tutaj się zjawił.

Brzydki, pokraczny niezdar i — Amor w dodatku. Jakby ktoś do nieszczęścia brzydoty jeszcze śmieszność chciał przydać.

Lecz chybił celu, jak się to zdarza, bo w psie zgoła nie śmiesznego nie było, tylko owa wyróżniająca w gromadzie odmienność, która tak drażni nie tylko ludzi, ale i zwierzęta, a gdy umiłowanie swej pospolitości w nich jedno, może i rozumują w tym wypadku podobnie:

— Inny, więc nie nasz; nie nasz, więc — huzia!

Jak bywa, gdy człowiek wybrany inne ma cechy, inny obyczaj, a obcą mu forma, w którą od dziecka wtłacza się duszę, gdy się wyróżnia, aby kształtu nabrała.

Nad duszą Amora oczywiście nikt nigdy nie myślał, uważając ją tylko za wyraz obelgi, powierzchowność jego jednak istotnie powabną nie była, przytem pies, jak prawy filozof, głębszemi sprawami zajęty, nie dbał zgoła o siebie.

Czy to w dni letniej suszy, czy późną jesienią wyglądał jednak: obłocony i tak zaszargany był zawsze, jak pies nawet bywa rzadko. Przytem, że to ze szczególną łatwością czepiał się jego kudłów chwast rozmaity, tedy pazurzaste nasiona z włosem i błotem już w kołtuny się splotły, tworząc ciężkie zrudziałe sople, zwisłe po bokach dziwnie długiego, na krótkich nóżkach, tułowiu.

A nad nim piętrzył się ogon, czarny jak krucze skrzydło, bujny, frendzlisty, piękny sam w sobie. Ale cóż to sam ogon? Tyle tylko, że zdawał się wzrostu przydawać, zawsze jak szablę wojowniczo wzniesiony. A że przytem łeb hardy pies górnio nosił, a głos miał grzmiący, jak z beczki, przyziemna postać sprawiała tyle groźne wrażenie, że pies-sąsiad do zabawy z Amorem nigdy się nie kwapił, a człowiek obcy ani z niewczesną pieszczotą, ani nawet z kijem nieopatrznie nie zbliżał.

Bekas jedynie, w niezdarnych lansadach, obszczekiwał go kołem. I w tym jednym wypadku Amor zachowywał się całkiem przyjaźnie, jakby pustotę młodzieńczą rozumiał, nawet nią się radował. Ale jednocześnie rozumiał, że nie przystoi, aby pies z siwym pyskiem w te zabawy się wdawał, w których tyle tylko uroku i wdzięku, ile szczerze młodej ohoty, której bywa i z głupstwem do twarzy.

Ileż to wrażeń młodzieńczych, a jak rozmaitych zbiegło mu z życia, i już je bezpowrotna fala uniosła. Ileż to przeżył trosk, udręczeń, zapalów, ile zawodów, jakie tym nie-

wybrany los niesie. A gdy inni całe życie szczęśliwi, on pominięty był zawsze.

Pies, nie psiej postaci, więc obcy. Przeżył wszystkie porwy i pożądań mękę, ale nigdy nie sięgnął tej chwili, gdy życie w radosnej rozkoszy uciszy żądzę.

Posiwał — znał tylko pragnienie.

Ileż to razy z podartemi uszami do domu powracał, kudłów z niego nadarli, ale szczęśliwy był inny.

Aż nadeszła starość i tak się zdawało, że już tylko w poczuciu swych obowiązków, stojąc na straży wszelkiego dobra w podwórzu, jedną widział pociechę, radość w życiu ostatnią, której oddał resztę krzepkiego jeszcze żywota, resztę niezgasłego zapалу.

I jak bywa, jedno przy drugim, strzegł dobrych obyczajów podwórza ze starczą, zawziętą ochotą, mszcząc się za krzywdy doznane, czy niedoznane w dni młodzieńczych uniesień, radości.

Zadanie to było niełatwe, jako że psy często się tutaj zmieniały, a współżycie, w pewnych okresach, zwłaszcza pod wiosnę, często sprowadzało zatargi; nieraz nocny włóczęga się zjawił, żądny przygody, nieraz w noc wiosenne towarzystwo całe swarliwe, zajadłe, a wtedy ciche podwórze zmieniał się w szranki walki rozżartej, w której tak szczerze krwią plącą zgóry, niezawsze wybrani.

Pod owe chwile Amor miał pracy, rzeczy można, po uszy, gdyby na nieco wyższej były zawieszone figurze, a nie taplały się w błocie, gdy sunął na niskim kadłubie z podwórza w ogród, z ogrodu w podwórze. Tu zalotnika obszczekał zjadliwie, tam innego targnął zębami, a tam skoczył w wielkim pośpiechu — za późno. Jak bywa w starości, co przemądrzała, chytra, ale chwilami ślepa zaciekłość myśli zmąci, ogłupi i w końcu starego, zawsze, głupia młodość oszuka.

Przed laty, w noc taką wiosenną, kiedy to niepojętej władzy wezwanie sięga rozkazem na dalekie krańce, budzi wilka, psa, lisa i wiedzie go, za przedziwnym wskazaniem, przez ciemne bory, pola dalekie, czy kręte ulice, w noc taką, wiosenną, przed laty, Amor miał ciężką przeprawę i omal nie pozbył żywota. Ale oko utracił. A choć drugie, baczne za dwoje, zostało, czyż mógł wszystkiego dopatrzeć, czego nie jeden zazdrośnie szczęśliwy i przez okulary nie widzi?

Był młody podówczas. Jak młody pełen życia, radości i wiary. Włos miał czarny, lśniący i oczy zuchwałe. Na podwórzu sam był na straży, niepodzielną miał władzę.

I wiedział, że strzeże skarbu w panienek alkowie, gdzie cudna, białorunna Koko.

Dziwnie lubo to było stworzenie, choć od małego, jakby nieszczęsne, słabiutkie, zato pańskiej urody, zadumane zawsze. Drobnej, wdzięcznej, już z przyrodzenia zalotnej postaci, biała jak puchy łabędzie, przyczem włos połyskliwy, falisty, rozczesany starannie, a nożyny maleńkie, stąpające z wdziękiem tanecznego kształtu.

I oczy czarne, wyraziste, piękne choć niekiedy łzawe, jakby w dal zapatrzone, niewidzące zbliżka. Bo wzrok miała słaby, jak zdrowie — smutne dziedzictwo po ojcach, co w rasie bez skazy weszli już w związki pokrewne, przekazując pokoleniom coraz więcej słabości.

Ale cóż darmo? Cenny dar rasy trzeba czemś przecie opłacić, bo rasa kosztuje, choć nikt jej nie kupi. Choćby duszne pragnienie, choćby wielki wór złota.

I jakby o tem Koko wiedziała, zawsze dumnie pańska w obejściu i, ani jej w myśli z psią hołotą zabawy. Nawet ze służbą żyła bez zbliżenia, zaś na pieśczośliwe wzywania tylko krótkie, życzliwe skinienie ogonkiem, jakby „dziękuję“, „przepraszam“ — byle tylko zdaleka.

I oto, za dziwnem psich losów, czy tylko kaprysu zrządzeniem, ta jedna, ta biała była dla Amora łaskawą.

Przy pierwszym poznaniu przerażona zrazu, potem jednak na niezdarną postać spojrzała ciekawie:

— Jakże inny, niepodobny do spotykanej psiej braci. I jakże wzruszony!

Wśląd za wrażeniem, zwróciła się nagle ku niemu z przychylną zachętą i zdawały się mówić jej oczy:

— Niechże się zbliży, niech się nie boi.

Tedy Amor jakby podrośł radośnie na śmiesznych nożyskach, uszy jakoś dziwnie w tył cofnął ku szyi, przez co pysk krótki wydłużył się nagle i nabrał całkiem głupio-ludzkiego wyrazu. Ale wnet się odmienił, zapłonęły w nim oczy złoto-brunatne, a z piersi wzruszonej rwały się krótkie, zaparte pojęki i drżała w nich prośba pragnieniem wezbrana i trwoga, przeczcuciem radosna.

Zdumiała się Koko, wnet umknęła nieco, podgarnęła sobą, gdy nazbyt już śmiało łeb czarny, straszny ku niej się zbliżył. I zlekka uderzyła zębami, a pies, jakby żarem tknięty, odskoczył, dobrze rozumiał, że nagłością brutalnych zalotów na zawszeby spłoszył białe, wątłe stworzenie.

Ale po chwili znowu czarnemi kołtunami trzęsący objął ją kołem dziwacznych podrygów, ukłonów i jakby śmiał się całą niezdarną postacią, jednym szczęściem wzruszony, od łba płonącego zachwytem, aż po koniec przejętego coraz szybszą radością ogona.

Zaś oczy Koko najwyraźniej mówiły:

— Brzydki, bo brzydki, ale mnie się podoba.

I na tem się skończyły dalsze Amorrowe awanse, bo właśnie z kuchni wypadła Wikta zgorszona, zbrojna w miotłę, już dobrze przydarta, przeto bolesną.

— A naści!... A naści!... Kołtunie powietrzny... — i Koko na ręce porwała.

Potem już tylko rzadkie, przelotne widzenia i codzienna tęsknota, a gdy pies nieraz nocą zawył zcicha pod oknem, odpowiadał mu zawsze szczek oburzony, zjadliwy. Lecz Amor rozumiał, że tak trzeba, bo inaczej nie można, gdy się żyje wśród ludzi.

I co nocy pod oknem się zjawiał, nasłuchiwał głosu lubego, pomachując kitą, to znów niepokojem przejęty mruzczał jakieś tęskne wyrazy i w cieniu zapadał, zawsze jednak bliski.

Tak przeszło dni smutnych wiele i nocy w udręce, owych nocy urocznych, kiedy to na tkliwe, jak żadne psie serce schodzi żalność bezmierna i rozlega jękiem, a dusza ludzka, w tem głębokiem, bolesnem wzywaniu, rozumie tylko złowieszczą śmierci, czy ognia zapowiedź.

Jakgdyby to pies nie miał swojego zmartwienia, tylko żył w ciągłej trosce o ludzką chałupę i zdrowie.

* * *

Aż pod jesień dopiero Amor upragnioną chwilę radosną u przeznaczeń wyprosił. Jakoś zaraz z wieczora, gdy pies wracał od stajni, bo tam głosów jakichś dosłuchał, a stwierdził, że nadużycie się tam żadne nie dzieje, jeno rzecz zwykła: gry i chichoty — nagle spostrzegł pod murem biały, drżący kłębuszek. Chwila zdumienia, a wnet radość żywa, jak płomień, gdy Koko poskoczyła ku niemu z uciechą.

Zadygotało cielsko niezdarne, lecz jakże szczęśliwe. A Koko jeszcze piękniejsza, jeszcze więcej łaskawa, to przed nim się ciśnie, to bokiem uskokczy. Nagle w zwinnych rzutach obiegnęła podwórze, zalotna, drażniąca, a głos taki luby i trwogą przejęty. Ale trwoga udana.

Coś tam naszczekiwał on także, już wysiłkiem ziewający, zaś Koko już bliska, to znowu daleka, powolna, oddana, to znów szybka, jak błysk.

Nagle, zmęczona, przysiadła.

I nagle Amor uszy nastawił. Obok stajni, u płotu szmer jakiś i chwila, a pies wielki z ciemności na długich, sztywnych nogach idzie powoli, jakby waha się chwilę. Wolno, wolno podchodzi.

Amor osłupiał. Nagle coś w nim rozjękło, coś zatargało, cisnął się straszny, bezgłosy i bez wstępów do walki, już zawisł u gardła.

Płytko zachwycił, bo tamten otrząsnął się w mgnieniu, łbem rzucił z głuchym charkotem i chwila ciszy i jęk śmiertelnego zdumienia.

Sprężył się Amor, zaszamotał, począł pazurami rwać ziemię, jakby łeb nagle uwięził i nie mógł wytargnąć. Na nic wysiłki, trzyma go paszcza wilcza, olbrzymia, dwie kluby zębate pysk, już bezbronny, jak w żelazach zwarły. I tylko jęk gdzieś we wnętrzościach zamknięty kotłuje, tylko tułów targa się, tłucze w niemocy.

A paszcza trzyma łeb krwawy, zaciska; już sięga po żywot, do gardła.

Niemoc, brak już oddechu, słodka, mdła fala zalewa życie. Jakieś czarne skrzydła trzepocą. Wolniej i wolniej, ale wraz, nagle szał w mózgu się zrywa, a trwoga rozpaczna targa półżywym kadłubem, ciska nim, tłucze.

Aż błoga ciemność i ulga. Krzyż zwolna w kurczach się przeży, zabiegały nogi, jakby gdzieś pilno...

Wyczuł pies-zbójca dygot śmiertelny, chciał skończyć, tedy łeb schylił, nagle poderwał raz, drugi i zatłukł bezwładem o ścianę stajenną, jakby człowiek, w pośpiechu, i trwodzi łomotał.

Gdybyż to pies wiedział, że bestję bezlitosną, okrutną w barłogu obudzi...

I aż zamarł na pomruk leniwy, złowieszczy:

— Cholera!...

Za głosem, drzwi stajni odemknęły się zwolna, zgrzytliwie, a z nich, w blasku latarni łeb Józefowy jasny, obrzękły. Przodem widły migocą, a głębiej Wikta blada, jak upiór, dzwoniąca zębami.

— A chto tam po nocy? — głos w ciszę uderzył.

Paszczka odemknęła się zlekka i zwarła, bo jeszcze życie drżało w ofierze, ale tuż kroki ciężkie, kłapiące i światło w tę stronę... Strach szarpnął zbójcę za serce... Amor resztą sił martwiejących zwinął się z paszczy.

Krąg światła, po zakątach krótką chwilę się błakał, aż sięgnął psa półżywego i Koko skulonej i drżącej opodal. Przerażonemi oczyma śledziła co będzie.

Zaśmiał się Józef, bo człowiek tylko te sprawy zwierzęce dobrze rozumie, których sam taki bliski. Postał chwilę, w milczeniu, może odczuł bliską pokrewność zapalów, tyle ich przecie po kuchniach sąsiedzkich rozniecił. I ruszył do stajni, dziewczynę ramieniem ogarnął, rad z siebie i z życia mlasnął ją w usta.

— Nie bój się Wichtuś.

Za chwilę powrócił i zesiął psa batem rzęsiście, a z wielką ochotą.

Ale pies nie uciekał, tylko w przedzgonnej niemocy pod batem się przeżył. Tedy jeszcze mu po łbie biczyskiem — za hardość.

* * *

O świcie powłókł się Amor gdzieś w kąty, na rychłe skowanie. Dwa dni tam przetrwał w gorączce i wyszedł osłabły, na nogach chwiejący. Zwlókł się na schody kuchenne i czekał na Koko.

Napróżno, bo po chłodnej nocy i przeżytych wzruszeniach serce maleńkie ustało.

Zakopali pod różą.

I tak zeszła z oczów ludzkich, a wkrótce i z serca spłakanych panienek Koko wierna, mądra, serdeczna, jako że o psach zawsze dobrze się mówi po śmierci. Lecz nie pamięta się długo, zeszła więc wkrótce nawet ze wspomnień i już ani kto myślał gdzie leży, bo czyż to ona jedna, zakopana w ogrodzie.

Amor jednak miejsce przewąchał i w psim żalu serdecznym, pazurami zrył ziemię, oprzytomniał wnet jednak, zrozumiał, że już moc żadna minionych uroków niezapomnianej białości nie wróci. Tedy ziemię w dołek zgarnął z powrotem, legł na mogiłce.

I już odtąd nocami nie znał miejsca innego, a dziwnem, niepojętem ogrodnikowi się zdało, skąd w śniegiem pokrytym ogrodzie ciemne kółko, do samej ziemi wygrzane pod różą.

Gdy jednak po śladach doszedł psiej sprawy, poruszyła nim złość, złość ludzka, wobec zjawiska, którego ani mózg, ani serce zrozumieć nie zdolne.

— Bo przecie, ścierwo, w budzie ma ciepło i słomę ma w budzie... — po grudę ziemi się schylił i cisnął ją w stronę Brysia, w podwórzu. Pies przed ciosem uskoczył i głowę przechylił zdziwiony: — Dlaczego? Com ci uczynił, dobry człowieku? — lecz po ogonie znać było, że nie żywi urazy.

A kiedyś znowu, w noc ciepłą, gdy panna Klarcia, przez zwykle, wiosenne tęsknoty dręczona, do ogrodu zeszła ochłonąć z upałów dziewiczej tęsknoty, zastanowił ją u altany kształt ciemny. Podeszła, gdzie wczesne kwiaty białej *Crimson Rambler* zwieszały się, w zwartych bukietach, a pod niemi pies czarny, uroczny, błyska złem ślepiem.

Panna była łaskawa. Tylko śniąca o wyśnionej miłości, co jakoś nie jawiła się w życiu, jednym sercem darzyła wszystkich ludzi i każde stworzenie.

— Amorek! Co ty tu robisz, pieseczku?

Cóż, kiedy w odpowiedzi nie tylko nie odezwało się serce, ale pies nawet nie ruszył ogonem.

Wysunęła dłoń białą, liljową ku niemu.

— Amorek...

— R-rr! — całkiem stanowczo.

— Ach! — ale po chwili zadumała się panna.

— Czyżby?

— Czyżby? bo przecież tu leży zakopana Koko... — I już tejże chwili myśl jej, biegnąca zawsze w kierunku męki serdecznych udręczeń i tajemnic miłosnego zachwyty, rozkołysała się w falach marzenia, a budząc niezmiennie słodkie przecucia, kojarzące dobro i szczęście tylko z urodą, zawisła zdumionem spojrzeniem na czarnych kudłach niezdarne Amora.

— I on, taki brzydki, taki straszny, a jednak...

Zasunęła rękę na piersi, gdzie wnet krew szemrząca pragnieniem przybrała, a serce, biedne serce panińskie, jakby z krzykiem wyrwać się chciało, biedz w przestrzeń daleką i szukać, a wzywać: — Gdzie jesteś?

A potem noc długa i łzami przemożnej tęsknoty oblana poduszka.

V

Na psy zeszyły dawnych rezydentów tradycje. Ślad ich wśród ludzi zaginął, żył jeszcze w podwórzu, gdzie ciągle jakiś gość nowy się zjawiał. Pobłażał mu stary gospodarz, jakby dogadzając jakiejś wewnętrznej potrzebie, co choć zmienne przeszła koleje, miała jeszcze swój wyraz dawniejszy.

Nie bez pewnych trudności godziła się jednak z przybyszem podwórzowa gromadka, bo tutaj ważyło tylko pierwsze wrażenie.

Nieraz psy obce spadły na gości, zanim legitymować się zdołał i kłębiąca się kupa wyjeżdżała za bramę, aż wydarł się natręt, podkulony rwał w pole. A za nim paszcze, w obelgach zajadle i zęby chwytniwe, sięgające strony słabej tułowia, a wstydliwie bezbronnej w odwrocie.

Zwykle jednak załatwiała się sprawa dość pomyślnie, na miejscu.

Zjeżony włóczęga, dosłownie do muru przyparty, podlegał badaniom najstarszego Amora. A gdy zniósł wszystkie wzgardliwe szturchania i obracał się z należną pokorą, gospodarz podwórza zlekka kiwnął ogonem, jakby rzekł: — niech tam. I odszedł opodał, a gość za nim w tę stronę; dwa, trzy kólecčka na miejscu, jakby ukłon wzajemny — towarzyski obyczaj i już się widział u siebie.

A wkrótce, tak się i ludziom zdawało, że był tutaj potrzebny.

Jeszcze tylko na wstępie zwymyślała go Wikta, grożąc niezmiennie:

— A juści! bede cię pasła.

Lecz po dniach paru djety, jakby przeszedł próbę wytrwania, że to serce miała dość rklive dla każdego stworzenia...

— Naści, wywłoko... — podsuwała mu miskę.

I już nazywał się — Nyro, bo z psich imion to jedno, jakby mocą jakiegoś wspomnienia zachowała w pamięci.

Trwało zwykle niedługo, a już przybłąda, zrazu tylko wyróżniony wśród innych stawał się nagle szczęśliwym wybrańcem. Zawsze w porę przed nim zjawiała się miska, a Wikta, wsparłszy w boki mięsiste, utłuszczone ręce, zawsze ździebko przy nim postać, pilnie zważając, by wyjadł, jak się patrzy, doczysta.

— Żryj, żryj... Co masz drugiemu ostawiać, kiedy dla ciebie.

Ale i tak już bywało, że pies, nawykły do przygód i troski o życie, rychło zmierzył sobie i misę pełną tłustości i Wikty sentyment. Zapragnął odmiany, szedł w inne podwórze.

I próżno od rana głos dzwonił przeciągły, a pod wiecór już żalem zgłuszone wzywania...

Aż przyszła rozwaga:

— Bo pies, jak ten chłop.

Coś tam zawodem odezwawało się w duszy i posępniała dziewczyna, aż znowu jakiś kundys się zjawił, a z nim cicha radość wspomnienia.

I nazywał się Nyro. Jak tamten.

Od lat wielu coś pieski ciągnęło w podwórze. Jak ludzi, gdzie pamięć przeszłości znaczy się jeszcze jakimś śladem minionym, choćby w martwym przedmiocie. A choć była tu nędza, bo to i jadła niewiele i chuda omasta, pies, czuł się szczęśliwy, na głodno. Nieraz i z dobrobytu szedł tutaj, dla wesołej kompanji, a już, z małym wyjątkiem, takiego w okolicy nie było, któryby co pewien czas nie odwiedził podwórza.

Różnie tam pod owe odwiedziny bywało: nieraz gość nie w porę, jak w czasie obiadu, całkiem źle był widziany i zanim ogonkiem poruszył przyjaźnie: — witajcie! — już go jakby nagle wichura cisnęła za bramę. Wszakże psy rodów osiadłych, choćby znane tylko z widzenia, swarzyły się rzadko, natomiast pies nowy, choć pięknego pozoru, zawsze trudniejszy do towarzystwa miał dostęp, niżli bezdomny włóczęga, za którym przemawiało tylko ubóstwo.

Tak chciał psi obyczaj, wreszcie pewne zasadnicze prawidła współżycia rozwijały się już z konieczności, gdy psów była w miasteczku gromada, a całkiem odrębnych gatunków i usposobień sąsiedztwa spotykały się nieraz na publicznych śmietnikach, a przedewszystkiem w ulicy.

Kilkanaście domów było na niej zaledwie, ale w każdym jakiś mały psi świątek przeżywał trudności, naogół nie-najlepszych z człowiekiem, stosunków. Przyczem znajomości przelotne i na trwałej przyjaźni oparte pożycia.

Wiosna niosła tu radość, ruch, wrzawę, nawet najsmutniejszej psiej doli pociechę.

Nieraz w dzień ciepły wszystkie psy wylegały przed swoje obejścia; po zimie, spędzonej w zaciszu podwórza, budziło się w nich pragnienie szerszej przestrzeni. Wreszcie każdy pies lubi patrzeć na ruch życia ludzkiego.

Wnet ulicy przybyło miłego widoku.

Tuż u jej wylotu na rynek miasteczka placówka — dwa jamniki w blaskach słonecznych przeżyły z lubością pokraczne tułowia, na schodkach apteki. Oczy złotawe, rozkosznie zmrużone, spokój i sytość i, jakby poczucie: tu pierwsza strażnica.

Pies zwał się Wykopek. Pono w jakimś loszku urodziła go matka, a zły człowiek kiedyś pod jej nieobecność ziemią otwór zasypał, jednak kreciami łapami wygrzebało się szczenię. Czarny był, ciemno-złotymi plamamiznaczony, zaś suczka złotobronzowa, a tak wydłużonej postaci, że zdawała się prosić nie tylko o przysłowiową piątą, lecz i szóstą nogę, potrzebną. Jamka jej było, a z męża — Wykopek, zaś pan, ze względu na cechy pokrewne, dodał jeszcze obojgu przezwanie: — gałgaństwo.

Ale może i on także miał jakieś przezwisko, bo pieski były dziwnie dowcipne, a pełne wyrazu, gdy, przechylwszy główki, zdawały się słuchać, jak pan magister prawił kmiotkowi, że komarowe sadło w tym roku zdrożało, bo wszędzie bardzo już chude komary.

— Musi, bieda przychodzi na każde stworzenie — chłop wzdychał.

I płacił. Tylko bokiem spozjrzał na pieski, zażywnie okragłe, co wiodły za nim śmiejącymi oczami.

Chyłkiem do furtki na rynku umykał, bo tuż obok apteki legiwały na środku ulicy, samego pana komisarza ogary. Psiska złe i ponure, srodze zaczepne, a że tchórzliwe z natury, łatwo do tego przywykły, że je każdy przechodzień omijał.

Zwały się: „Zadiej“ i „Graczik“, przeto — złodziej w języku ulicznym, a ów drugi — ze zmianą pierwszej litery, które to nazwy były, wobec strachu chłopaczków, wymowną ich pociechą. Przyczem wyrazu nienawiści i wzgardy dla owej psiej władzy dopełniały kamienie.

Więc skowity żalosne, brzęk szyby rozbitej, wrzask ludzki, psi zgielk i — hura! z za węgla, aż wkońcu policjant i coś tam — na mamę... Bywało w ulicy wesoło.

Całkiem innych pozorów, bo pełen szlachetnej powagi, pies z góry Św. Bernarda też obok jakiegoś urzędu zasiadał. Ten miał taką właściwość, co przywilejem się stała, że do każdej babiny groźnie się zbliżał, z wyraźnie zaborczą intencją, w kierunku koszyka.

— O, Jezu!... o rany!... — Już koszyk na ziemię i w nogi.

Obejrzał go zawsze uważnie, a nigdy nie dając się uwieść jarzynowym pozorom, zwykle jakiegoś podejrzanego zapachu dowąchał się na dnie. Wnet sprawdził, a ulżywszy babinie ciężaru, odchodził, z niezmienną powagą, jakby urzędowych obowiązków dopełnił.

Niestety, z dnia na dzień tracił dostawców, bo kobiecina wołała drogi nadłożyć, byle nie tędy, gdzie psisko, takie z wejrzenia pocziwe, a tu — moja pani, spondru dwa fonty — ten rabuś...

— Ady cichaj-cie, pies przecie — ziąndarski.

— A prawda, prawda... i trwożnie obejrzała się wkoło, czy kto nie podsłuchał.

— Niechże mu idzie na zdrowie.

Szło oczywiście, bo czyż kto kiedy z tego chorował, że ukradł? Raczej wtedy krzywdę poniósł na zdrowiu, gdy z uczciwości nie dojadł.

Nie mogło się to przydarzyć psom od rzeźnika, ale też nikt posadzić ich nie mógł o rabunek na drodze, a lubo powierzchność miały dość przykrą i wątpliwą opinię, nie zdarzyło się nigdy, aby kogoś skrzywdziły. Zwykle pograżone w sytem ospalstwie, ale groźne krwawem spojrzeniem, zdawały się wymagać tylko szacunku i poszanowania własności, dwóch koniecznych warunków spokoju, gdy już cele życia spełnione.

Ponieważ jednak żadne nadużycie tu się nie działo, bo kradł tylko gospodarz, a gdzie strach z jednej strony, tam zawsze w stosunkach panuje szacunek, przeto cisza była przed sklepem, jak nigdzie, a jeśli jakaś wrzawa wybuchała, to tylko zwykle nieporozumienie, z kucharką, o kości.

Bywało wtedy, że pogodnego usposobienia rzeźniczka, odpowiadała konceptem:

— Są takie kraje, gdzie się cielę rodzi przez gnatów, ale nie u nasz.

Zdarzyła się jednak równie wymowna panusia:

— Ale u nasz są zato takie ludzie, co od małpów pochodzą.

Co wpłynęło na pogodność gospodyni tak znacznie, że odtąd już bez wysilenia dowcipu posiłkowała się jednym tylko wyrazem — cholera! zwracając w tym kierunku, bezpośrednio, odbiorców.

A na ów dźwięk, tak dobrze znajomy, dwa brysie spoglądały na gościa z cichym wyrzutem, lecz nie bez wpływu na ciągłość rozmowy.

I tak pożądany spokój trwał w składzie

„wendlin I paszke: z Wierzyny“

Pod Białem koniem.

Dalej, poza znanym już psim dworem Zakrzewskich, wybitniejszych postaci nie miała ulica. Jakieś tylko jeszcze żółte kundelki piekarskie, szczekliwe, ale tchórzem podszyte — ofiary Bekasowych pościgów, wyżeł pana radcy nieruchawy, senny, pławiący w słoneczku rodowe swe łaty, i nic go psi świat nie obchodził, jakby czuł się wśród różnomastnej hołoty całkiem jej obcy — i przewijała się tu często blado-żółta lewretka, płacząc się pod nogami z bolesnym skowytym, że oto bezbronna i na łup zgrai drapieżnej wydana. A wraz drżała jej pani, że ją zbój srogi — mężczyzna — napadnie i skrzywdzi, ale człowiek i pies, obaj byli od tak niewczesnych zamiarów dalecy.

Był tu jeszcze wielki, jak ciele, powłóczący zadem dog maści stalowej, psisko stare, głupawe, ale pono nagrodzone gdzieś, kiedyś medalem, — był czarny pudel pana doktora, który codzień niósł w pysku gazety, zjawisko niepokojące psy rzeźnickie zwłaszcza, bo co też ten czarny mógł ukraść i niesie z taką radością — i wreszcie, o jednej godzinie zjawiała się tu suczka, w czarnym atlasowym spencerku, drepcząca, nakuliwając na wszystkie cztery nożyny, za panią równie czarno ubraną, równie utykającą, a rozszeptaną niezmiennie w pacierzach.

Ale niechby ktoś rękę do suczki wysunął, wnet go z minką potulną chwyciła zębami, niechby ktoś panią o zdrowie zapytał, mógł być pewnym, że, skoro tylko wpadł w oczy, już go przykrość, czy krzywda nie minie. Bo podobnie jak suczka, gryzła wszystkich paniusia, choć już zębów nie miała.

Zaś u krańca uliczki, tam, gdzie pobok kościoła mieściła się gmina, pod czarnym znakiem godności i władzy, pod groźnym napisem „Prawlenje“, przytulony do oddrzwi piesek maleńki dzwoneczkami dygotał, drżał z zimna, w blaskach słonecznych.

Dziwnie to było nieszczęsne stworzenie, roztrzęsione, nikle, na nóżkach jak prątki, już z natury cherlawe i jeszcze dręczone przez stałe żołądkowe niemoce, ale bodaj że, z psów wszystkich w ulicy, najwięcej kochane.

Nazywał się — Kakuś.

Był jedyną pociechą w życiowych zawodach, jedynym w smutku promieniem, jak to sama pani prezydentowa mówiła.

Z gorzkim uśmiechem, śląc cichy wyrzut w bezkresy:

— Kocha mię przecież to serce maleńkie. O czemś większym już dzisiaj nie marzę.

Lecz sąsiad, człowiek realny, uśmiechał się w duchu, niezbyt ufając tej likwidacji uczuć zamkniętych w całej pełni rozwoju bujnie falistego łona. Zato piesek patrzył z radością i wiarą łzawymi ślepkami, w mgławo-szafirowe jej oczy. I tklawie ogonkiem poruszał, krótko przyciętym, a niby ów człowiek, który więcej natchnionego serca posiada, niż przymiotów fizycznych, patrzył także w jej duszę.

Tak się pani zdawało.

Gdy się atoli wyczerpał, szedł spać do łóeczka, potem zjadł cielęciny, potem troski trawienia przeżywał, znowu się nudził i znowu zasypiał. Jak sam pan prezydent.

W dzień pogodny niekiedy wylaniał się na schodki domostwa, tam czekał bezmyślnie na wszystkich, a z zajądlnością tem większą, im mniej na niego zwracano uwagi. Czasem do kogoś nagłą przyjaźnią zaplonał, mizdrzył się, zwijał, gdy ów jednak do niego z dobrem słowem się zbliżył, wtedy pokazywał mu zęby, a skarżąc się, przeraźliwym jaszgotem, uciekał. Czasem zapędził się za jakimś kundelkiem podławego gatunku, chciał mu być równym, lecz ten patrzył nieufnie na wszystkie zabiegi, usuwał się przed nim uprzejmie, z pół-wstrętem.

I w tem właśnie życia tragedia, że choć do psiego należał gatunku, z psów żaden nie miał go za psa.

* * *

Widok piesków w ulicy niewymownie był miły dla oka, wszakże podróż w tę stronę nie zawsze bezpieczna.

Droga wiodła obok apteki, gdzie czujne jamniki. Jeśli ją minął, bez zwrócenia uwagi, mogłeś iść dalej względnie bezpiecznie; jeżeli jednak szedłeś zbyt szybko, jakimś dobrym interesem znęcony, a może pomachiwał parasolem, lub kijkiem, albo nazbyt szeroko rozwiały ci się poły stroju czarnego, słowem obudziłeś baczność, człowiecze wybrany, wnet pies niepozornej postaci, lecz grzmiącego głosu już twe wejście w ulicę obwieścił. A choć głowę odwrócił, nawet nie patrzył w tę stronę, już jego zjadliwa małżonka, z żalonym skomleniem twego kształtu dopadła.

Idziesz dalej niebaczny, już cię pieski w głębi czekają, a pierwsze obrócą ogary, aż pomkniesz środkiem ulicy, gdzie zgraja piesków z piekarni osadzi. A gdyś parasola już pozbył, jakby huragan zamknie ci światy; to w miejscu tobą obróci, to cię nagle poderwie i kręgiem zatoczy, aż zaprze w piekielnych zgiefków kolisku, gdzie wokół larwy szatańskie, rozmiotane złe paszcze bliżej, a bliżej...

I nagle... już zły tobą targnął... już drugi...

Któż wtedy nie krzyknie:

— Gwałt!

Choćby już dawno zapomniał ten wyraz.

Poczem pozostaje na zawsze w pamięci ulica.

— Ja tam raz miałem wypadek.

Inny i nieraz, bo działo się to często w dawnym, pańskim podwórzu, kiedy człowieczyna ubogi, handlujący skórkami, własną skórą nieraz krwawe dobro zasłaniał. Lecz

gdy wyszedł trwogą zmorzony, odetchnął, wraz drgnęły mu usta cichą groźbą, — pociechą:

— Poczekam!

Aż skupił połowę majątku. Pan z losem się zgodził, ale w psich sercach została nienawiść.

Działo się i dzisiaj to samo w ulicy. Zwłaszcza Bekas, co w prostej linii z dawnych, dworskich legawców był rodem, jakby miał sobie przekazane porachunki stare, zacięłością ziejący, wprost szalał. I jak ongi, na hasło, podnosiła się wrzawa, niósł się lament daleki, a rej wiodły zawsze psy Zakrzewskiego.

I jak ongi: ktoś czekał.

Tylko dwa brysie rzeźnicze nie mieszały się nigdy w te sprawy uliczne, jak w żadne, co nie groziły zakłóceniem spokojności ich bytu.

Tylko dog maści stalowej, pies zagraniczny, nie rozumiał wcale dlaczego się szczeka na ludzi czarno ubranych, brodatych, a innych pozostawia w spokoju.

* * *

Stary lubił tych dobrych przyjaciół w podwórzu, choć sobie tego upodobania nie chwalił, widząc bez żadnej korzyści wydatek, przyczem z namiętnością związany, co rzecz polska, rzecz zgubna.

Ucieszył się jednak, gdy ktoś z dawnych znajomych podarował mu piękną, rasową wyżlicę. Z właściwym sobie zapalem już w niej widział majątek, niby owa z polskiej bajki babina, co w dzbanku mleka niosła wymarzoną fortunę, póki nie rozbił się dzbanek.

Już snuł sobie dalekie, a złudne zamiary, obliczał i zwierzał się żonie:

— Bo pomyśl: irlandzka ceterka, choćby po sto rubli

szczenie, lekko licząc jakiś tysiąc da rocznie, a dobry i tysiąc.

— Zapewne... ale...

— Ty zawsze masz jakieś ale, które wprost odbiera ochotę.

— No, bo wtedy z tym wozem...

Jako że stary, w wynalazczym życia okresie, wóz taki wymyślił, gdzie koń, zaprzęgnięty do kół tylnych, przed sobą miał przednie i na nich właśnie mieściło się główne siedzenie, zaś na tylnych stangret zapomocą korby owym przodem kierował. Co wszystko razem, jakoby wielce praktycznem było w użyciu, przytem że koń stroną niekorzystną nie zakrywał widoków, nawet względy estetyczne miała na celu. Lecz, niestety, zawiodło, jak inne w tym kierunku pomysły: rozmaitych kształtów wymyślne linijki, dwukółki, pająki, bryczki cudaki, zwalone w wozowni bezużyteczne gruchoty, ale wszystkie z tą cechą wybitnie swoistą, że już się na nic innego przerobić nie dały.

Przeto, zawsze tylko myślą o materialnym pożytku zajęty, tych wypomnień nie lubił.

— Zawsze z tym wozem... Ale tu przecie sprawa wyraźna i prosty rachunek.

Żadnych przeszkód nie widział, nigdy ich nie brał w rachubę, a gdy raz sobie korzyść uroił, widział tylko pomyślność... Gdy zaś bliski człowiek odradzał, mówił sobie:

— Zazdrości!

I już w myślach na wielką skalę prowadził hodowlę.

Tymczasem jednak, że to piękna irlandka była darem czystej pamięci, bez realnych widoków, należało ją przedewszystkiem, z liszaju wyleczyć, który zrazu jakoś uszedł uwagi.

Oczywiście rzecz bagatelna. Tak się zdawało, ale koszta poczęły się znaczne, bez skutku.

To trudno. Trzeba zawsze coś wydać, aby potem zarobić.

Więc balsam, więc maście, kąpiele, aż zbrzydło.

Wreszcie zjawił się człowiek biegły w sprawach wszechpiego cierpienia — oprawca, kum Józefowy, i miał Arę już zabrać, lecz podjął się ją wyleczyć.

Jakoż się tak stało, po długiej kuracji, a stary pytał w zdumieniu, jakim sposobem.

Wiedzy nie tał człek prosty:

— Ano... Z latoperza wątrobę z kobyłem zielem w sadle uprzyżyć, zaś kociego łajna pan weźmie dobre pół garści...

— Wiem, wiem... Idźcie z Bogiem, panie Pazurek.

Wziął sto rubli i poszedł. Wbrew sentencji — nie wydał, a przecie zarobił, co myśli starego na inne tory zwróciło: czy racjonalna lecznica nie byłaby przedsiębiorstwem korzystnem? i już, jakby mu zmierzchły widoki hodowli.

Zaś Józef upił się z kumem i zyskiem podzielił, wziął Arę pod swoją opiekę.

— Nie taka znowu rezyka!

A gdy czas przyszedł i miały się ziścić pierwsze nadzieje, odszukano, gdzieś w okolicy, nie bez trudu i kosztów, złoto — rudego irlandy, o pysku suchym, podługim, oczach ciemnych, wypukłych, gdzie jakby blask żalu, w wyrazie dumnej godności.

Ale, jak bywa, dwa gatunki podobne niezbyt sobie przypadły do gustu. Piękny rasowiec wył przez noc, tak żałując, że Józef parokrotnie budził w nim życia ochotę i pożądaną wigory biczyskiem, podobnie jak je poskramiał niekiedy, tak rozumiejąc, że dwa końce bata służą do wywołania dwóch skutków odmiennych.

Lecz środek nie pomógł żalości, zwłaszcza, że Ara, znając dobrze rozkład stajenny, odszukała jakiś podkop ukryty

i o południu dopiero ktoś doniósł, że suka jest w składzie drzewa, na odległej ulicy.

Dziwnem się zdawało, jaką drogą tam doszła, bo miejsce było płotem wysokim zamknięte, zawalone deskami. Był tam pies zawsze smutny, bezgłosy, nigdy nie zwalniany z drutu — wielki chudy pół-ogar, dawny leśny gońca, z wolnej przestrzeni, przywieziony w worku, aby martwych sosen pilnował.

Był straszny, ale tylko z wyglądu, jak straszną bywa psia nędza, na głodnej służbie bez blasku, bez nadziei — radości, jaką psu daje choćby krótka chwila swobody.

Już zgnębiony niewolą i żalem przeżarty, nawet nie śnił o szczęściu.

Szczęście przyszło do niego.

Po kilku tygodniach, gdzieś w mrokach stajennego zacisza, Ara noc cierpień przeżyła i rozkosz ulgi radosnej, gdy ciepłe pyszczki łakomie do niej przywarły, ssąc z matki osłabłej siły i życia.

Józef do niej się zbliżył; zawarczała zrazu i oczy żółtym płomieniem rozbłysły. Lecz głos grozą ją przejął i już, tylko z niemym wyrzutem bezbronnej żalości, łzawymi oczami śledziła, co czyni ten człowiek nieczułymi rękami, taki silny i duży.

Kara czy przemoc? Winy za sobą nie znając chwyciła go zlekka zębami, gdy od niej szczenię odrywał.

Aż ogłuszył ją cios.

— Głupia! Dwa ci ostawię, będziesz miała i tego dowolno.

Po dłuższych oględzinach, badaniach jednego z nich dla siebie przeznaczył. Piesek był niepozorny, szaro-burej maści, ale w pysku miał czarno i kusy, co chłop w wielkiej miał cenie. Przytem wilcze pazury — znak, że się nigdy nie wścieknie.

Codziennie pieska odwiedzał, a widać polubił, bo się z nim bawił i tupał, a nieraz z pieszczotą się zwracał do niego, jak tkliwa piastunka:

— Ty draniu!

Lecz był to tylko wyraz odświętny, należało psa nazwać na codzień, więc długo się wahał czy Bukiet, czy Cuckier, jak u ojców w chałupie? Ładnie także jest Cucka...

Postanowił jednak, że — Kanar, bo żółty.

— Psu najlepiej pasuje, do maści.

I tak już zostało, choć w piasku tyleż było żółtości, co w chłopie duszy.

Szybko szczenię podrosło, wykazując wszystkie cechy po ojcu, więc przedwcześnie wydłużony pyszczek, blisko osadzone oczy i białą obrózkę, rozszerzającą się w plamę na piersiach, co zgoła nie świadczyło o rasie, budząc jednocześnie wątpliwość, czy tam należało dopatrywać ojcowskiej przyczyny, gdzie były wszystkie po temu pozory.

Zwłaszcza owa przyrodzona kusość, tak częsta w chłopskich zagrodach, rzadko spotykana w mieście, nasuwała to przypuszczenie, że mama Ara, zgoła nie mając na myśli utrzymania dawnej świetności gatunku, przedsięwzięła daleką zamiejską wycieczkę, do czego równie mogły ją skłonić pewne doświadczenia życiowe, a co zatem zawody, jak i zasadnicza niechęć do narzuconych jej związków, w warunkach pozbawionych wszelkiego uroku.

Przytem niezawodnie rozumiała instynktem, że w tak ważnej sprawie życia, której się tylko dni wybrane poświęca, do celów tej sprawy nie może być powołany byle zalotnik, o jedwabistem, a rzadkiem uwłosieniu i uszach najdłuższych, lecz ten, który z gromady wyróżni się siłą i męstwem, przekazując pokoleniu owe dwie cechy, tak niezbędne w walce o życie.

A może, jak u wyższych kręgowców, tylko upodoba-

niem, bez myśli, rządziła się Ara, dość, że szczenię było kundlowate wybitnie, od najwcześniejszych dni dzieciństwa szczeniaki, co także, jak wiadomo, o krwi dobrej nie świadczy, mimo to jednak, czy właśnie dlatego, bardzo Józefowi przypadło do gustu, a nawet do serca. Bo z rzadkim na ustach uśmiechem bawił się z pieskiem i całkiem innym do niego przemawiał językiem, jakby w nim widział wszystkich psich rodów wybrańca.

Nie rządził się jednak ślamazarnem uczuciem, lecz twarzą ręką sposobił do twardych z życiem zapasów. Codzień, gdy tylko ukończył stajenne porządki, a wyjazdu nie było, sięgał po pieska i za skórę mocno napiętą niósł go na wyrko, tam go targał za uszy i skubał aż do bólu, aż do rozpacz. Do chwili, gdy Kanar w niemocy bezradnej wkońcu warknął, kłapiąc zębami.

Wtedy gładziła go ręka bolesna — dobry pies, dobry... a szczenię wrażliwe na rzadkie wyrazy, zwijało kusym krzykiem z radości, póki nagle pieszczota nie zatargała znów bolem.

— Nie daj! Kanarek!

Zaczem znów słowa pochwały i znowu szarpnięcie za ucho.

Dwie niezłożone czynności, a w nich jakby całość chłopskiego żywota, w dwóch słowach zawarta:

— Nie wierz i — nie daj!

Wnet ich znaczenie kusy zrozumiał i od tej chwili już w nim zacichł, na zawsze, głos dziecięcej żałości, a warkot, coraz groźniejszy w piersiach się budził i już, raz wraz cięte, czepliwe zęby chwytaly za rękaw, a Józef z rozrzewnieniem go gładził. I coraz boleśniej targał za uszy.

Ale, któregoś wieczora, gdy po sporego już pieska sięgnął do kąta, gdzie w słomę się zaszył, Kanar ciął go zjadliwie po ręce.

Roziskrzyły się oczów dwie pary: psie, chłopie. Bić!

Ale gdy ruszył do pieska zjeżonego w kącie, co nie uciekał, a choć drżący lecz groźny, błyskał zębami — zawahał się mgnienie i, wraz ogarnęła go tklivość i uczucie radości, że taki piesek się udał, z jego wyboru.

Tedy się zaśmiał, nagle garścią z góry go nakrył i poniosł na codzienne zaprawy.

Lecz już rękę przezornie umykał, zaś piesek coraz zuchwalej nacierał, na piersi się ciskał, rwąc szmaty na nim.

— Do-obry pies, do-obry.

I — nie daj — Kanarek!

Ale jakoś się nad nim nachylił, czy w porę nie umknął. Pies szarpnął go za twarz.

Chłop, jakby tknięty płomieniem nagle się rozżarł, ocuknął się w nim zwier i psiaka zgniótł w garściach, a ów jeszcze go ciął. Więc o ścianę, pod nogi, ale i tam go kły ostre dojęły; już krzyż przetrącony i ciało bezwładne, a jeszcze w śmiertelnym wysiłku złe zęby.

Aż go nogą odrzucił od siebie daleko, pies się po ścianie osunął i legł.

Ale — nie dał się — śmierci. Rankiem wyrzucił ze siebie kawał krwi skrzepłej i, wlokąc krzyż przełamany, zaparł gdzieś w czarność. Długo nikt go nie widział. Aż wyrzwał z ukrycia, w promieniste południe, blaskiem znęcony, wsparł się na przednich łapach pod ścianą, a kadłub pół martwy złożył do słońca. I patrzył żalosnymi oczami w podwórce, gdzie już nigdy nie miał życiem się cieszyć.

Zdumiał się Józef, sobie nie wierzył.

— Kanarek!

Pies dzwignął bezwładem i powłókł się w kąty. Nawet nie spojrzął w tę stronę, ale tyle miał w oczach bolesnej powagi z za świata, że gdyby Bóg dał w tej chwili jedną duszę

na tych dwoje, to pewno, nie chciałyby mieszkać w człowieku.

* * *

Gdzie krył się żaloszny kaleka, pies nawet nie wiedział i próżno poszukiwał go Józef w podwórzu. Rychło jednak o nim zapomniał inną troską zajęty. Troską serdeczną, jakby rzekł człowiek biegły w wyrażeniu, choćby mu równie, jak Józefowi nie chodziło o serce.

Wreszcie, we France bo tak troska się zwała, innych wdzięków była tak powabna obfitość, że tylko człowiek bardzo zepsuty mógł czynić szczęście zależnem od jednego organu. Józef był na to zbyt prostą naturą, obcą mu była wszelka wymyślność, przeto cenił nie serce w dziewczusze, lecz raczej jego okolice.

Ale przy pierwszej, w tym kierunku wycieczce, tak mu się zdało, że niebo gwiaździste w południe zobaczył i, aż się zachwiał na nogach.

— Honorowa jaka!... — i już świata za nią nie widział.

Niestety, miała tylko wzdarcie dla niego, ale nie taki był chłop, żeby byle czem już się zraził, wreszcie zbyt ufny był w siebie, więc czekał i wierzył w odmianę.

Wreszcie w cichości, snuł jakieś sposoby.

Nagle schnąć poczęła dziewczyna. Oczy jej zgasty i pobladły usta, a robota już nie paliła się w garści, jak dawniej, tylko wszystko z rąk jej leciało.

— Cóż ci to, Franka?

Gdybyż to sama wiedziała. Nic nad to, że żga ją na wnętrzu, niby gorącym żelazem, a w głowie, jakby się koty po strychu goniły, a co już najgorsze, że smaku, ani trochę do jadła.

— Choćbyś mi tu nie wiem jak słodko, choćbyś mi tu nie wiem jak tłusto...

Frasobliwie zadumała się Wikta.

— Powiadają, że robak jest taki, siedzi w piersiach i ssie, a jadła nie puszcza.

— Zaś tam robak i z czego? — aż po niej chłód poszedł.

— Z czego? Z powietrza. Każda choroba z powietrza.

— Głupiaś ty, głupia. Niema choroby przez Boga.

— A ja ci znów mówię, że przez Boga co jest? Z Boga powietrze, z Boga ogień i woda. Toś ty, widać, jest głupia.

A ten tylko z rozmowy był skutek, że Franka najwyraźniej już czuła, że na wnętrzu ją ssie.

Robak nie robak, — uradziły posłać po babkę.

— Zawsze ona, na wszystkie sposoby próbantka.

Tylko po jaką? Po Andrjanę, czy starą Margolę?

Zwiedziały się u sąsiadek, która lepsza — do czego, a pod wieczór przyszła Andrjanka.

Jeszcze nie stara, lecz sucha, wschodnio-drapieżnej urody. Z poza czarnej chusty spojrzała przenikliwymi oczami w twarz bladej dziewczyny i siadła na skrzynce.

— Ssie pannę?

— Ssie.

— Wiedziałaś.

— A skądże?

— Z wejrzenia.

I poczęła wypytывать się długo o różne sprawy, bez związku. Trzy głowy nachyliły się ku sobie w skupieniu, skąd głos więdźmy przyciszony a ostry i osłabłe dziewczuch pojęki. Na białej ścianie dziwnie wydłużone trzy cienie, półka nad niemi, brzegiem z gazety koronka, wyżej blaski miedziane i lampka z jednej strony czarnościami zasnutą.

— Bo to, moje panny, ze zdrowiem rzecz zależąca od gwiazdów.

— Od gwiazdów?

— A drugie od miętkości natury, a trzecie od tej pory

cielesnej... — i nagle posunęła ręką do piersi dziewczyny, zapytała szeptem:

— Więc powie mi panna, czy kto już całował w te usta?

— Nie.

Spojrzała czarnymi oczami przenikliwie głęboko.

— Niech panna mówi po prawdzie, przez wstydów. Czy kto już...

— Nie!!... aż w nią płomień uderzył.

Długo zamyśliła się babka.

— Więc oto, choroba pokazuje dwoiście. Albo i albo. Więc krew trzeba puścić, nie pomoże — pomoże, albo...

— I dodała szeptem:

— Albo zdać się na wolę — na jego.

— Na czyją?

— Ja tam nie wiem, bo ja w tem nie sprawna, jaka tam przywiązałość w sercu zakryta. I jaka do kogo ochota. Ale widzę że — urok.

Z oburzeniem, aż poderwała się Wikta ze stołka i siadła. I, jakby ją nagle olśniło, co dawno już kryła w mrokach myśli zazdrosnej.

— Józef zła krew!

A France zwisły ramiona, pochyliła się głowa, krew z niej zbiegła chłodem do nóg, potem nagle wzniosła się falą gorącą do piersi, w mózg uderzyła żarem, zakolysał się świat...

Ledwo podtrzymały dziewczuchę.

— Nic... nic... pod sercem me sparło, ale już mi odemkło.

Czarna Andrjanka popatrzyła chwilę, jakby rada z wrażenia, jakie jej słowa sprawiły. Nagle podniosła się zwawo z siedzenia, zawinęła w chustę.

— A za wizyt — dwa złote.

Jeszcze Wikta za nią wybiegła w podwórze.

— Przecie babka znająca, toć urok można odczynić.

— Można, nie można, a pomoże tyle co nic, kiedy urok serdeczny. Żebyś panna wiedziała.

Jeszcze ją za chustę ciągnęła wzburzona:

— Więc ma się chłopu na szyi powiesić — taki grzych wziąć dzisiaj na siebie? Taka porada ma być?

I już z tłumioną żalością:

— A może on z inną związany? Co wtedy?

Babka spojrzała w oczy dziewczynie, wnet troski źle zatajonej dosięgła.

— Wtedy... dwa złote za wizyt.

Nie dziw, że pilno każdemu do zdrowia, przeto Franka nazajutrz radziła się pani. Opowiedziała jej wszystko, że ją ssie, że ją dręczy bez żadnego sposobu, że babka krew radzi puścić, ale to może niepewne, powiada.

— Niechże cię Bóg broni dziewczyno, krwi nikt niema za dużo.

Po wysłuchaniu dłuższej przemowy o ciemnocie wśród ludu, braku wiary, do państwa, aż jej w uszach dzwoniło, zbeczała się Franka we drwalce, zbeczała przy kartoflach, w piwnicy, potem łzę niejedną uroniła w garnki. Bo jakże pani nie wierzyć kiedy uczona, jakże babce nie ufać kiedy wszystko wiedząca? I trwała w rozterce, aż pod wieczór dopiero określiła kurację:

— Raz kozie śmierć!

A tuż, dla pociechy:

— Czy to ja pierwsza, czy to ja jedna?

I wnet jej ulżyło.

* * *

Mile zdziwiony był Józef, na drugi dzień o południu, gdy na obiad do kuchni się zjawił i zastał już talerz na miejscu, stół czystym papierem zasłany, a w żurku, chudym za-

zwyczaj, dziś, okolone złocistą tłustością stadko skwarków pływało.

I kartofle dobrze przetarte, na misce kwiecistej, omaszczone wonną cebulą.

Chwilę zawahał się Józef:

— Dla mnie?

— A dla kogóżby? Dla psa? — nagle złością parsknęła dziewczyna.

Lecz, już po chwili, gdy ukończyła ciskanie garnków i pokryw po blasze kuchennej, gdy ją minął gniew tej niemocy, w jaką los ją uwikłał, spojrzała bokiem, choć nie bez goryczy, gdzie lubował się Józef tłusto-gęsią pożywą.

Chłop był niczego. Łeb jasny, kędzierzawy, nad karkiem czerwonym, gęsto puchem porośłym, przytem nos prosty, wąs ledwo się sypał, a bary szerokie jak okno, jednym słowem krzepki parobek i, aż się zdumiała, że dotąd na tę silną urodę nie zwróciła uwagi. Użała się nawet nad siwą Józefową kurtą, tu i owdzie na szwach, mocą ramion szerokich rozpękała, że to niema kto chłopca obszyć, jak należy obrządzić. Ale wraz, jakoś Józef głowę ku niej odwrócił i pełną gębą, smakowicie mlaszczący, uśmiechnął.

— Czysty byk, jucha, gułaj niezdarny... — i znów w niej zawrzało, a bez żadnej potrzeby, z impetem przestała garnki.

Więc gdy nie wyczuł chwili przyjaznej, dla duchowej biesiady, tedy znów sięgnął do miski i jął się materjalnej radości, co już ku wyczerpaniu się miała.

Po chwili talerz odsunął, wygodniej się rozsiadł i czknął sobie zlekka, tak właśnie, aby istotnej potrzebie zadość uczynić, nie tknąć konwenansu. Człowiek był z kuchnią obyty.

Bokiem, nieznacznie spojrzał na Frankę, która zazwyczaj, po obiedzie wyprawiała go zaraz, że to kuchnia potrzebuje przestworu, a chłop miejsca tyle w niej „zajma“.

Jakoś dzisiaj nie „zajmał“, więc, bez pośpiechu, chleb krajał nożykiem, pojadał i myślał leniwie, w błogiej sytości, której do szczęścia snu tylko potrzeba.

Zwolna, ze stolka się dźwignął, przeciągnął, aż gnaty rozemknęły się nieco z wiązania i znów z trzaskiem zwarły, wparł ręce w kieszenie, do dziewczyny się zbliżył:

— W samo prawie omaściła mi panna.

— A cóż, miałam cisnąć w pomyje?

— Zaś po co? Kiedy tłustość idzie człowiekowi na zdrowie.

— Idzie nie idzie, mnie tam za jedno.

I dodała łagodniej:

— Nie takie tam znów skwarki — mecyje.

Ton pół-przyjazny podochocił Józefa, więc krok jeszcze postąpił i rękę ku niej wysunął.

Lecz zanim celów niedalekich zamierzeń dosięgnął, Franka targnęła żelaznym saganem, aż zakipiało na blasze i buchnął kłęb pary.

— Wont, chłopie! bo ci ślepie tym warem...

Stropił się Józef, jak ów wędrowiec, co w pięknym dniu życia rękę po kwiat rzadki wyciągnął, a z pod niego wysunęła się żmija.

Któżby jednak się zrażał, zwłaszcza człek doświadczony, cierpliwy. Toć kwiat na swem miejscu zostanie, a gad jadowity wnet go opuści, jak słowa gorzkiego zły pozór myśli już oddane, bezbronne.

Co w mniej ozdobnym języku Józef rozważył:

— Niech się ino złość w niej uleży.

Jakby woli posłuszna złość cichła w dziewczusze, lecz od uśmiechu była jeszcze daleka.

Śmiała się w niej tylko, po dniach bladej niemocy, nagle rozkwitła uroda: w oczach rozgorzały blaski, krwią, żywnym sokiem nabiegły policzki i spęczniały usta, jak owoc

dojrzałości bliski. I jakby ją wicher ponosił, a nocą, czego dotąd nie знаła, dziwnie błoga słabość ogarniała ciało, ktoś zdawał się szeptać, ukojeniem kołysać, to znowu żar gniewny przesunął się falą, targał bólem za piersi, aż w niej mdlała wola i — „jutro, jutro“ szeptały jej usta.

A gdy jutro nadeszło i chwila, jakby wybrana, wtedy moc jakaś porывała dziewczuchę w ramiona:

— Broń się — uciekaj!

Tymczasem, co dnia inna wstążka na szyi, co dnia inna na wzdętych piersiach paciory, zaś w duszy zatajone, a błogie, choć trwożne czekanie.

A obok, co dnia bledsza, poźółkła, snująca się, jak widmo, po kuchni — Wikta, uciszona już w bólu serdecznym, boć jakże stać się mogło inaczej, kiedy tak zawsze bywało, tak już widać pisane.

Zaś Józef coraz smakowiciej pojadał i czekał — uśmiechu.

Nagle, jakby ciął nożem, w życiu coś zgasiło. Było szczęście tak blisko i, gdzieś niedaleko, odeszło.

Blado-chudy żurek na stole, bezwstydnie nagie kartofle i już nic złości, tylko dawna wzgarda na ustach czerwonych i słowa, bez jutra, złowieszcze:

— Niechno idzie do swego obrządku i miejsca w kuchni nie zajma.

Aż zawirował świat przed nim, coś nagle rozsypało się w gruzy, echem żalu rozniosło i płakać się chciało i — bić. Przyszła chwila chłodnej rozważki.

— Ki djabeł czy štuka?... — zadumał się chłop.

A Wikcie oczy żalosne rozbleśły nadzieją.

* * *

Na psach się skrupiło. Czy kto się tu cieszył, czy smucił w podwórzu, pies zawsze nie dojadł.

Tak i teraz się stało; Franka przeżywała niepokój, więc oczywiście w psiej stawie było raz soli za wiele, a drugi raz mało, przytem kasza mdła, bez żadnych złudzeń zapachu, jako że człowiek wybrany pożerał niepodzielnie treść smaków, dotąd na kilka misek dzieloną.

A potem przyszły jakieś inne rozterki, a z niemi jeszcze gorsze życie.

Pies całkiem bez radości do miski się zbliżał, obwąchał wokoło zawartość, potem skraj miski, a wreszcie, bez przekonania, dla zasady jedynie, ostrożnie, a z boku, chłapał końcem języka.

Bez radości tu przyszedł, bez zawodu odchodził.

Wtedy, ku misce wzgardzonej, z tajemnego ukrycia wychylało się dziwne stworzenie: coś brudno burego na dwóch krzywych łapach, ślaniając się, wlokło bezwładny szkielet tułowia, ledwie skórą wytartą okryty. Coś znajomego wydawało się Wikcie, ale było to większe, jeszcze więcej żalosne i, jakby ślepe, bo szmer każdy budził w niem trwogę.

Oczywiście nazywało się — Nyro i tylko z Wiktą w przyjaźni.

VI

Na paru morgach ogrodu, a w dawnym lamusie, co się dziś kamienicą nazywał, osiedziała ludzi gromadka, zwarta w rodzinę, wiodła, jak się zdawało, cichy żywot bez troski.

A choć tam małowieskie paniusie ramionami wzruszały, że — państwo, że fumy, a w garnek często nie ma co włożyć, nie szukali jednak mieszkańcy starej rudery nigdy obcej pomocy, z nikim nawet bliżej nie żyli, zachowując tym sposobem szczęśliwej niezależności pozory i pańską, jak się ludziom zdawało, obojętność dla świata. Co zawsze najdot-

kliwiej tylko tych drażni, którzy mają dla wszystkich niezmiennie przyjazne uśmiechy — z nałogu, ale w ciszy domowego pożycia nie szczędzą nawet najbliższych, dogadując plotką, złem słowem, często jedynej duchowej potrzebie.

Dla Zakrzewskich świat jakby nie istniał, poza dawnym podwórkiem, odgrodzonym pracowicie łatanymi deskami od ludzi.

Dziwna to była rodzina, choć w Polsce nierzadka, jakby zapomniana przed wiekiem na ziemi została. Lecz trudno z życiem się godzi; siedzi w niej moc jakaś urocza, co patrzy przed siebie nie rada, dobro widzi tylko w przeszłości. A tu świat jakże inny, jakby zmierzchły, bez blasku, na każdym kroku niegodziwym się zdaje, a wprost niepojętym, gdy dawne błędy w nową godność urosły, a cnoty, z przed wieków, wyśmiane.

Zżyma się człek stary, niechby prędzej dożył już kresu, powiada i trapi się dziecko, bo tkliwe słowo matczyne — niepodobne życie. Tak właśnie, jakby ktoś nad dolą się załił i uczył tęsknoty, a drugi ciskał w duszę kamienie. Aż uzbiera się tego... Przyciężko.

Aż pochyli się młodość, w zadumaniu, przed czasem, zasępi i, jakby w niej jakiejś krzywdy odczucie, żal do najbliższych, fermenty: po co to życie ubogie, bez ofiar, porywów i prawdy, ze wszystkich wdzięków czynu odarte, gdzie tylko wyrazy, wyrazy bez krwi i bez duszy?

Smutna była tych ludzi gromadka, na resztkach rodzowego dziedzictwa osiadła, ale każdy smutek miał tu wyraz odmienny. Jeden tylko ojciec, nie dawał się życiu, ale snadź wiele kosztowała go walka, bo już ani go stać było na wyraz serdeczny a rzadko sobie pozwalał na zbytek uśmiechu. Matka płakała po kątach i próżnoby jej pytać, dlaczego, a dzieci, jak kwiaty, co nie znały słońca, wyrosłe i blade. Zamyślane, bez myśli.

Coś płakało w rodzinie, zawodziło coś żalem. Powiadała służba, że coś pokutuje i jęczy w starem dworzysku.

A choć nikt nie znał przyczyny, nikt ducha jęczącego nie widział, równie jak nie rozumiał dlaczego boleje w nim serce, a myśl niepokojem przejęta, — każdy, jakby lękał się mieszkać w tym domu i rad z niego w inne światy uciekał; gdzie mu wszystko pogodą jaśniało. Nieswój, prawie, że obcy zdawał się w rodzinie, a widząc tylko, siebie — ofiarę, szukał winy w otoczeniu najbliższem.

Jak to dzieciom tak często się zdarza:

— A bo mama... bo ciocia... bo on...

Jak dzieciom, co dopatrują duszy złośliwej, nawet w martwym przedmiocie.

— Ach, bo ta szafa, to zawsze...

— Cóż ci szafa zrobiła?

— Co zrobiła — zrobiła... Już ty się lepiej nie odzywaj do mnie.

— Ach, z przyjemnością.

I boczą się dzieci, a każde słowo złem słowem się zdaje i jątrzy ich dusze, kropla po kropli na ból już przeczulony, coraz więcej dotkliwy. I nic ich nie łączy prócz poczucia ponurej przemocy, że razem żyć im wypadło. Razem, gdzie nie ma zwierzeń serdecznych, wspólnej radości, trosk podzielenych, nawet przyjaznych pozorów, tylko żal głuchy, łzy wypłakane po kątach i jedna tylko chwila szczęśliwa, gdy krzywda drugiemu:

— Dobrze ci tak!

Dlaczego? Dlaczego słońce i ciemność? Dlaczego jeden kwiatem szczęścia już na świat przychodzi, a drugi zbiera ciernie przez życie i o nie zazdrośny.

A poczęły się smutne zwątpienia, żal pierwszy, już we wczesnej młodości, kiedy harmonja ledwie poczętego życia tak szybko z rozdzwiekami od starszych przejętym się splata.

Kiedy to dziecko o czymś rozpowiada, coś prawi z promiennym w oczach zapalem, a już mu drugie nie wierzy!

Aż dziecko zrozumie, że trudne z kłamstwem pożycie, bo wtedy ginie cały urok zjawisk codziennych, których przecie tak wiele, że samo nie dopatrzy. Bo niechże coś się stanie ważnego w ogrodzie, czy w domu, coś z psami, czy z ptakiem w podwórzu, przyczem śmiechu niemało, a czasem zbiera się na łzy i oto, gdy już minie wrażenie, nagle okazuje się, że wszystko to była nieprawda. Rzecz niewidzialna, a brzydka, czasem nawet aż boli.

Wśląd za nią zeszło na główki dziecięce zadumanie pierwsze. Zrazu smutne, bezradne, aż nagle myśl rozbłysła jasnością pierwszego natchnienia i środek na kłamstwo się zjawił — przysięga.

Dziwna to była przysięga:

— Połóż rękę na sercu.

Lecz ogarnęła czarem gromadkę, a wiara i ufność wzajemna zjednoczyły podówczas rodzeństwo. Środek zaklęcia jednak stosowany był zawsze, chyba, że Zosia najmłodsza coś tam, z małego światka przyniosła.

— Bo, ona, jeszcze jest głupia.

— Tak, tak. Jej można wierzyć, bez tego.

Czasem jednak zaszło wielce ważne zdarzenie:

— Widziałam, widziałam... cztery kotki przy niej już leżą, a piąty tak dziwnie, że nie wiem... a potem... — i rozpowiada z zapalem, jak to się kotki rodziły, a w dzieciach aż dech zamarł z podziwu.

— No to, więc znaczy, że z bocianami, — znowu nieprawda.

Zamyślił się chłopiec najstarszy, wątpliwości miał w tym kierunku już dawno.

— Widziałas?

— Widziałam, widziałam, na własne oczy widziałam.

— No to, połóż rękę na sercu.

Ze wzruszeniem i trwogą spełniła dziewczynka obrządek, kładąc małą rączynę na piersiach i, ani jej w myśli, żeby mogła skłamać w tej chwili, tak uroczystej.

— No, i powtórz teraz co w komórce widziałas.

— Więc przyszłam, więc jeden był biały, cały białuśki, drugi uszki miał czarne.

— No tak, tak, ale ten piąty?

— Ach, piąty, piąty... tak dziwnie, że nie wiem...

Ale Wicek-inkwizytor nalegał, bo już bardzo ciekawa tajemnica narodzin, która tak dręczy myśl od zarania, od chwili, gdy się z pierwszym kłamstwem spotyka, a w sercu budzi się pierwsza niewiara.

Trwało jednak niedługo, z ręką na sercu znośne współżycie, bo nastrój wiary wzajemnej zniszczył ojciec dobrodziej. Zniszczył bezmyślnie, jakby kwiat zdeptał.

Ktoś tam zerwał jabłko w ogrodzie, jakieś osobliwe jabłko, jedyne na drzewie. Oczywiście że Wicek, bo któżby inny, jak nie on, chłopiec złośliwy i szkodny.

— Tyś zerwał jabłko?

— Nie ja, tatusiu.

— Kłamiesz!

— Nie kłamię...

Chłopiec rękę na piersi położył i z głową podniesioną dumnie, lecz głosem przez łzy:

— Kładę rękę na sercu.

Chwila uroczysta, dzieci oddech zapały, oczy wpatrzone, płonące, a w myślach przekonanie i wiara: — nie kłamie!

Lecz ojciec nawet uwagi na przysięgę nie zwrócił, twarda garść spadła na żalem rozplomieniony policzek, a potem na uszy, jakby w tym celu były przez Boga stworzone.

— Nie za jabłko... Za kłamstwo...

A dzieci patrzyły w zdumieniu, że ręka karząca ból spra-

wia, bez winy, a wprost niepojętem kłamstwem zdawały się potem ojcowe wyrazy:

— Mnie to więcej boli niż ciebie.

Dopiero ulga zesłała na serca, gdy stary odsapnął:

— Będziesz klęczał godzinę.

I padło słowo znajome, swój wyraz, codzienny:

— Bałwanie! — co znaczy, że koniec udręczeń.

Chłopiec do kąta się zwrócił, za jesionową komodę, na miejsce pokuty zwyczajem wskazane, a stary już ani myślał, czy słusznie, niesłusznie, bo nie myli się ojciec. A wreszcie i choćby tam kara spadła na razie, za błąd niespełniony, to chłopak ma kredyt otwarty i zawsze więcej *winien* niż *ma*, tak mawiał, jako że utraciwszy, na różne przedsięwzięcia majątek, lubił wyraz handlowy.

W obrotach kupieckich widział jedyny cel życia, cały jego urok, nie obchodziła go nic reszta, a zwłaszcza dusza człowieka.

— To bzdury... — powiadał. — Dwa razy dwa tylko jest rzecz.

Przeto nie zastanawiał się nigdy nad myślą dziecięcą, bo cóż tam treści w tej ubogiej głowinie, gdzie zaledwie budzi się zdolność liczenia: dziesięć palców, niepodzielne trzy grosze, dwa ciastka, jedno dla mnie, drugie dla ciebie, a całkiem jeszcze nieznana moc władna wyrazów — kupił, sprzedał, zarobił...

Ale, jakże podówczas myśl dziecka daleka od tej prawdy poznania, że za kłamstwo karzą rodzice, a życie nagradza. Któż bo kupił, kto sprzedał, kto zwłaszcza — zarobił, bez kłamstwa?

Gdyby mu ktoś zadał takie pytanie, zadumałby się niezawodnie kupiec i ojciec rodziny, nad zmienną treścią i wagą ideałów życiowych. Tymczasem jednak ani wiedział ile myśli, a żalu w duszach dzieci obudził, co nagle zacichły utu-

lone w kątach, stropione i smutne, jak bezbronne ptactwo, gdy w nie nagle przemoc uderzy.

Trwały tak, zadumane, patrząc na siebie przerażeniami oczami, niezdolne do pojęcia następcości zdarzeń wynikłych ze stosunku winy do kary. Aż przyszło nagle smutne zrozumienie. Zrozumienie, już z życiowych doświadczeń wysnute, że oto kara jest zjawiskiem koniecznym nawet bez istniejącej przyczyny.

Bo, przecie nie Wicek to jabłko...

— A może...

— Przecie kładł rękę na sercu.

— Prawda! kładł rękę na sercu.

Zaczem nowe udręczenie zeszło na dusze; już nie krzywdy poczucie lecz bolesne stwierdzenie niewiary.

I tak długo nękała dzieci ta myśl, że ktoś może ich przysiedze nie ufać, póki nie zapytała się Zosia najmłodsza, przez ojca najwięcej kochana, dlaczego to starsi nie wierzą, kiedy rękę na sercu się kładzie. A serce przecie jest święte w człowieku.

Stary ją blisko utulił, po jasnej główce pogładził.

— Prawdę powinno mówić się zawsze, przysięga jest dla tych, którym wierzyć bez niej nie można.

I dodał z uśmiechem:

— A ręka na sercu, tyle znaczy, co ręka na nosie.

— Na nosie?...

Spojrzała na ojca uważnie i już uśmiechnęła się mała, bo nos przecie zawsze śmieszną jest rzeczą. I już zaraz jej się przywidział wielki, obrzękły nos piekarza z przeciwna, nos pani Sikorskiej umączony zawsze, a w największym sekrecie myśli tajemnej nos cioci Karolci. Nos taki szeroki, zadarty, niby ten kapturek, którym zakrystjan gasi świece w kościele.

Bo ciocia jest bardzo pobożna, a Wicek powiada, że dlatego nawet zęby ma z trupa.

Zawsze coś takiego wymyśli, ten Wicek.

I oto już w myślach odmiana, słoneczna, śmiejąca pogodą.

Żaś Wicek odkłęczał godzinę, a podczas, widać coś sobie rozważył, jakiś zamiar powziął stanowczy, bo wnet ruszył do brata z zaciśniętymi pięściami.

— Połóż rękę na sercu, że nie ty.

— Że nie co?

— Już ty wiesz dobrze, co z jabłkiem.

Lecz ów odparł wyniośle:

— Na takie głupstwa ja ręki nie kładę.

— Aha!

I zakotłowało się nagle i nagle ustało, ktoś pobiegł z płaczem że stał sobie spokojnie... że nie wie dlaczego... że Wicek... — i na dobre już się rozwrzeszczał:

— Mamusiu... mamusiu!

— Ach — Wicek, Wicek...

Ale tuż Zosia, w podskokach:

— Połóż rękę na nosie, tralala, tra-lala!...

— Co ty znowu za głupstwa?

— Nie głupstwa, nie głupstwa, bo tatuś...

— Co, tatuś?

— Tatuś powiedział, powiedział — na sercu, to znaczy: na nosie. Nic nie znaczy, tra-lala, na nosie.

— Ach, głupia!

— Ach, mądrzec, co klęczy pod piecem.

Wicek ramionami poruszył wzgardliwie, bo już zbyt marny do walki przeciwnik. Ani go pięścią poskromić, bo całkiem bezbronny, ani dojąć go słowem, bo w głowie — tra-lala.

Lecz ośmieszona już dawna przysięga, nieufność i kłót-

nie wróciły, bo w rękę na sercu nikt już nie wierzył. I nagle, jakby coś zgasło w gromadce, jakby ktoś rozbił ołtarzyk, gdzie wiara i świętość i prawo.

* * *

Dopiero w lat wiele, co biegną tak chyżo, choć każdy dzień taki smutny i taki leniwy, dopiero gdy starzy byli już w grobach i dzielono się spadkiem, a z myśli i z serca od dawna już zbiegło uczucie niejedno i tylko chciwość zawsze do ostatka w człowieku trwająca, drżącymi rękami jęła zgarniać dary śmierci dla siebie — wtedy Wicek, ten zawsze najgorszy w rodzinie, więc oczywiście skrzywdzony, nagle dawne zakłęcie przypomniął. Szepnął głosem zdławionym:

— Połóż rękę na sercu.

Drgnęły serca dawno zmartwiałe. Oczy zrazu zdumieniem rozwarłe spojrzały po sobie. I, zaniepokoiły się oczy, jakby jakieś utajonej głębi dosięgły, gdzie nagle promień świetlisty przejął cienie myśli człowieczej, ale tuż, w słonecznym uroku, czarem bajki dziecięcej ożyło łube, błogie wspomnienie.

I tak się zdawało, że nikt z tych ludzi życiem i troską nużonych, w nic nie wierzących, wystygłych, nie zdołałby jednak spełnić w tej chwili dziecinnej przysięgi, bo — przecie serce jest święte w człowieku.

I tak się zdawało, jakby dawna stara piastunka, zesła między tych ludzi gromadkę, żalem wzajemnej niewiary przejętą, utuliła ich w chusty, blisko przy sobie i słowem pocziwem rzewnej prostoty prawila o smutkach, dawno minionych, co wszystkie jakąś niezmierną, dzisiaj dopiero pojętą radością się zdały. A te nieuczzone, lecz sercem mądre jej słowa, tak dziwnie ciepłym i błogim prądem szły przez ich dusze, jak idzie wiosna, gdy budzi w głazie nieczułym życie zmartwiałe, tęsknotę do słońca.

Aż pierwsza ocknęła się tklivość, gdzieś w ciemności serc ludzkich zaparta. W oczach rozbłysła, tak jak nigdy, rzewnie i już dobrym, pogodnym uśmiechem rozchyliły się usta:

— Pamiętasz?

— Pamiętam, pamiętam... — biegły już cwałem wspomnienia, cisnęły się, tłucząc w nieposkromionej radości, a gdzieś tam w cichym żalu, za tem co było, łza spadała.

Nagle przyszła myśl trzeźwa, surowa...

I nagle coś zgasło.

Bo myśl ludzka ma swoje koleje, jak ta droga wioskową, bokami łąki świetliste i kwiaty i gaje, ale droga nie tędy, gdzie serce niemądre prowadzi.

Tam człowiek się błaka.

* * *

Wicek, od dziecka był tak zwaną zakałą rodziny. Jak bywa zawsze, gdy syn nie jedynie, a serce rodziców naznaczy wybrańca. Wnet go pod swe skrzydła bierze domowa opinia i już całe życie osłania. Ale że to, niekiedy, myli się serce w wyborze, więc strzeże troskliwie przed prawdą.

Jeden z braci zawsze jest lepszy, więc oczywiście drugi tem gorszy, a gdy pierwszy zje jabłko, którego ruszać nie wolno, gorszy cierpi za niego. Jako, że sprawiedliwość zawsze jest trzecia, tam gdzie rządzi ślepe uczucie i wiara.

Stąd przywileje i prawa szczególne, stąd pierwszy w duszach dziecięcych, niepokój i czasem leż całego żywota zadatki.

Tak też, za owem serca zawodnem wskazaniem, za głosem domowej opinii, całe dalsze życie dwóch chłopców się ślało. We wszystkim jednak, jakaś rozumowa przyczyna, tedy był taki tej doli Wickowej początek, że tam kiedyś, przed laty, umyć się nie chciał, zaś Lolus z wielką ochotą

głowę w misce zanurzył. A ktoś miłujący prawdy życiowe, rzekł wtedy:

— Czystość to zdrowie, a zdrowie to dusza...

Zaczem uważnie dwóm braciom przyjrzeni się blizcy, aż zjawiała się druga sposobność i trzecia i znowu stwierdzono, że Lolus, ten lepszy, a w tamtym już się serce zawzięło i począł broić na dobre, aż padło w rodzinie słowo:

— Zakała!

Określenie od ciasta, co źle zaczynione.

— I — zakała! — zakała! — powtórzyło podwórze, a za niem ulica i już bardzo niedługo a miasteczko od krańca do krańca wiedziało, jaki to chłopiec niedobry, ten młody Zakrzeszczak.

— I skąd się to wzięło, bo przecie ojciec człowiek spokojny, matka godna osoba? Skąd, moja pani, taki wyrodek?

— Trafia się, trafia. Złe nasienie wiatr przyniesie zdaleka.

— Niechże Bóg broni, jak padnie w pocziwą rodzinę.

I już żwawo gawęda:

— Albo, moja pani, i wczoraj: dziecko się z pieskiem w ulicy bawiło, a tu on nagle podchodzi. — Nie męcz psa — mówi — pies lepszy od ciebie. — Żeby takie słowo, dziś dziecku...

— A pani?

— A cóż, ja tam nie prędka do złości, ale miałam szaflik pod ręką, więcem na łeb wylała. Ale czy tam sercu kto ulży, kiedy przecie aż zgroza żeby dziś aniołeczka do nie-stworzenia przyrówniał taki, moja pani — łobuz.

— A u mnie, pani droga, o co inne znów poszło. Chłopcy, jak to chłopcy, skądś cię czarne jakieś ptaszysko przyniesli i żeby to nie uciekło, wiadomo, połamały mu skrzydła. A ten ci się już zwiedziało i bez tę zazdrość, pani kochana, że to chłopcy mają zabawę, aż ci łzami się zalał,

z tej złości. A potem, jak się wzięli przepierać, od słowa do słowa, dwie szyby w kamienicy mi wybił.

— Co pani powie? Dwie szyby, kiedy szkło takie drogie. Złoty sześć, szyba.

— A cóż takiemu drożyzna, ale chyba do starego dziś pójde. Niech płaci.

— Ja z panią — niech mu za moje dziecięczo dołoży.

Nie zawiodła wycieczka, ale tylko w połowie, bo płacić staremu było zawsze niesporo, ale bił chętnie, przeto, dołożył.

Był to zabieg jedyny w wychowaniu domowem, który z całą wiarą w skutki pomyślne stosował, przekonany, że czyni tym prostym sposobem rzecz dobrą, doświadczoną, a nawet zbawienną.

I spełniał akt boleści z miłością. Moczył różgi zawczasu, bił z przestankami dla nauk moralnych. Na czynione zaś niekiedy przez tliwszą, jak zawsze, matkę ostrożne uwagi, że może, że jednak... że istnieją przecie działania i wpływy duchowe, że wszelka przemoc zabija w dziecku ambicję, odpowiadał niezmiennie:

— Właśnie tym sposobem budzę ambicję w chłopaku, bo prawdziwie ambitny będzie się starał nie zasłużyć na karę.

I dodawał z uznaniem:

— A wreszcie i ja byłem bity, a przecież...

Długo się dzieci nad tem głowiły co znaczy to — przecież; gdzie przyczyna, gdzie skutek, aż w końcu Zosia orzekła:

— To znaczy, że przecież Pan Bóg także i tatusiowi dał chłopaków do bicia.

Co się jednak działo w duszy Wickowej podówczas, nikt nie zastanawiał się nad tem. Zgoła niewystarczającą pewno mu była odległa pociecha, że kiedyś na skórze syna swoje

krzywdy odbije, nie ulegało wątpliwości to jednak, że środek wręcz przeciwne sprawiał działania. Pobudzana ambicja szła w całkiem niepomysłnym kierunku.

Bo, oto spotkały się znowu paniusie w ulicy.

— Cztery szyby mi wybił, we froncie.

— We froncie!... A cóż stary powiedział?

— Właśnie idę do niego.

— Ja z panią.

Aż zadumał się ojciec co dalej, jak ów lekarz, co upodobany środek do wszystkich chorych stosuje, a że lekarstwo zawsze jest jedno, ale rozmaite *quantum*, tedy oczywiście w niem skutek.

— Za mało! — rzekł stary Zakrzewski.

I leczył i środek, ponad normę stosował, ale pacjent ledwie skórę zbolełą otrząsnął, szedł za skłonnością, której coraz to nowe, coraz więcej uparte objawy zdawały się kłamać doświadczeniom wiekowym, nawet wskazaniom Ducha Świętego, co „róždżką dzieteczki bić radzi“. A choć stary był człowiek pobożny, to jednak widząc tak zawodne skutki, zwątpił w pedagogiczne wartości wskazań sfery ziemskiej i już całkiem nie wiedział, jakim siłom oddać duszę, tak srodze zbłąkaną, w opiekę.

Więc słał go do lekarza, do księdza, zdrowie chciał zbadać, egzorcyzmom polecał, bo cóż to w życiu gorszego, gdy raz to smutne przekonanie rodzic poweźmie, że syn mu się, jak mówią — nie udał, bo — nie wrodził się w niego.

Tedy doktor chłopca opukał, obejrzał i — ucieszył się zdrowiu, zaś ksiądz przyjrzał się duszy Wickowej uważnie.

— Będą ludzie z chłopaka... — a żegnając go, złożył białe ręce na zwichrzonej czuprynie.

— Szanuj starszych, idź prostą drogą.

Jak to zawsze się mówi, co nikomu nie szkodzi.

Lecz Wicek uważał to za niewielką zasługę, że się tam ktoś wcześniej od niego urodził, zaś prostą drogą szedł przecie zawsze; nie ustępował nikomu.

I broił.

Ale gdybyż to były bezmyślne, tak chłopcu właściwe swawole — pół biedy, bo z tego każdy urwis wyrasta, tu jednak w każdym wykroczeniu, jakby myśl jakaś przewodnia istniała, a pochodząca z zupełnego zaniku poczucia, co złe, a co dobre w człowieku.

Wśląd za czem brak uznania wszelkiej wartości. Od pieniędzy począwszy, których chłopiec oczywiście nie widział, bo ich szanować nie umiał, łącząc z tą przywarą szczerze niezmienną pogardę dla wszelkiego porządku, przedewszystkiem dla ludzi porządných i stawianych codziennie przed oczy przykładów: do czego ktoś doszedł i jak to się inny dorobił.

Przytem, z dziwnym uporem, stawał zawsze w obronie każdej złej sprawy, w oczach ludzkich przegranej.

Nie wierzył w zło ludzkie, czy też go nie rozumiał, a dopatrując w każdym nadużyciu często dziwacznej przyczyny, urojonych pobudek, czepiał się myślą, zawsze przekorną jakichś — a jednak... a gdyby... i szukał uparcie w mrokach — jasności, jak wśród rozmaitych oberwańców ulicznych szlachetnych porywów. I dzielił się z nimi dosłownie, koszulą swoją, czy nie swoją.

Nieznosny w poźyciu był chłopak i wprost obcem mu było sprawiedliwości poczucie.

Kiedys kamieniami policjantów obrzucił, gdy wiedli złodzieja, zaś ktoś był ciekawy, jaką drogą myśl nierozwinięta, czy zwyrodniała do czynu prowadzi i spytał z litosnym uśmiechem: — dlaczego?

— Dlatego, że ich było czterech, a tamten był jeden. Wreszcie kradzież to tylko nieszczeście.

— Ach, tak... — zaniepokoił się ktoś.

Innym razem Żydka opadniętego przez uliczników ratował, a gdy tamci uznając prawo zwyczaju za sobą, poturbowali go srodze i wrócił w podartem ubraniu, a załamała ręce pani Zakrzewska:

— Bój się Boga, chłopaku, cóż ciebie jakiś tam brudny Żydziak obchodzi?...

Odpowiedział przez łzy i krew z rozbitego nosa.

— Gdyby był czysty, tobym go może nie bronił. Ale czystych Żydów nie biją.

— No, a szyby Mentlikowskiej, wczoraj, dlaczego?

— Już ona wie dobrze dlaczego, a przecie, chodzi tylko o to, żeby ona wiedziała.

I tak dalej i ciągle, choć nie bez odmiany, bo dzień każdy niósł coraz to nowe zdarzenia: wiodły matki, przed oczy ojcowe, jakichś łzawych chłopczyków, w białych marynarskich ubrankach, unurzanych w kałuży, jasne, w lokach dziewczynki, aniołki, przepasane szarfą różową, którym, dziwnym, zrazu niepojętym wypadkiem, smoła, jakby z nieba spadła na głowy, to znowu jacyś postrzelęncy z „fistuli“, co grochem boleśnie razila, składali żalosne swe skargi, że przecie mógł trafić w oko.

— Coby to było, jakby on trafił?

— Tam trafiłem, gdzie chciałem, a wreszcie, od wypadku, każdy drugie ma oko.

— Żebyś ty miał, zaraz taki wypadek, żeby ciebie szlag trafił, w tem miejscu, ty łobuz.

Zaś, co dnia, niby echa czynów Wickowych biegły z ulicy przekleństwa, przyczem nieraz spadł twardy wyraz w domowe zacisze i godził w niewinną rodzinę, a nieraz i kamień, jak ptak z wysokości i zwykle „o mało“ kogoś nie zabił, zaś co dni kilka zjawiał się człek blady, brodaty, w ciągłym niepokoju i strachu drżący, zjeżony.

— Ten chłopak, ten chłopak... on mi całe zdrowie już zabrał, ja już dłużej nie mogę. Ja podam do sąd.

I w dalszym ciągu, bez rozwiązania zadawały sobie pytanie, paniusie:

— Skąd, moja pani, taki chłopak nicpoty, że niepojęte? Bo przecie ojciec człowiek porządny, matka godna osoba...

I w dalszym ciągu bił stary, ale już z coraz mniejszą miłością i wiarą, aż w końcu stracił nadzieję i wprost nienawistnie spoznał na syna.

Nagle, z krzykiem żalów dawno wezbranych chciał z domu całkiem usunąć wyrodka, lecz dawno rozważyła już matka w cichości, że jednak chłopiec — ma serce.

— Ach, serce... — skrzywił się stary wzgardliwie. — Gdyby miał je istotnie, nie sprawiałby przecie rodzicom na każdym kroku tyle przykrości.

Pogląd oczywiście ściśle logiczny — ojcowski, ale cóż, kiedy matka była zawsze zbyt tępej myśli i tylko sercem, nie głową rozumiała serce.

Szła zawsze tą drogą więc i dzisiaj, po gorącej rozmowie, objęła głowę Wickową tkliwymi rękami i patrząc w niego głęboko, wypłakanymi z barwy oczyma, pytała bez gniewu, nawet bez żalu:

— Wicuś, dziecko kochane... dlaczego?

Wtedy, bez odpowiedzi chłopiec pochylił się na matczyne kolana, drżał płaczem serdecznym, jak człowiek, któremu jakaś wielka krzywda się dzieje, lecz jej myślą, ani żadnym wyrazem ogarnąć nie może. Zrozumiała ją matka, a potem, jakby odrodzony, szczęśliwy zamknął się Wicek na długie tygodnie, pracował. I zesechł i pobladł, jakby gasło w nim życie.

Aż nagle poderwała go jakaś silniejsza od woli pokusa i znowu mu oczy rozbłyły i zahuczała ulica.

Zapłakała matka. Lecz we łzach gorzkich udręki, du-

sza pociechą, jak szczęściem wezbrała, że chłopiec łzami natchniony, spełnił już pierwszą w życiu ofiarę.

Tą dumą radosną przejęta nie zatrwożyła się wcale, gdy Zakrzewski, po jakimś czasie, już postanowił stanowczo, że syna z domu usunie.

— Pójdziemy razem... — rzekła mu z mocą, zawsze bierna, uległa, w doskonałość męża i pana wierząca.

I jeszcze chwila, a zerwałyby się z ust żale przez całe życie tłumione.

Tedy stropił się stary, tylko ramionami poruszył i odszedł, jakby nieoczekiwanem zjawiskiem spłoszony. Odczuł jednak głęboko skrzywdzoną niesłusznie powagę i sprawiedliwość swoich wyroków, jako że z obowiązków ojcowskich, w swoim przekonaniu, całkowicie spełnionych, zdawał sobie trzeźwo rachunek.

Toć przecie żadnej nie szczędził ofiary: żywił, odziewał i uczył. A jeśli chodzi o serce, gotów był kochać nawet wady w swem dziecku. Wybaczyłby mu przewinienia i błędy, sam przecie kiedyś był młodym. Ale jakże tu kochać, jakże zawód przeboleć, gdy syn wprost nie swój jest w domu, inny, niż wszyscy, jak to pisklę kukułcze w gnieździe rodziny.

Jakby stłala w nim myśl, a opadły ręce, gdy po dłuższej rozwadze wyrzekł się syna, bo przedewszystkiem niema ambicji i nic z niego nigdy nie będzie.

Bywa, że błogosławiona to chwila dla duszy przyszłego człowieka.

Jak bywa, gdy lekarz ręce rozłoży bezradnie:

— Nieuleczalna choroba!...

A wtedy chory zdrowieje.

Tak i Wicek uciszył się zrazu.

Przez parę klas przepchał się z trudem i — ustał wy-czerpany, jak człowiek, co przeszedł drogę nad siły, jednak celu dosięgnął.

Nareszcie! Uściskał go stary i pytał:

— Co dalej?

Nagle rozrzewnienie zeszło na duszę. Wzbrała w chłopca po raz pierwszy, potrzeba zwierzeń serdecznych...

Od dziecka marzył o sztuce...

Ledwo usta otworzył, stary spojrzał, jak na warjata, ani słowa nie odrzekł i wprost uciekł od niego.

Lecz po dniach paru do syna się zbliżył, o czemś długo mówili, aż wreszcie ojciec złamał się w sobie, podobno zapłakał...

A po wakacjach poszedł Wicek do szkoły handlowej.

.....
Nie podołał i wrócił.

* * *

Tymczasem Lalutek równocześnie rósł w cnoty, i miłował go ojciec, jak siebie, snując nieskończone marzenia, że gdy oto pradziad posiadał wielką fortunę, a strwonił ją dziadek dobrodziej, należy znowu ją dźwignąć, do minionych przywieźć splendorów.

— Bo pieniądź podstawa, na niej się życie buduje, nie wątły gmach złudzeń, lecz trwałe budynek. Przedewszystkiem wygodny, a wygoda do szczęścia warunek niezbędny.

— A był przecie raz człowiek szczęśliwy, co nie miał koszuli.

— Nie dlatego był szczęśliwy, że nie miał, ale dlatego, że głupi.

— A mama wczoraj mówiła, że pieniądze szczęścia nie dają.

— No to spytaj się mamy, czy będzie szczęśliwa, gdy jej zbraknie jutro na obiad.

Chłonał prawdy życiowe, zamyślał się chłopiec i patrzył

na otoczenie, na ojca uważnie. A choć się tam młodej głowie jakaś własna ścieżyna, przez życie, marzyła, w końcu jednak, gdy doszedł do wniosku, że droga, już przez ludzką gromadę utarta, pewniej, a przedewszystkiem bezpiecznie prowadzi do celu, przyszłe swe szczęście wskazaniom ojca zaufał.

Niedługo, a już z chłopięcą wrażliwością, poddający się wpływom bezwzględnie, uśmiechał się, jak ojciec, wzgardliwie, gdy była mowa o sercu człowieka. Drwił z pracy ofiarnej i twórczych wysiłków. Chwilami otoczenie zdumiewał, skąd w młodym mózgu myśl taka bez ducha, a wtedy nieraz z oczów matki wyrzał nagle serdeczny niepokój przeżyć bolesnych. A potem szła noc, długa, niespana noc matki dręczonej... Co z dziecka wyrośnie?

Zaś radował się stary:

— Będą ludzie z chłopaka. Polsce potrzebni są ludzie.

I słuchał, prawie wzruszony, choć w sobie zamknięty, tylko w trzeźwości i chłodnej rozwadze szczęście widzący, słuchał dumą przejęty, gdy chłopiec nad marzeniami starszej siostry — Klarci się znęcał.

Zawsze w smutkach zamyślenia beczynna, w twardej garści ojcowej bezsilna, całą młodą duszą wydzierając się w światy czarowne, wyśnione dziewczyna. Nieraz krzyk w niej się zrywał, lecz wnet łzami niemocy zdławiony, gdy na każdy poryw ku wyzwoleniu osuwała się ciężkim kamieniem wola ojcowska, obleczona w łachman zużyty serdecznego wyrazu:

— Dla twego dobra, dziewczyno!

Ale dobro upatrzone przez ojców — dalekie, zanim go młode życie osiągnie, nieraz skarb zdepcze po drodze i już, ani śladu po nim, gdy go szukać doświadczonego rozumem, w późną życia godzinę.

Bo tylko to najcenniejsze dla serca i myśli, co w porze

wczesnego rozkwitu zerwane. I tylko ta droga radosna, co sercem wybrana, choćby tam starczych doświadczeń przestrogi, niby gęste wiechy ze słomy, że tędy chodzić nie wolno. Choćby tam i grzęzawiska, przepaście, ale tuż obok kwiat szczęścia, co tylko na szlakach niezdeptanych zakwita.

Marzyły się te drogi dziewczynie. Świat cały był dla niej muzyką, a światem muzyka.

Lecz drwił stary ze wszystkich tęsknot i rojeń i twórczych uniesień. Szkodliwym darmożjadem nazywał artystę, śpiew był dla niego sztucznym kalectwem głosu ludzkiego, muzyka ogrywaniem próżniaków, którzy nie mają co robić z wieczorem, zaś poezja to właśnie najgorsze, co ludzi ogłupia.

Osobliwe zjawisko, że często ojcom tego myśli gatunku, za dziwnem, może złośliwym przeznaczeń zrządzeniem, rodzą się dzieci z sercem gorącym, nieraz talentu porywem, jakby naznaczone łaską za przyszłą niedolę.

Co karą Boską nazywa się w kółku rodziny i w troskach myśli bezradnej schodzi na czoła:

— Skąd się to wzięło? Skąd się to wzięło?

Skąd kwiat cudny blaskiem i kształtem, gdzie się nikt nie spodziewał i oto, jeszcze piękniej rozkwitły i barwniejszy jeszcze.

Czego nigdy nie widzi ten bliski i, radby go zdeptał.

Lecz bywa, że człowiek kłamie przed sobą: w nieczulej myśli i czynie bezdusznym szuka sposobu, aby w sercu zagłuszyć zatajone tęsknoty i żale...

* * *

Drogich chwil mdłego żywota nie trwonił daremnie Lalutek i podczas gdy brat starszy zbijał baki i szyby po mieście, ten domu i pracy trzymał się zawsze, a poza matczyną spódnicą bezpieczny, na Wickowe ataki odstrzeliwał się słowem

wem zjadliwem. Lecz nie nadużywał środka obrony i schronieniu nie ufał, wobec nieprzyjaciela, dla którego, według domowej opinii, nic świętego nie było.

Słaby na zdrowiu i z natury tchórzliwy, czoła mu nigdy w boju nie stawiał, wołał skryte zabiegi, choć tak oczywistą miał nad nim przewagę, bo uczył się dobrze, a mimo że szło mu z kamienia, tak zwanym prymusem był zawsze, zaś Wicek, bliżej końca zasiadał. Ale z godnością, w myśl starej zasady, że nie miejsce człowieka...

— Wreszcie, jak mawiał, — prawdziwa zasługa do zaszczytów nie dąży.

Albo:

— Nikt nie jest we własnym kraju prorokiem... — i z domu uciekał, szukając w cudzych opłotkach uznania. Zaś prorok miejscowy, wbrew zasadzie uznany, snuł przepowiednię:

— Znowu komuś głowę rozbije.

Jakoż bywało, lecz różnie, bo niekiedy i Wicek powracał pokrzywdzony na zdrowiu.

A wtedy z poza pleców matczynych witał go głos przytłumiony, radosny.

— Mówiłem!

To go właśnie najwięcej z całej przygody gniewało, bo co wogóle — taki — mógł mówić. Żeby chociaż wiedział, jak było, ten wylizek, amfibja, pierzyniarz a wogóle — idjo...

Nie kończył i pytał Lalutka:

— Zgadnij co dalej.

Żeby chociaż wiedział, jak było.

Lecz brat ani chciał wiedzieć, a na rozpaczliwe wymysły, odpowiadał jednym wyrazem niezmiennego spokoju:

— Mówiłem!

Dzień każdy niósł klótnię i swary od rana. A nieraz, jak wir w bystrym potoku, co choć w jednym miejscu wodę po-

rusza, ale ciągnie ku sobie, nieraz byle sprzeczka codzienna rosla w wartkie kolisko żalów, zarzutów, aż nagle zwały się z nią, już rozkołysane w lamencie, żalosne wymówki siostr, matki... zakłębiła się wrzawa słów ostrych, bolesnych i płaczu.

I wraz, jakby burza przycichła, jeszcze gniewem dysząca, lecz padło złe słowo, drugie, jak cios, i znowu fala się wzniosła i znowu osłabła, waląc się w stronę najmniejszego oporu, gdzie słowo bezbronne, a w sercu ból w sobie zamknięty.

Była taka ciotka w rodzinie.

Wszystkie burze po niej splywały, aż myśl tam zagłuchła, a gdy dzień pogodny się zdarzył, trwożnem sercem czekała, co wieczór przyniesie.

I z uśmiechem pół-słodczy, pół-bólu szła staruszka przez życie, a blade, wypłakanej barwy jej oczy już nic nie mówiły. Lecz tlało serce; kochała dzieci, Polskę i kwiaty i całym nie było w niej złości.

Przeto nazywali ją — żmija.

Lalutek brał ją nieraz w obronę, lecz mniej się lękała napaści, a ten dzień nazywała szczęśliwym, gdy nikt na nią nie zwracał uwagi.

Tak uciekało im życie. Udręczenia wzajemne, żal, zamysłona tęsknota. A gdy podeszła chwila samotnej rozwagi, tak się i starym i dzieciom zdawało, że z nich każde, jakiś niepojęty, bolesny niepokój już na świat z sobą przyniosło.

* * *

Dzień ważny w rodzinie — niedziela. Odmienia się życie i codzienny porządek. Zwykle jakieś pamiętne zdarzenie.

Każde z dzieci według swego programu: Wicek ledwie zerwał się z łóżka, już z domu uciekał, gdzie? poco? nikt

nigdy nie wiedział, lecz często, już o południu jakieś echa dobiegały podwórza, że coś się tam stało w miasteczku...

Podczas kiedy Lalutek bił się w piersi pobożnie, po kościele spoglądał, czy świeci przykładem.

Dziś, jak każdej niedzieli, gdy do domu powrócił, w świątecznym nastroju, rad z siebie, witał się z ojcem, potem spozjrzał, gdzie siostry.

Klarcia w fotel zaparta, zamysłona, jak zawsze, Zosia lży w oczach.

— Cóż się znów stało?

— Nic się nie stało.

— A becysz, dlaczego?

— Bo mi tak się podoba.

Chwilę się zawahał, potem spozjrzał na drugą. Podeszedł, ucałował ją w czoło i szedł do ogrodu.

— Głupie Klarczysko!

Zawsze grzeczny, układny, choć nikt nie patrzył na niego, siadł na ławce brzozonej, pod drzewem i spodełki na chudych nożynach podciągnął, chwilę myślał o lekcjach jutrzejszych. Lusterko z kieszeni wydobył i spozjrzał po twarzy piegowatej, mizernej, po włoskach rudawych, ubogich, rozczesanych starannie. Poprawił krawacik, zadumał się chwilę, gdzie się to dzisiaj Wicek obraca, bo jednak niepokoiło go, aż do zazdrości, to życie bujne, bez troski, tak zwane złe życie, którego jednak losy nie karzą doraźnie. Dlaczego? — rozmyślał.

Potem, jakąś dłuższą zabawą się zajął, czegoś po gałęziach szukał, potem szedł do mrowiska, pod starą sosną w ogrodzie, gdzie jakby z obowiązku, co tydzień, niszczył radość życia i pracy. I już nieco znudzony tą świętą niedzielą, wspomniat nagle tę chwilę niemiłą, kiedy to w zeszłym tygodniu, zeszedł go nagle ogrodnik w bżów gąszczu...

— Niedobrze, paniczu, niedobrze.

I długo stary uspokoić się nie mógł, aż wąsy mu drżały i trząsł siwą głową.

Wtem, od podwórza głos przenikliwy:

— Na obiad!

Leniwie się dźwignął Lalutek, lecz wnet ruszył z pośpiechem, bo jeszcze nigdy na niego nikt w domu nie czekał.

Podkreślał starannie różnice.

A na ławce, po nim zostały odarte ze skrzydeł motyle, chrząszcze beznogie, ułożone w rzędy, żuk cierniem przebity...

Jakże to czasem z niedzielą dziwnie się splata cały tydzień wzorowej zasługi.

Ale gdzie prawda, gdzie rozum, gdy chłopcu z płonącymi radością życia oczami, co w pełni sił nieprzebranych niezna jeszcze znużenia, wskazują stwór wątły, cherlawy, przygasły, jako wzór obyczaju, porządku, cnót wszelkich.

— Z niego bierz przykład!

Chłopiec słucha i patrzy w skruszonym milczeniu, nie raz w duchu się korzy, może i radby, ale cóż na to, gdy w nim serce radosne, aż piersi rozpiera, jakże serce odmienić?

W innym szczerść, czy instynkt:

— Ja niechęć!

Oczywiście, że to chłopiec zuchwały i nie ugnie się łatwo... — Ale — może będzie szczęśliwy... — ktoś tam poczeka.

— Jakże będzie szczęśliwy?... Kiedy nawet szkoły nie skończył. Ach, panie, co my przeżywamy z tym chłopcem.

— Tak... trudny charakter. Ale za to ten drugi.

— Złote serce w tem dziecku.

* * *

Obiad rodzinny — dwa tylko wyrazy, ale jakże długie i jak rozmaite to pasmo wspomnień, namotane w myśli.

Stół biały, pod lampą, a przy nim tak zwane miejsca. Jest pierwsze, jest strona lewa i prawa większej zasługi, czy tuszy, środek nieokreślonego znaczenia i szary koniec, dla dzieci i osób, z którymi nikt się nie liczy. Patrzcie kto pierwsze zajmuje: jeśli matka, to więcej serca w rodzinie i gwaro za stołem, jeśli ojciec, to przemoc i cisza.

Zdarza się, że miejsc stałych niema, każdy siada, gdzie bliżej. Bywa głodno w tych domach, ale za to zawsze radośna pogoda.

Regulamin w domu Zakrzewskich panował surowy, bo stary lubił porządek, którą to zimną cnotę dziedziczył syn młodszy; ładu i dobrych obyczajów, przy jedzeniu gorliwie przestrzegał, pewny ojcowego poparcia.

Cisza była zwykle za stołem: stary czytał gazetę, zrzadka odezwała się matka, a reszta — o czymże mówić by mieli, kiedy wiadomo, że nic nie obchodzi tutaj nikogo, prócz własnego żalu, a dosyć by ktoś rzekł czasem słowo, bez rozmysłu dotknął myśli bolesnej, wnet się burza zrywała.

Tak się zdarzało, że lubił gadać tylko Lalutek. Ledwie zasiadł za stołem i serwetą otulił starannie, już począł jakieś szkolne zdarzenie. Lecz nikt prawie nie zwracał uwagi, wiedząc dobrze, że w końcu wyłoni się, jak zawsze, osobista zasługa — sprawa nudna, codzienna.

Właśnie owej niedzieli, ku końcowi już biegła opowieść:

— ...więc, wtedy pan profesor Gajewski pytał się wszystkich, więc nikt odpowiedzieć nie umiał, więc pan inspektor się pyta, który jest pierwszy, a pan profesor powiada — Zakrzewski. Więc ja wtedy, najsamprzód, obliczyłem powierzchnię i wziąłem część ósmą ABC, z czego już mi wypadło, że...

— Łże Luluś... — mruknął Wicek, półgłosem.

— A ty bierzesz w sklepiku, na kredyt.

I już jakby zjeżyli się chłopcy, gotowi do walki, niby dwa gniewne ptaki.

— Już się zaczyna... — ktoś szepnął.

Lecz uspokoił się Wicek, a pewny słuszności, mówił spokojnie:

— Łiesz Lalus... Bo choć prawda, że Gajus zadał to obliczenie i prawda, że Foka się pytał kto pierwszy, ale kłamstwo żeś ty to zadanie rozwiązał. Bo to właśnie zrobił Kapliński. Nawet Foka się dziwił, bo zadanie wogóle było dość głupie.

I półszeptem dorzucił, lecz z nietajoną radością:

— Ale ty byłeś głupszy.

— A ty, papierosy, na kredyt.

— To nie należy do rzeczy.

Przewaga była widoczna, więc ojciec wdał się w rozmowę.

— Owszem, wszystko należy, zwłaszcza, gdy ktoś kłamstwo drugiemu zarzuca.

Cisza, każdy coś w duchu przetrawiał, ale bał się rzecz słowo, nagle odezwała się ciotka, zawsze bezgłosa. Zawahała się chwilę, gdy odczuła zdumienie.

I wraz padły w ciszę wylęknione jej słowa:

— Oleś nigdy nie kłamię... — Jakby się w niej nagle prawda całego życia zerwała.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niej z wyrzutem, a w mózg poruszony i drżący płomień wstydu uderzył, kołysał się chwilę bolesny i zagaśł wzruszeniem objęty.

Nad talerzem nisko pochyliła się biała głowa staruszki, a na brzeg szafirowy coś zapadało w pośpiechu.

— Ach, ciocia znowu!

— Ciocia zawsze, w niedzielę.

Stary, od gazety wzrok przeniósł w tę stronę, ramionami poruszył:

— Przyjemność.

Jako trudno się jadło, coś drżało każdemu pod sercem, a dzień już widać był taki, gdzieś zapisany, że coś stać się miało ważnego w rodzinie.

Nagle z ust Klarci zbiegły rwące się słowa, krzykiem żalu tłumionego przez lata.

— Ja... dosyć... Nie mogę...

Wzburzona, zmagająca się mgnienie, lecz w tej chwili ogarnęła ją trwoga, gdy ojciec spojrział na nią jasnymi oczami, złym, zimnym wzrokiem.

— Cóż to za przedstawienia świąteczne?

— Ja... proszę ojca... ja chciałam wyjechać...

— Bardzo miła rozrywka. Jabym także wyjechał, ale...

— Mnie niewiele potrzeba, nic prawie prócz wolności. Ja się tu duszę. Chcę powietrza i pracy.

— Powietrza dosyć w ogrodzie, praca jest w domu.

Rozbłysły jej oczy — poniosło:

— Praca... Buchalterja... rachunki i ciągle nowe pomysły... Nie! dosyć... Nie można męczyć kogoś tylko dlatego, że się urodził w tym domu... gdzie niema kąta, gdzieby leż naszych, czy matki nie było, gdzie jeden tylko człowiek szczęśliwy, co ludzi żywych pogrzebał...

Stary złożył starannie gazetę, wygladził, spojrział na matkę, jakby ją przebił uśmiechem. I ciął zimnem słowem spokojnie, choć już gniew w nim przybierał.

— Kwiaty, łzy, groby... Czy nie lepiej, poprostu, że potrzeba pieniędzy; skończylibyśmy wcześniej tę miłą, choć bezcelową rozmowę. Ja nie mam pieniędzy.

Wstał, krzesło odsunął.

— A podróżować bez środków, rzecz dosyć przykra... — i szedł do starej komnaty, kancelarię nazwanej,

gdzie dziad, pradziad niejedną troskę rodzinną przeżywał. Lecz prędzejby w dziecko „cisnął obuszkim“, niż słowa tak gorzkie usłyszał.

Zeszła niemoc na Klarcie, blade ręce jej zwisły i tłukło się serce, jakby ostatnim wysiłkiem znużone. Utuliła ją matka.

— Jak ty mogłaś? Jak mogłaś, dziewczyno?

Łzy i wyrzuty, ale myśl aż zmęczona chwilami, gdzie tu krzywda, gdzie prawda?

I znów, jak od lat, w zadumaniu bolesnem idzie smutny dzień, niesie łzy, rozmyślania. Łzy znowu i myśli bezradne.

Potem wieczór i noc, bez nadziei jutro...

Aż podejdzie nieznacznie dzień taki, co, niby ów, z ziemi dalekiej czekany wędrowiec do serca osłabłego zapuka:

— Czas, pani matko.

A wtedy jeszcze tej ostatniej godziny w duszy zabiega niepokój: co z niemi, którzy zostaną? Życie, zda się, ledwo poczęte, tyle jeszcze zamierzeń... Może i szczęście?... Szczęście czasem przychodzi, na schyłku...

— Czas, pani matko.

* * *

Do pokoju cicho otworzyły się drzwi, a ledwie je po chwili ostrożnie zamknęła dziewczyna, już na stół kuchenny poleciał z łoskotem półmisek.

Obie ręce w boki zaparła.

— No i powiedz, ty moja kochana; znowu, psiekrwie, nie jadły.

Zadumały się obie nad niepojętem zjawiskiem.

— Czasu nie mają, czy co? Jedna wojna u nich od rana. Jak te psy w kupie, tak się gryzą i gryzą.

A psom ani w myśli niezgoda. Cieszyły się życiem, radowały słońcu, wiernie, serdecznie kochające ludzi.

Jeden tylko Bekas, co miał we krwi przekazane skłonności — tęsknił za polem, wolną przestrzenią i, coraz zajądziej targał się ze swoim i obcym w zamkniętem podwórzu.

VII

Nie stało Klarcie w zagrodzie. Nie żegnając się z nikim zwinęła ubogi tobolek i wczesnym, szarym rankiem... Dziwne uczucie i dławiące i błogie, gdy drzwi odchyliły się przed nią, na wolność...

Ktoś zbliżył się do niej bezgłosy i nikły, jak cień, aż się cofnęła wylękała.

— Nie bój się dziecko... I niech cię Bóg... — w cichem zalkaniu rozplynęły się jakieś wyrazy, a drżące palce wiskały jej w rękę starodawny klejnocik — coś z czarnej emalii, a na tem z djamentów różyczka.

Zawahała się chwilę dziewczyna.

— Weź... weź... sprzedasz w smutną godzinę... — i coś tam jeszcze ze łzami i, jakby jakaś przestroga — pamiętaj!...

W mrok zasunęła się — żmija.

Drzwi za Klarcie rozjękły, jakby żalu ludzkiego wyrazem.

A o południu, wrzawliwie, w pośpiechu zagadała ulica:

— Zakrzeszczanka dziś w nocy — uciekła!

— Z kim, — z kim? — pani droga.

* * *

Stary zdarzenie w kancelarji przeboleł, lecz nie odmienił nic w duszy.

Wróg nawet własnych porywów, wierzył tylko w rachunek i tak mu się zdawało, że w końcu jakiś system w ży-

ciu odnajdzie, który zmoże wszystkie przeszkody — zle moce, do szczęśliwości przywiedzie całą rodzinę. Jak ów człowiek pewny wygranej, właśnie dlatego, że całe życie przegrywał. I pojąć nie mógł — dlaczego?

Toć znał wszystkie błędy popełniane przez ojców i dziadów, gnębił skłonności dziedziczne w zaraniu, a usuwając złego przyczyny, rozumiał, że prędzej czy później skutek osiągnie, po myśli.

Pan z panów, strzegł dziecko od pocuć pańskiej wyzłości, każdy ślad wyróżnienia starał się z życia usunąć, a nie odczuwając przesady, bosko kazał dzieciom biegać po dworze, mówił ze wzgardą o szlacheckiej zasłudze i wierzył, nie wierzył, ale przy każdej sposobności nauczał, że w ludzie jedyna Polski ostoja.

Jednak aż do krwi chłopcy się kiedyś pobili, gdy Wicek bratu powiedział: — ty chłopie! Zaś wyraz: — chamstwo, w kłótniach dziecinnych był tak krańcowo obelżywym określeniem upadku, że już po nim nic nie mogło nastąpić gorszego.

Zaś bosonogi Wicek, napotkawszy pewnej niedzieli piekarskiego synka, strojnego w aksamity, unurzał go w jakimś rowie przydrożnym, a gdy wytoczyła się sprawa i pytał się ojciec dlaczego to zrobił:

— Bo — Pietrzak! Pietrzak w aksamicie!

— A cóż ty jesteś lepszego? Zakrzewski bez butów, który uczyć się nie chce?

Rozgorzały oczy chłopięce:

— Może nie lepszy, ale ja jestem inny. I krew inna we mnie.

— Któż ci o tem powiedział?

— Czytałem... — i recytował, wzburzony do łez:

— Zakrzewski Andrzej, herbu Gryff, jeździł w poselstwie do Bajazeta... Zakrzewski, herbu Ogończyk z przy-

domkiem Zbożny... Zakrzewski wojewoda chełmiński, Zakrzewski herbu Trzaska... Tylko że dotąd nie wiem, z których ja jestem.

— Ty jesteś z durniów!... — stary gniewem wybuchnął, lecz wnet pomiarkował, że niezbyt pomyślnie genealogię wywodzi i jeszcze się więcej obruszył.

Gdy zaś go nieco odeszło, aż głowę w strapieniu pochylił.

— Żle... — myślał. — Boć to i on sam przecie, w lata dziecinne, chłonał łakomie dzieje pradziadów. Ledwie odrósł od ziemi, już wiedział, kto go rodzi po mieczu i po kądzieli, a rad był wielce ojciec jegomość, że syn dobrą krew w sobie ceni.

— Taki nigdy nie zginie... — I nieraz jedynaka do siebie przygarnął i, gładząc po równo nad czołem przyciętej czuprynie, przestrzegał:

— Pamiętaj, dziecko, żeś — Trzaska. W smutnej doli to ci będzie pociechą, a nawet w ubóstwie tą cichą radością, że masz klejnot bez ceny.

Jakby przeczuwał, że nie z kwiatów uplecie się życie.

A za tym, dalekich wspomnień powiewem, przyszła mu na myśl przywiązana do rodziny opowieść, którą stworzył ktoś, znając szlachecką, przeczuloną w sprawach urodzenia, wrażliwość. Ową wrażliwość, śmieszna tak często, niekiedy dostojną, lecz zawsze świadczącą o miłości dla narodu i rodu — uczucie, które stary za przekleństwo w spełnieniu celów życiowych uważał i radby je wydarł z duszy swych dzieci przemocą, czego pono nie zdołał ze swojej.

I oto, po tej krótkiej z synem rozmowie przyszło nagle poczucie, że daremny wysiłek, gdy coś w myśl już wrosło i w serce, z czem, bodaj, że człowiek się rodzi.

Jak właśnie o tem świadczyła przechowana w pamięci rodziny, jak powiadali — legenda, a potem — cudowne zda-

zenie. Oto jeden z Zakrzewskich — syn dawno czekany, gdy na świat się zjawił, ledwo chwilę wypoczął, po tej choć niedalekiej, ale uciążliwej podróży, wnet spojrzał, w zachwyceniu widocznem, po starej komnacie, wzrok wdzięczny na ojcu zatrzymał.

I nagle, któżby chciał wierzyć:

— Boża łaska — gdy kto Trzaska! — rzekł pono, jak stary.

Cud był widomy, przeto chrzczono młodzianka — Bogumił, a choć ojciec wyrazów nie słyszał, toć nie dziw, gdyż był wielce zdarzeniem narodzin wzruszony. Za to inni, a głównie panna respektowa trwała w gotowości nawet do kościelnej przysięgi, że dzieciąteczko coś rzekło, a i stary kredencierz — człek zaufany, gdy należycie wytrzeźwiał, kłął się na wszystko, że te słowa właśnie.

Lecz po owej cudowności zdarzenia przyszła troska takowa, że rok minął i drugi, a młodzianek precz milczał.

Ledwo w czwartym roku mówić się uczył, a po latach, choć pan był wielkiej wspaniałości i dumy — całe życie dość słabego umysłu, co jasnem się zdało, gdy w pierwszym życia momencie tak znaczne, a zgoła niezwykle poniósł ekspensa.

Zaś gdy dłuższy czas minął, a zachowane, z nabożeństwem, zdarzenie nabrało uroków przeszłości i smaku, jak wino, ojciec cudownego dziecięcia kazał w dworzysku na belce pułapu wyciąć napis słów wyrzeczonych, aby świadczył na długo.

Uczynił to bez pomylenia człek biegły w literach, barwą napis napuścił i trwało wiek z górą, na oczach i w ludzkiej pamięci, nieraz opowiedziane — jak to było — przy stole biesiadnym, i jak to Pan Bóg umyślił tak widocznym faworem ucieszyć ród zasłużony na ziemi i w niebie.

Tedy uśmiechali się panowie-bracia pod wąsem, na tę pychę nad miarę, nad wiarę i, pili — za zdrowie.

Ale dawno już pochyliły się zręby starego dworzyska w podwórzcu, osunęły się w ziemię, aż w końcu wicher rozrzucił belkowanie zmurszałe i dziś, w żywej próchnicy pleni się tylko chwast rozmaity, ciemną, bujną zielenią panoszy, na zniszczeniu wyrosły.

Aż się gorzko stary uśmiechnął, gdy wspomniał rodzinną powiastkę. Białą głowę zaparł w ręce, błękitnemi żyłami przejęte i dumał stroskany, bezradny.

Życie zbiegło jak mgnienie. Co dalej, gdy ani odnowa poczynać, ani się cieszyć plonem pragnień spełnionych?

Słał się zachód, po ziemi, po murach złotawym płomieniem. Przejrzał małe szybki okienne i już smugą tęczową sunął po starych portretach kolejno, jakby je liczył i coraz bladeścią smutniejszy zamierał, aż przygaśł na złotej krawędzi, u skraju.

I już, chyłkiem zmrok leciał, otulał, co jeszcze przed chwilą jaśniało, a mary z lat dawnych szły za nim powoli, na myśli...

* * *

Tak było ze wszystkim, czego w duszach swych dzieci dotknął przemocą. Zdawało mu się, że głowę złemu urąbał, a tuż nowa i niejedna urosła, jak to bywa w żywotnej drzewinie, gdy człowiek niepotrzebną, w swoim mniemaniu, wytnie gałązkę, a wnet przy niej, ze śpiących oczek silne pędy wybiegną.

Nazywają się — wilki, silne i chciwe, a wraz z niemi przyziemne pijawki, dziko spodem wyrosłe, piją soki i życie, rosną bujnie, pod niebo, aż zgłuszą szlachetną koronę.

A tu jeszcze i ziemia uboga, wyczerpana już dawno, nie dziw, że siły uchodzą i z duszą przygasa moc życia.

Rok za rokiem chyli się drzewko osłabłe, pokrzywione

w męce. Mchy-pasorzyty już rosną na korze i dawne otwierają się rany.

Aż nagle, o wiosnie, ostatnim wysiłkiem zakwitnie i rzuci kwiat plony, trwa jeszcze przez jesień, w pożółkłym przedwcześnie listowiu i umiera pod zimę.

Lecz śmierć *ultima ratio*, a młode życie, wszechprawa początek. Drzewo nieraz w tej walce szlachetny zatrać i żyje wiek długi, jak człowiek, co duszę poświęcił dla bytu.

Był taki sad stary przy dawnym podwórzu, snuł się po nim człowiek wiekowy, opatrywał dalekie niedobitki przeszłości, ciął na nich gałęzie, szczepił nowe odmiany. Lecz starym jabłoniom jakby słońce już zbrzydło, żyć nie umiały, czy już siebie przeżyły.

A wszystkie płaczące. Jakby zwisłemi konarami pnia strzegły, gdzie już rdzeń ciemny, zmurszały i życia niewiele, lecz siła krzepkiego pozoru. Ja w tym starym człowieku, co z pańska wyniosły, orlego wyrazu, lecz chwilami już jakby stargany i w myślach rozpierzchły, nic w życiu przed sobą nie widzi, nierad się za tem, co było, ogląda. Ale jakże mu serce odwrócić, gdy co kroku, na ubogiem dziedzictwie, wspomnienia? Jakże myśli zakazać, gdy nocą zamarzy?

Dlatego też może nowi ludzie, bez wczoraj za sobą, tępią z taką ochotą starodawne lasy, burzą dawnych murów pamiątki, byle nie mieć na oczach tej niepojętej radosnej miłości, z jaką człowiek dawniejszy każde dzieło poczynął, wiódł je z umiłowaniem serdecznem do końca, aż w martwe tworzywo tchnął żywą duszę.

Stary człowiek już tego nie umiał, czy nie chciał, jednak nie tknął dawnego ogrodu. Chciał go tylko przeszczepić.

Tymczasem, jakby w mrok czarny i niemoc osunęło się życie.

Jakby ktoś cisnął zły urok, rozbiegła się nagle po świecie, za światy odeszła Zakrzewskiego rodzina i został samotny, jak ptak opuszczony, żaloszny, gdy go swoi odlecą.

Ledwie rok zeszedł, a za córką, po której ślad zginął, syna wojna porwała i poszedł ów Wicek ladaco, gdzieś na Karpaty, jak idą w gromadzie, a pierwsi, ci właśnie nieudani synowie. Drugi zagranicą wołał się uczyć, bezpieczniejsza zasługa. Zosia komuś z brzegu rękę oddała, rada, że dołą odmieni, a matka, jak matka, toć już niepotrzebna była nikomu...

Stary z ciotką pozostał, niedługo, bo ledwo już tlało tam życie, a gdy jakoś raz huknął na nią przygłośno, zgasała, w cichości, bez jęku.

Nawet nikt o tem nie wiedział, że w podróż, bez powrotu się zbiera, bo rankiem — już martwą staruszkę w pokoiku znaleźli. Jedno tam było okienko, mirt, fuksje, geranium, białą siatkową firanką zasnutą i stara, jesionowa komoda, a nad nią panienczka w rogówce, z wachlarzykiem i różą. Niżej dagerotyp starszej pani w koronkach, zaczesanej w nioby i jegomość, z czubem, w aksamitnym halsztuchu — postaci już dzisiaj niewidzianej pogody, nieznanego wdzięku.

Pod białą ścianą łóżeczko, święty obrazek, jakieś poschłe wianuszki... lecz powiadali, że prócz tego dobra, na oczach, coś po niej zostało.

Oczywiście — zostało, bo przecie zapisała majątek:

Stary sztambuch w zrudziałej okładce, spięty bladą klamką — dla Zosi, pierścione z umarłym turkusem — jej siostrze, zaś sepecik, wykładany masą perłową, gdzie tylko jakaś szmatka krwią ubroczone, a przy niej kartka r. 1863 — Wickowi.

I wszystko. Tylko jeszcze trochę bielizny, rozdanej, z pamiętliwą miłością ubogim w miasteczku.

— Miała ci też, miała co dawać, — perkalową kosiulę.
— Dziadówka!

Tyle mowy nad grobem, gdy trumnę z herbowym klejnotem ponieśli z podwórza.

VIII

Jak okiem sięgnąć, legło dziedzictwo: od stajni, walącej się na kopiec graniczny, po krzywe opłotki, co sad stary grodziły. A dalej już cudzy splech łąki, drzew niedobitków skupiona gromadka, pamiętająca park dawny, nad jezior-kiem schyłona. I opodał miasteczko, gdzie żydzi odprawiali modlitwy nad strugą, co choć wątła z pozoru, lecz wiosną rozlewna płynęła zdaleka, wijąc się przez sine przestrzenie zrudziałą sosną i bujnie zieloną olszyną przerosłych szuwarów okryte, kędy tu i owdzie brzoźki białały, niepozorne, smutne, jakby swym przeznaczeniom nierade.

Nieużytek dla ludzi — raj ptactwa błotnego. Odwieczna siedziba kaczek, nurów, perkozów, chruścieli i krzyków, tokowiska cietrzewi i żórawie lęgi. Przytułek każdego stworzenia, co, przez trwogę zagnane, tu bezpieczeństwa szukało, gdzie strzał nie dosięgnął, a podstęp ludzki, bezsilny, tylko po brzegach się błakał. I nieraz myśliwy, ów łubownik przyrody, sięgający całą garścią śrutów po życie radosnej ptaszy-ny, nieraz przetrwał tu dzień długi, ale świata nie widział, zapatrzone, wsłuchany w życiem kipiące moczary i, aż drżał myślą drapieżną: jakby tu, jakby...

Pogwizdywał na pieska.

— *Allons* — szukaj, *allons!*

Lecz pies ani myślał w tę stronę, lękał się bagnisk, zwo-
dną zielenią porosłych, kędy ciężki rogacz sunął lekką ra-
cicą, a nieraz spłoszona w lasach samura przewalała ciel-
skim olbrzymiem przez grzęzawiska przepastne, wiedząc za

sobą rechtające w trwodze potomstwo. I kędy zając sadził z kępy na kępę, wypatrując gdzie pole i lis nocą sznurkował, tropiąc szlakiem tajemnym, zawsze bezpieczny.

— *Allons* — piesku, *allons!*... — aż nieraz zawył lega-
wiec, w niemocy — nie umiał. Zbył dawnych instynktów w służbie u ludzi, stracił zręczność i siły, za to rozum prak-
tyczny wykształcił.

A tuż na dwa strzały, może na półtora, ale nigdy bliżej, raz wraz, z kępy sitowia podrywa się ciężka krzyżówka, z łoskotem bijąc skrzydłami, a gdzieś zdaleka, od smug sinych, krętym lotem wysunął się bekas, strzałą zapadł w bajora. Coś tam zachrapał, a na znak dany, z łodyg splełanych, traw suchych, z szelestem targnął się drugi i cupnął opodał, a wnet, w nagłych rzutach, tu i tam chybkie skrzydła prze-
mknęły i już całe stadko podkasanych błotniaków po ciem-
nym splewieniu się snuje. Leczą, jakby troska na myśli: głowa w barki wciśnięta, dziób schylony ku ziemi, krok mierzony z rozważą, cała postać skupiona, jakby duma nad życiem.

Niedaleczko na brzegu, o dwa strzały, półtora, w niepo-
koju drży człowiek.

Ale oczy drapieżne łubownika przyrody już w inną stronę zwrócone, gdzie za kępą rudych porostów, w maleń-
kiej ciemnofalistej zatoce, na smudze słonecznej szczęśliwa
gromadka.

Dziatwa pluszcze się w wodzie, to nagle rozpierzchnie,
to skupi, to znów jakaś inna zabawa: biegną wszystkie po
fali, nagle pod nią zapadły i cisza, aż gdzieś tam, z pod rzęsy
ciężkiej i zwartej, łepiek ciemno brunatny wychynął, a tuż
cztery, dwa jeszcze i już płyną w poważnem skupieniu, póki
znów nagle ochota nie ciśnie, aż skry srebrne polecą.

Ledwo skrzydła rosą podlotom, ale przecie bezpieczne
w zaciszu, gdy czuwa nad niemi doświadczona matka. Choć
z pozoru nie zwraca uwagi, tylko sobą zajęta się zdaje, po-

rannej tualecie oddana, właśnie muska i gładzi z lubością pierś rdzawą, o blaskach klejnota. A potem srebrzyste, drobna łuszczką znaczone podbrzusze i znów sunie zabiegliwym dziobem ku górze, pieści białe podgardle, aż sprężyła się smukła, na czarnym, obłaczystym pniu olchy, kształtem migotliwie świetlistym, rozechwianym w fali.

Aż zachwyci się dusza tym szczęścia i wdzięku urokiem, i... broń do oka dłoń pewna podniesie.

— Daleko... — w myślach żalem rozjęknie.

Więc zamyśli się człowiek i już chytrze obchodzi, a chyłkiem się zbliża, już czołga się człowiek, już oddech zatrzymał...

Nagle krzyk trwogi w szuwarach: — wróg, wróg!

Szybkim blaskiem osunęła się w wodę cyranka, nad młodemi już tylko kołysze się fala. Niezdarny długodziób z zadumania się ocknął, ani go poznać tak się odmienił, wydłużył i strzałą zaszył w sitowia, a tuż ciche szmery pobiegły. Jeszcze gdzieniegdzie zgłuszone wzywania, szybki trzepot skrzydłami i na głuche, zda się martwe, pustkowiu osunęła się cisza.

I tylko... — bo czyż to kiedy cisza bez tchnienia, bez głosu? — i tylko trawy w cichym poszumie i cyka gdzieś w głębi niefrasobliwa ptaszyna, a nad głową człowieka zwiewnym lotem chyli się czajka — straż granic przywodnych, drwi z niego głosem przekory: — idź — idź! i — idź!

Na wieczorne przeloty zbierają się ptaki, mkną z cichym poświstem, chrapaniem, a inne bezgłose, jak cień. Ciągną swoi na wschód, od zachodu goście.

Lada chwila pocznie się na wodach wesele. Już — już godowników głosy. Już się stroi kapela...

Zdała gdzieś bzyknął kaczor, gach stary, bliżej odpowie-

dział mu drugi opryskliwym, złym głosem. I chwila, a tuż, jakby kamień spadł z wysokości, aż woda rozpluła, a rozległo się rzeźko, tęsknotą targane kwakanie. Chybki cień sunął w tę stronę, gonitwa, a z góry raz po raz, uderzenia o wodę i już krzyki, wzywania, dziwną słodczą przejęte pojęki i głos walki chrapliwy i szmery tajemne, szepty, szelesty. A wraz dźwięcznym rzechotem odezwała się zgrana kapela i ucieła nagle. Znów zerwała się z mocą...

Pląs ruszył przez wody. Już przewala się, kłębi radosne wesele. Ani poznać kto z gości, kto wzywa, kto tam odpowiada, w tej wrzawie trąb, dzwonków, trajkotów, gdzie raz wraz jakieś — hu-hu! zdaleka uderzy, zakotłuje się wirami, w zgiełku radosnych poświstów gna i ucieka, aż wody jednym krzykiem ogarnie zachwyt ślepy, ogłuchły — czar zycia.

Człek stary z duszą pełną goryczy nieraz tu się błakał. Pono kiedyś miał wielką fortunę; strzelbę i pieska-Bekasa i radość, co z krzykiem zrywała się z duszy, jak ptaki. I jak ptaki, pod jesień uciekła.

A z barwnej młodości, z jej szarów i pieśni zostały mu tylko owe szepty pożółkłych i zeschłych szuwarów, co przez wody zacichle niosą w życie ostatnie tęsknoty za tem, co było, o wiośnie.

* * *

Śladem potarganych, grabowych szpalerów, stary samotnik często w te strony wędrował, gdzie w dawnym parku gruzы wapienne z marmurów, ledwie ślad tylko strzelistej kolumny, walająca się głowa bogini, jakaś ręka z rozbityą amforą. I zwały kamienne, lochy w ziemi wyżarte, groty, usypiska, a na nich szczątki wymyślnych budowli, skąd nie-

raz wbrew woli cichym nietoperzym lotem biegły dręczące prawnucze ubóstwo wspominki, gdzie kto kochał, jak szalał i trwonil ostatki fortuny, gdy widokiem znudzony zapragnął w kunsztownych wirydarzach odmiany. I, jak się podobno zdarzyło, dział kniei wyrąbał, gdy mu przyszła ochotka rząd cytryn zamorskich ustawić w dziardynie, byle oczy nowizną ucieszył do jutra.

Lubił szlachciec odmiany.

Jednych wód tylko nikt z rodu nie dotknął, owej głębi świetlanej jeziora, gdzie od wieków tylko nieba odbicie kołysało się w swojej cudownej, co dnia innej zmienności, gdzie chwast błotny nigdy nie wyjrzał z topieli, a człowiek nie śmiał jej zmącić.

Choć niejeden zamyślał, bo ryb było mnóstwo nie łwionych nigdy, ale któżby się tam ważył na koszty, żeby wodę spuścić z jeziora. Żydek wołał połów w mętniejszym zaciszu, a swój człowiek — nie wiedział, czy się to opłaci.

Raz tylko, a nie dla zysku, sięgnął, aż do dna pan polski zuchwale, o wydatku nie myślał. Nie znał tego wyrazu — ojciec starosty, sam kasztelan, świeć Panie nad duszą, jak coś mu w życiu blasków szczęśliwości użyczał.

Trzasków syn prawy, karmazyn, pan wspaniałości był znacznej, przytem, że ukształcony i wielkiej ogłady przyczynił rodzinie splendorów, ale któż to bez — ale, owóż nieco, a może i nazbyt był na wdzięki niewieście wrażliwy.

Rzadki człek rzuci w tę stronę kamieniem, bo któż to Pana nie chwali w najdoskonalszych dziełach stworzenia?

Przeto trwał w pobożności, a w stanie bezzęnnym pan kasztelan. Żył jak w umajonym ogrodzie, gdzie kwiecia zbyt wiele, aby jedną barwą się cieszył, aby jednym, choćby najwdzięczniejszym miał kontentować zapachem... Aliści, gdy mu w tem stadjum wielorakich zachwyty spłynął już żywot pod czwartych krzyżyków zadumę, a zgoła jeszcze

nie przygasły zapalnej młodości wigory, taką właśnie w pełnem rozwiciu i krasie różyczkę napotkał, że chciał ją widzieć w życiu — jedyną.

Jejmościanka była domu zacnego, przytem niezwyklej, a nieco wschodniej urody i jakby gorzał w niej płomień, tedy nie dziw, że Adonisa już trocha przyschłego tak łatwo ogarnął. A choć zrazu przeraziło go ździebko, że sprawa kościelna już nad nim zawisała, lecz wrychle tak go owa płomienista uroda dojęła, że, nie sięgając innych sposobów, lecz z przystojną godnością, po umyślnie urządzonym festynie, deklarował panience sentyment:

— Życia bez waćpanny nie widzę.

I prosił o rękę, z błogą myślą o reszcie wielce foremnej, a w samą miarę obfitej całości.

Ani mu w myśli powstała odmowa, tedy już sięgnął po perłowe puzderko, skąd pierścień rozgorzał.

Lecz w śmiech uderzyła panienka, jak w srebrzysty dzwonek, co echem rozległ się w duszy, aż mgnienie bolesne obudził, jako że był całkiem nie w porę. Pierwszy raz w życiu usłyszał go kasztelan, w takowym momencie.

Spojrzał zdumionemi oczami:

— Zalim rzekł coś nie do rzeczy?... — skry mu błysły w żrenicach.

Pomiarkowała się panna, zaś rada w duszy takiej zdobyczy, umyśliła sprawę przeciągnąć, a zabawić się nieco ową trochę spóźnioną miłością.

Tedy głos odmieniwszy i wyraz tłęcej w oczach pustoty:

— Nie, mości panie... Tylko żeś począł tak zagną, że mi dziwnem się zdało...

I w zakłopotaniu czarownem rozchylając ustka, co drżały krótką chwilę w niemocy, szepnęła:

— Jam to pierwszy raz w życiu, nieboga, słyszała... — i coś, jakby łezka.

Rozrzewnił się pan kasztelan, gdy spojrzał w oczy przyćmionego blasku, kędy po rzesach szybkie wzruszenie pobiegło i wraz osunęły się z ust słowa nieśmiałe:

— Ja, proszę waćpana — wybaczyć...

Aż się ku niej, w żywości, poruszył, radby ją porwał na ręce, lecz się w sobie uciszył i ją gorąco przepraszać, że nagłość afektu tak spłoszyła panienkę. Aleć wina nie jego, powiedział, tylko owej urody, co mąci rozum w człowieku, odbiera przytomność myślenia, zaś serce karanem być przecie nie może, gdy umysł pobłądził.

I pytał głosem już jedną tkliwością przejętym, czyli mu na przyszłość nie odbiera nadziei.

— Ja nie wiem... Toć splendor oczywisty jest dla mnie, sieroty... Ale w zamierzeniu tak ważnem... Ja nie wiem... rodzina...

— Chciałbym tylko sercu waćpanny zaufać.

— Śpi we mnie serce... — ale oczy jakby z błaganiem na pana wejrzały, by je zbudził z uśpienia, co rychlej.

Czego pragnął, to w nich wyczytał, tedy po chwili rozmowy tkliwej — gorącej, naprzemian, sięgnął znów po puzderko i kuśił pierścieniem, tak prawiąc, że nie śmiałyby tych blasków równać z jej oczów promienistą jasnością, by go zaś Bóg nie pokarał, nie odebrał mu wzroku. I nalegał gorąco, aby choć zezwoliła ten pierścień do dłoni liljowej przymierzyć, czy zdatny, czy się nie powstydy martwych swoich blasków.

Aż, jakby czarem słów, tak sercem wymownych ujęta, zawahała się panna. Ale już się niezbyt uczuła bezpieczną, miarkując, że gracza starego byle czem nie zbędzie.

Więc, po *modus* do główki, aby wilk był syty nadzieją, bez obawy owca.

— Dobrze... — w zadumaniu szepnęła. — Ale jakże go potem zdejmować... Powiadają, zły omen...

Radosny schylił się do jej ręki, usunęła go lekko, ledwie tknąwszy palcami.

— Ale, nie tutaj. Gdzieś zdala od ludzi... pod błękitem, wśród fali, gdzie nie sięga gwar życia, tylko ptaki bezgłose w zachwyceniu, wysoko...

Szli właśnie przez wirydarz, kędy opodał, lśniło wód zwierciadło. Rozmarzone jej oczy pobiegły w tę stronę:

— Niechby tam wyspa, a na niej altana...

I zadrżała mu w oczy kuszącym urokiem:

— Tam przyjmę pierścień waszmości.

Nie byle pomysł mógł być zmroczyć nawet pańską fantazję, lecz kasztelan tylko wody okiem ogarnął i rzekł krótko, dość twardo:

— Dobrze! Jakiż termin dajesz mi waćpanna?

— Do południa, do jutra.

I jakby jeszcze niepodobieństwa jej mało, przyrzuciła jeszcze:

— I niechby kwitły tam drzewa. Ja tak lubię kwiat gruszy...

Już się żegnali. Jejmościanka szła na gościnne pokoje i zwała pannę służebną, aby jej niosła wodę trzeźwiącą od nagłej słabości, zaś pan kasztelan, jakby mu sił w dziesięcioro przyrosło, słał rozkaz za rozkazem, w podwórce.

Już chłopstwo pchnął w lasy, kazał bić tratwy, dysponował sto wozów zaprzężnych. W mig całą okolicę poruszył, sięgnął daleko, a choć ludzie ówczesni do szaleństw nawykli, jednak, tym razem, nikt już nie wątpił, że pan nagle, choć spodziewanie na rozumie zachorzał.

Lecz krótko się ważył opierać, gdy takie rozkazy. Wnet wola panowa niezlomna rozpalila ochotę: zadudniały lasy pod łoskotem toporów, aż rozkołysało się echo i dworów sąsiedzkich dosięgło, a pan brat już ruszył ochoczo z pomocą i radą, tak sporo, że przed północiem tęgie olchowe

bierwiona już bili na wodzie. U brzegów kipiała nad wymyślnej struktury altaną robota, aby wszystko gotowe fundować na miejscu, zaś od pola szły wozy z kamieniami, szabrami, gliną i darnią, a dalej promem, tratwami na wody.

Jak na biwaku, szerokiem koliskiem kłębiły się podsypane płomienie, tu i owdzie snuły się żwawo pochodnie, a nad gwarem tysiącznych przekleństw, rozkazów, niepojętych krzyków raz po raz hukalo:

— Niech żyje!

Gdzieś szlachta obsiadła ognisko, już nachylali czarnego antała, na krzyżach, gdy zdrowie syna przyszłego ktoś podjął, i drugie z tym samym zapalem i trzecie, a gdy już na liczną się zanosło rodzinę, zaś wina nie stało...

— A gdzież zdrowie jejmości?... — pytał szlachciskrupulant.

Tedy, w skok szkapy, po beczkę do dworu, bo zaś ktoś widział konsolacji pić zdrowie, bez matki.

Więc, gdy antał odbili, szły toasty porządkiem — *de novo*.

I trwało w noc późno, a coraz wrzawliwiej, przybywało już wnucząt, a że to wśród rzemieślników i służby pękła niejedna beczułka siwuchy, tedy ze śpiewem i huczką, a sporo szła naprzód robota. Aż się kłębiło na środku jeziora, gnała wrzawa przez wody, a bór jej przywtarzał tyśiącem odgłosów:

— Hop! hop! — dalej, a nuże!

Zaś ledwo świt błądy przetań ciemni nocy wiosennej i szary, ale już przezroczy ruszył przez falę posępną, dobywając z niej blasków — jednym grzmotem podniosły się głosy na widok ciemnej płaszczyzny, co z wód wychynęła, ludzkim mrowiem okryta.

— Niech żyje! Niech żyje!

— Ale jakże ją nazwać?

— *Insula!* — huknął pan Andrzej z Wolicy, jakby odkrył świat nowy.

— Madagaskar... — szepnął nieśmiało uczony pan Szydłowiecki.

— Sybilla! — Aleć go zakrzyczeli, bo to przecież już było.

Zaczem do beczki po radę.

W końcu, po sporach na tem stanęło, że zwać się ma — Filimira, jak chciał kasztelan, że to, niby z niego — Filipa, początek, a zaś koniec z oblubienicy imienia, co brzmiało nieco wymyślnie, jak ówczesny żądał obyczaj — Palmira.

Lecz ktoś tam upierał się jeszcze, że pierwsze miejsce zawsze pannie należy, że nie przystoi jej koniec, ktoś inny wnet ruszył tanim conceptem, lecz go zgromił gospodarz, i już pili na zgodę, za pomyślność początku i końca.

Wraz, po rozkazy zjawiali się ludzie czarni od błota, stargani.

.

Ranek wstał chmurny, obleczony w mgły sine, lecz trwało niedługo, a z posępności wyjrzało słońce radosne i wśród wód jeszcze ciemnowych rozbłysło jasnością na zrębach altany, złocąc kratki misterne i słupy, foremnie ciosane. Kędy spodem darń świeżo usłana lśniła ciemną zielenią, zdobiąc dzieło rąk ludzkich przyrodzonym urokiem.

Zaś kasztelan szczęśliwy krzątał się z ludźmi, przy drzewach. Z grusz, co wcześniejsze kazał jeszcze wczoraj starownie, z bryłami wykopać, w cieple wilgotnem przez noc całą trwały i jakoż zlekka napęczniały już pąki, reszty miało słońce dokonać i wodą gorącą podlanie. Przeto, rad wielce, przeznaczeniom dziękował, że pannie Palmirze przyszła właśnie o wiosnie takowa ochota, i ani przez myśl mu nie przeszło, że łatwiejby może od losów nawet kwiaty uży-

skął w dzień mroźny, niż serce panienki, w ów ranek majowy.

I pewny był siebie, a ufny w szczęście już bliskie, boć słowo szlacheckie — niechybne.

Gdy o południu ją przywiódł, aż w rączki klasnęła z uciechy, wnet jednak, jakby słabość podchyliła nożyny, bo aż się wsparła o drzewo, pobladała.

— A teraz? Co teraz? — zabiegało jej w myśli.

Lecz całkiem inaczej ową niemoc chwilową kasztelaniec sobie tłumaczył. Prosił ją z pańską dwornością do czołna, gdzie na drzewcu wstęgą barwną przybranem falował haft cudny rodowego klejnotu: w polu błękitnem, pod szyszką z piór pawich, dwa półksiężycy.

Sam, strojny w barwiste materję, od drogich kamieni i złota mieniający, giął się ku niej miłośnic.

Osunęła się cicha, nieśmiała i jakże od jego uśmiechów radosnych daleka. Świat palił się w słońcu i barwy gorzały, lecz nie z tego świata w jej oczach to blaski, to czarność i jakby ktoś szeptał szydlawie:

— Naści wyspę, panienko! Błękit, fale i kwiaty. Naści, czegoś wczoraj zachciała.

Łódź chyżo pomknęła, jakby w niej szczęście. Bliżej i bliżej, pachołkowie na wiosła nalegli, a wraz dziób, kształtu syreny, w świeże usypisko mocno się zaparł. Na schodkach z kamienia zamigotał pan tęczą i, już szczęścia powagą przejęty, uroczyście, a z gestem rycerskim podał jej rękę i wiódł, kędy leął chodnik z bogatego kobierca, w zieleni roślin zamorskich.

Szła biała panienka. Jakby kto okuł w żelazo atlasowe cizemki — skrzydła motyle spięte modremi wstążkami.

W oddrzwiach altany, zawieszanej ciemno-złotą makatą, coś do niej z tkliwą miłością przemówił.

Uśmiechnęła się blado, skurcz skrzywił jej ustka, postą-

piła dwa kroki, a tuż przy stoliku, wschodniej roboty, gdzie na arabeskach perłowych jarzył się szmaragd okiem węzowym, nagle ustało w niej serce. Osunęła się z jękiem do kolan pana Filipa.

Coś ci zrozumiał nareszcie, jako że trudne bywa w mężczyźnie spraw niektórych pojęcie, aleć w serce go żgnęło — nareszcie.

A z ust jej padło w tej chwili:

— Ja kocham innego! — i wraz łzami, jak falą bluznęła na poły słonecznych atlasów kontusza.

Trwał krótką chwilę w bolesnem zdumieniu, rzekł twardo:

— A słowo — szlachcianki?

Jakby uderzył dziewczynę. Z mocą zerwała się z kolan, sięgając po pierścień, lecz go przed nią usunął.

— Nie, mościa panno, rzeknij mi pierwszej, kto ów szczęśliwy?

Szepnęła imię.

Ledwie drgnęły jej usta... pierścień upuszczony z ręki, chwilę złotym krążkiem się toczył, a zanim się zważył, już przemógł ból w sobie pan kasztelaniec.

— Rzekłaś mi prawdę, bo godzien kochania.

I dodał ze smutkiem:

— Lepszy odemnie... — jakby z samego dna serca wielkie słowo ofiarne wytargnął, — rzadkie słowo na ustach wzgardzonego kochanka.

I już tylko o to ją prosił, po chwili, aby zrękowiny mógł sprawić w tem miejscu. Niechaj ustron przez miłość stworzona służy miłości. I już rękę jej podał, a z gestem rycerskim niezmiennie, wiódł ją wzruszoną białą panienkę, wśród roślin zamorskich zieleni, kędy u brzegu kołysał się górnice, w barwach i blasku stary klejnot rodowy.

Poczem wkrótce już sprawił huczną biesiadę na wyspie, zaś ślubnym podarkiem złożył w rączki — lelijki, dwie lzy brylantowe, wielkiej ceny, zauszki.

I jeszcze raz w zgiełku i wrzawie radosnej wesela poleciało przez wody:

— Niech żyje!

Popiół zetlałego szkieletu dziś na tem miejscu. Gdzieniegdzie kształt jakiś jeszcze się błąka poczerniały i pleśniał przeżarty, a tylko go trącić, wnet się rozsypie.

Nad smutnemi szczątkami, półmartwa, stara grusza zakwitła o wiosnie, a gdzieś, w kościelnym podziemiu żółta czaszka panienki, na zbutwiałej świetności pańskiego wozu.

Pas lity, wzorzysty, na próchnie z Imć pana Filipa.

A dusza, gdy stanie, na sądy ostatnie, przed Panem.

— Coś uczynił dobrego za życia?

— Żyłem... — mój Boże.

... ..
— Fantazja... Fantazja... — mruczał stary z goryczą i ani wiedział, że jednak w nim żywie przekłete dziedzictwo, choć bez dawnych gorących porywów, ze wszystkich splendorów, szat barwnych, klejnotów odarte. Ani wiedział, że myśl trzeźwa, tylko z pozoru, w światy nieczyszczalne wybiega, gdy chciał dawną odzyskać fortunę i, jak młody, zdawał się roić, że ziemię posiadzie — miłością.

— Niechby chociaż ten ugór, niepotrzebny nikomu... — tak sobie dumiał, goniąc wyblakłemi oczami przestrzeń wód szafirowych, zamkniętą smugami, pod nawisłym oparem.

— Niechby chociaż to kwaśne łączysko, toć warte niewiele... — jakby się z losem targował, ale tuż myśl zatajona zeszła szeptem na usta.

— Torf... ruda... majątek.

I aż się stary przeraził, żeby ktoś nie podsłuchiwał, jak gdyby był taki, coby o tem nie wiedział, że choćby tu jeszcze większe bogactwo, nikt go nie sięgnie.

I już widział się panem na tem kwaśnem łączysku, a powoli, powoli przymknęłyby do tej odzyskanej chudoby długie pola ornego zagony, te właśnie, co z górki pod lasem biegły stokami ku wodzie.

— Naści, stary Zakrzewski, za pół wieku tęsknoty i wiernej miłości.

Ażby las się zadumał i w sobie obruszył na Żydów, w tartaku.

— Precz, parchy! Ja wracam do Trzasków.

I w pas się pokłonił:

— Jaśnie dziedzicu...

A myśl starcza szczęśliwa, jak dziecko, czarem bajki porwana, już przez pola i łąki pobiegła, w rozrzewnieniu tuląca lat dziecięcych wspomnienia: pierwsze w pola wycieczki, tajemne ścieżyny, owe śpiewne w czas żniwny na wozie kopiastym powroty, ogrodowe zakąty, zakazane drzewa i nagle, jakby zachwycenie duszę objęło — dawny dwór przed oczami.

Biały w blaskach słonecznych, pod kopułą zieleni.

Gwarno... ludno... Rodzina... — aż coś sercem zatarga.

... ..
— Jestem Gutgeld — właściciel.

Jakby sen spłoszył.

Już podpatrzył wycieczki gatunek, który bez marzeń, jasno widzi cele życiowe, a w każdym zjawisku korzyści.

— Izaak Gutgeld... każde dziecko go zna... — Do starego poufale się zwrócił:

— Po co długie myślenie, niech pan kupi tę wodę.

Bacznie spojrział mu w oczy, prawdy zatajonej chciał sięgnąć i, już szybko zagadał:

— To jest ładny kawałek pamiątki. Są przecie dzieci. Pan Wicek, to on tam zaraz wybuduje altanę, on ma głowę do tego.

I czekał wrażenia, lecz stary tylko ramionami poruszył i powlókł się w swoje podwórze.

Szedł zwolna, jak pod ciężarem pragnień niezbytich, co na duszę kamieniem się kładą, chyłą starych ku ziemi. I opędzał się myśli, wracającej z uporem jak ten dźwięk śpiewny, gdy mózgu się czepi:

— Niech pan kupi tę wodę... Pan Wicek wybuduje altanę...

Aż zaklął, szedł sporzej, a w myślach jeszcze raźniej pobiegły ciągle te same, niepozbyte słowa.

W ciszy i pustce zamarłego obejścia, gdzie staniał się smutek bezgłosy i tak się zdawało, że nikt tutaj nie śmiał się nigdy — pies tylko go witał, z niezmienną radością.

Już go dojrzał zdaleka i już, pomachując kitą, szedł, stary Amor ku niemu, ze łbem pochylonym, uśmiechał się mile rozumnym spojrzeniem. Wszakże wcale nie spieszył, na krótkich nogach zwolna kołysząc — zaufany przyjaciel, co już był ceremonij.

Tedy Bryś łańcuchowy, który już niedowidział, ale czuł nosem jeszcze wrażliwym, co się dzieje w podwórzu, zatłukł w budzie ogonem i dźwignął się Bekas ociężały, już nieco, poziewając przyjaźnie. Jakby chwilę się wahał czy ten objaw uprzejmości wystarczy? Ale znów do snu się zwinął smakowicie w kłębuszek, gdy dojrzał, że pod pańskimi nogami już zwiłała się Psotka, w szczekliwej radości, z wiekiem coraz tkliwsza w uczuciach i coraz zjadliwiej zazdrośna, psia jędra, znienawidzona w podwórzu.

A gdy uciszyła się wreszcie, gdzieś z kątów wysunął się bury samolub. Zawsze w sobie zamknięty, niewierzący nikomu, szedł jednak z serdeczną potrzebą otarcia się grzbietem sprężonym o nogi panowe, a pomiaukując rzewnie, szukał złoto-jasnemi oczami łaskawego wzroku.

Z dachu, nad stajnią, sunęły gołębie.

I tuż, w skrzydeł poszumie i blaskach radosnych witało go ludzkie, złe, chmurne spojrzenie i wyrzut u progu:

— Ino włóczy od rana te stare kościska, a tu obiad się suszy pod blachą?

Nie odpowiedział nic stary, a i psy były rade milczeniu, bo wnet od słowa do słowa poczęłyby się krzyki i lament w podwórzu, a któżby tam wtedy, prócz głodnych, pomyślał o jadł.

Wiedział o tem i człowiek, cicho ruszył w pustkę izb dawnych, osunął się na fotel odwieczny, przymknął oczy znużone. Niedługo, bo nie lubił bezwładu. Wstał rażno, lampę zieloną opatrzył i jał się zwykłej roboty: cyfry i cyfry, na co żywot zatracił. Coś mnożył, dodawał, a że dziełił niechętnie, odejmując z rozwagą — czego pragnął, doliczył się zawsze.

Potem głowę oparł na ręce. Fale wód wymarzonych odzyskaną fortunę mu niosły i wnet błoga chwila zeszła na myśli: las zcicha szumiał i pluskały wody... gdzieś tam daleko idą w pole pługi — śpiewa dusza w człowieku...

Nagle z impetem rozwarły się drzwi.

— Jeść! Czy mom dać!

Jakby ze snu zbudzony drgnął prawnuk imć pana Filipa.

Smutki, gdy starość, ale nieszczęście, gdy człowiek i stary i sam. Serce szuka wtedy oparcia i błaka się tklive, wierzące, póki ktoś nie utuli. Choćby twarde miał ręce i zgola nie wiedział co to znaczy — serce.

Gdybyż to człowiek chciał, umiał to przejąć, czego uczy przyroda, nigdyby duszy brzydką pospolitością nie znużył, nie dał poczuciom przykrego niesmaku.

W niej piękno jedyne i mądrość i miłość, czar wszystkich powabów.

Czy to głaz okiem nieobjęty, gdzie całe światy w każdej maleńkiej płaszczyźnie, czy zwiewne kwiatowe koronki rzeźbione kunsztownie, z niepojętem nawet dla serca artysty uczuciem, owe szypułki, krążki, baldaszki, kłosa i grona, a nad nimi motyle.

Czy to bór czarny, groźny, świetliste lazuruje roztoczą, całowane przez słońce i kropla rosy drżąca blaskiem tęczowym na liściu, którą ptak spija, czy żdźbło chwiejne, jakby nauczone wdzięku i okrucieństwa niewidzialny dla oka, zamknięty w kształt doskonały kryształu — każda cząstka w przestroni światów, woli Piękna posłuszna.

Jeden człowiek tylko, co mać uroki wiekuistej harmonii barw, głosów i formy — pan stworzenia, a taki tu obcy i wrogi. Smutną szarością, zda się, świat mroczy. Przez pola słoneczne i kwietne idzie czarny, ponury, to znów barwą zuchwałą i głosem aż do bólu przeraża.

Takim krzykiem i bólem w szarem, smutnem podwórzu była gospodyni i pani uroczego stworzenia.

Wśród ciemnych, pochylonych zrębów, kędy z pod posępnie nawisłych gałęzi patrzyły mętne okienka, jakby oczy już ledwie widzące, a jeszcze w żalosnej, starczej bezmyślności w dal zapatrzone, — Franka, rozwichrzona, wrzaskliwa...

I zawsze brutalnie kłócąca się z odwiecznie harmonijną całością. Jak człowiek, co się wcisnął przemocą w towarzystwo nieswoje, a temci zuchwalszy, stroiła się w barwy czerwone.

A było ci, było w czem wybierać dziewczusze, gdy stała w komorze skrzynia obręczami pobita, a w niej, jakby wczoraj przez pannę szatną złożone starodawne bławaty, wzorzyste wschodnie materje, sajety, grodetury, hatłasy, ciężkie roby odświętne i lekkie delijki — szkarłaty i czerwieni, a wszystko jedwabne. Aż się jej ręce zatrzęsły, zabolęły oczy.

Wnet ją przykrawać.

Ale jakoś nie widział się kolor innemu stworzeniu, a pierwszy obruszył się na kieckę czerwoną rudy indor — arystokrata podwórza.

Sam barwy pokrewnej — zblakły karmazyn, czuł się dobrze w podwórzowej szarości, nienawidził odmiany, więc sunął parszający, gniewny za czerwonym zjawiskiem, co tak obrażało jego harmonijne poczucia. Zrazu śmiała się Franka, ale nazajutrz za nim już biegła cała gromada, choć gorzej urodzona, i szara, równie jednak zaciekla w uczuciach wrogiej niechęci.

Całem też chłopskim sercem, tak zmiennem w przyjaznych skłonnościach, a tak w nienawiści bez względów, niecierpiała Franka tej szlachty indyczej i, nieraz ogarniając czerwony podolek przed napaścią rozjątrzonych ptaków, cieszyła się chwilą, nie bez pewnej drapieżnej lubości, jak to im wszystkim przyjdzie koniec z jej ręki. Jak to łeb złoży na pieńku i — naści! — łeb ino skoczy.

Tymczasem jednak, ani się mogła pokazać w podwórzu, a że to nieprzyjemne uczucia udzielają się łatwo, tedy za indykami posunął się zły gąsior. I twarde, szczypliwe dziobem zmagął się z Franki nieczułą jędrnością dość długo, jednak w końcu bólu dosięgnął, raz, drugi, aż siadła na ziemi, a w te pędy już kogut na głowę...

— Laboga!

Paw odwrzasnął z topoli, a psy wszczęły harmider, do-

cinając zbliża i podniósł się zgiełk, lament, a tak się najwyraźniej zdawało, że echem radosnej uciechy rozległy się stare zmurszałe zręby, sklepiska.

Aż ci lęk Frankę poderwał, tylko kiecka się wzdeła, zaświeciła łydami i, już gnał za nią warkocz rozsuty i jakby wszystko wrzeszczało, głosem nieludzkim, wokoło:

— Laboga — laboga! O Jezu!

Odtąd, gdy się tylko pokazała w podwórzu, a paw ją z wysokości obwieścił, już pewnie siebie nacierały indyki, zaś psy kojarzące zjawiska znanych już zdarzeń i głosów, tuzały, już z obowiązku, coraz zjadliwiej przyczynę zamętu. Jakby zły duch wstąpił w obejście i szczuł.

Niekiedy zjawiał się Józef i sprawę tych towarzyskich trudności swoim sposobem ułatwiał. Siekł biczem na prawo i lewo, przypisując każdemu stworzeniu jakieś rodowody, całkiem mu obce, przyczem nieraz w ferworze sięgnął ciętym surowcem białych nóg Franki. Ale, w mig, jakby wymiotł podwórze.

Ani spojrzał w jej stronę, ale jednak, gdy z wdzięcznym spojrzeniem zagadnęła go kiedyś:

— Sprawny w bacie pan Józef...

Odpowiedział jej żywo, gorąco:

— Ja tam pannę, przez bata z każdej niewoli temi tylko rękami wyzwolę... — I już gniew w niej obudził.

— Mnie tam nijakiego wyzwolenstwa nie potrzeba.

— Chleb letki pannie do smaku.

— Nigdy na razowiec ja łasa nie była... — zawinęła czerwoną spódnica.

A tuż, z obelżywym bulgotem sunęły indyki, gąsior ciągnął szyją sykliwą, bo czy to ktoś kiedy batem odmienił

nienawiść? Aż się chłop nad tem uczuciem zamyślił, jakąś korzyść rozważył.

Przy sposobności do wylęknionej dziewczyny się zbliżył i oświadczył jej chmurnie, że tu już zawzięły się widać złe moce...

— Musi, stary coś zadał...

Przybladła na chwilę, jakby rozważając możliwość...

— Chłopskie bajdy te całe zadania.

— A panna już do ślachty przystała i już niewierząca ni w Boga, ni w djabła. To i w to panna nie wierzy, że można zamówić stworzenie? A względem czego, pytam się panny, latoperz się wkręca we włosy, względem czego owce zdeptały pastucha w Pęcicach?

Patrzył w nią chwilę i mówił pół z żalem, pół z zgrozą:

— A jakbym zaś pannie pokazał zamówione konie? Cztery hamany w Pęcherzewskiej Wólce i, jak przed tym gankiem stały, nie ruszyły krokiem.

— Bez cóż nie ruszyły znowu?

— Ja nie chciałem, żeby... Inny znów zechce, jeżeli znając, to i takie ptaszysko, a człowieka zadziobie.

— Jerry, jerry — Józefie! Com ci winowata?

Wyczuł dreszcz strachu w osłabłej dziewczynie, utulił ją zlekka, nie płosząc.

— Boić się nie masz co, głupia, kiedym będący na miejscu i tu cię wyzwolę. Mówilem, czy nie mówiłem?

— Mówiłeś.

I już spojrzała z wdzięcznością łzawymi oczami, a tuląc się bliżej, gdy nagle coś obok rozjękło.

Pod wieczornym powiewem rozwarły się wrota stodołne, chygotały chwilę i znów, jakby pchnięte niewidzialną mocą odezwały żałośnie, jak żywe.

A tuż na miękkich skrzydłach wielki ptak sunął...

Zawrzaskała Franka.

— Ratuj me, Józek!

I już, jakby głos się w niej zerwał. Stężała mu w rękach. Bez wysiłku ją dźwignął i niósł.

Rozchylony łachman malinowej barwy, strzęp koszuli, harde piersi, jakby kto z kamienia wykuł i wypieścił, aż do blasku. Potem dwa różane płatki na nich złożył — dwa uśmiechy życia.

Wzdęte usta, nad koronką białych łsnień, kłęb splątany włosów, ciężko zwisły i bezwładne ręce, — słodka cicha niemoc na posłaniu złotej słomy, narzuconej w ciemne deski. Wyżej obrazeczek, zeszcłłe palmy i, jak gwiazdka nieruchome, mdławie światło.

Ciężki, ciepły odór. Szczur coś gryzie, grają świerszcze, chrobot ziarna w silnych szczękach.

Szmer oddechów na posłaniu złotej słomy. Szept gorący... Rwie się, — drży, zesłabły w fali nagłych westchnień... Coś z szaleństwa i z modlitwy wrzących ust...

— Jezu... Jezu!

Poziewając, dźwignął się leniwie i na wyrku siadł.

— O — a — ooo!

Skraj gazety uderł i grubemi paluchami kruszy na nim ciemne, suche ziele, potem skrzył to niezdarnie w zwitek i zapalił. Siwym kłębem pod powalę tchnął, spojrzął potem na rozpierzchłe strzępy dymu. Splunął.

— Franka! Śpisz?

Szybko ogarnęła piersi. Wielkie pociemniałe oczy gdzieś pobiegły, poza niego, poza świat. Ledwo drgnęły usta cichym szmerem tajemnicy.

— Coś ci we mnie gra. Tak cichusko gra...

Uśmiech przebiegł mu po twarzy. Rad był z siebie.

— Jużes tera moja. Już cię nikt...

Ale, aż się zdumiał, gdy mu nagle w myślach: — juści — juści! — roześmiało się szydliwie.

— Baj-że baję z graniem. Grunt, zem cię wyzwolił, Franka?

— Wyzwoliłeś.

— Od starego pójdziesz, kiej ci powiem?

— Pójde.

— A w podwórzu już bądź tera w spokojności. Ale, od uroku, żebyś cisła te czerwone szmaty. Od uroku.

— Cisnę.

Łypnął na nią podejrzliwie.

Coś tam jeszcze prawił, ale inne miał na myśli, spluwał, stękał, rozważając jakieś ciężkie sprawy.

— Stary kiej powróci?

— Powiadał, że jutro.

— No, a... tego... Powiedz-że mi Franka... — czarną garść położył na jej białej piersi — powiedz-że mi tera... powiedz, — obiecował ci on zapis?

— Mówi, że odpisał.

— Mówi ci ta, mówi. A co w garści, to jest w garści. Dobrze mówię? — Aż się bliżej do niej przysiadł. — Hej, dziewczucho, żebyś tak zastanowienie miała... Los! Słuchajże no, tera...

Czego słuchać?

Cichło granie snów minionych, odchodziło, jakby w czarne światy smutku. I tak zdało się dziewczynie, że w niej serce wolniej, wolniej, a w mózg tłuką, aż tam boli, jakieś obce, bełkotliwe, biadające słowa:

— Boś ty głupia... Niech ci da do ręki zapis... Ila odkazuje?... A pieniądze masz ty jakie?

— Skądbym miała?

— No i widzisz... Tyla wstydu dla mnie, a dla ciebie przez korzyści... Jakże to tak może być?

Ustał, chwilę czekał odpowiedzi, coś tam warczał, ramionami ruszył, zdjął buciska, potem z nóg odwiął szare szmaty i, starannie wygładzając, składał.

Spojrzał raz i drugi w stronę Franki.

— No to, już se idź.

Jakby ją obudził ze snu. Zwolna się podniosła, owinęła w chustę, stała chwiejna i żalosna. Jakby dziwne jej to było stąd odchodzić, nic nie biorąc, gdy tak wiele tu zostawia.

Nagle zapragnęła, choć usłyszeć jedno tklive słowo... Choćby tylko wypowiedzieć...

Więc podeszła. Szeptem drgnęły usta.

— Będziesz kochał?... żdziebko...

Spojrzał na nią sennie. Nie zrozumiał.

— Idź że, idź dziewucho. Do dnia trza mi wstając.

Ziewnął, aż mu w szczękach coś roztrzasło i posunął ją ku wyjściu.

.

Cisnąc chustę pod gardłem, jakby żal chciała w sobie zamknąć, szybkim cieniem przez podwórze biegła.

U wejścia do kuchni lęk ją ogarnął, czy klucz leży na miejscu. Posunęła ręką w kąty wiadome, chłodny nos ją trącił, szorstkie kudły, klucz był przy nich.

— Amorek!

Tłala w niej jeszcze serdeczna potrzeba, porwała go na ręce, utuliła ze łzami.

Ale pies, jako żyw nie znał pieszczoty, odwarknął i wydarł z objęcia.

Już niepotrzebny był przy drzwiach, ale że spraw wszystkich ciekawy ruszył za śladem ku stajni. Tam przy-

warł nosem do jasnej szczeliny, pod drzwiami, westchnął mocno raz i drugi, już wiedział kto był i kto został. Wszystko w porządku.

Ale, jednak coś, jakby niepokój, bo ruszył zpowrotem w stronę kuchennego ganku, potem ku szopie, u stodoły chwila i, znowu do stajni, już z cichym skowytym, skąd znowu w podwórze...

I nagle przysiadł na środku zdjęty żalosną niemocą i szczebkął zcicha, a rzewnie. I raz jeszcze, już z wymownym żalem.

Wnet poruszył się Bryś w kątach, a że to psi smutek zawsze w psiem, drugim sercu tklivy oddźwięk znajduje, odszczebkął współczuciem.

Chwilę wyczekał, aż Amor łeb uniósł w górę i nagle jękiem się ozwał — tedy przysiadł opodał i jeszcze rzewniej zapłakał, znów odpowiedział mu Amor i trwało w noc długo. Coraz głośniejsze, a szczerzej, aż w końcu zawyło miasteczko.

A człowiek, w bojaźni o życie, kładł znaki na czole i piersiach, jak gdyby tym łatwym sposobem był w mocy odmienić wyrok już zapadły.

Nie odmieni go nikt. Już na czarnych skrzydłach się podniósł zły los i spieszył przez szlaki nieznane, z nakazem.

* * *

Powrócił Zakrzewski, jak dawno nie bywał, radosny. Jak młodość u kresu spełnionych nadziei. A tu jeszcze i w domu osobliwe zjawisko: Rozrzucona dziewczyna, jakby w niej nagle obudziła się dusza.

I Józef jakoś mniej patrzył wilkiem, tak się zdawało, gdy stary, rozglądając swe dobro w podwórzu, wyjawiał ten zamiar, że chce zmienić stare koniska.

— Niby cugowe?

— Przecie innych nie mamy. A tu ogier ciągnie boka-
mi, kobyłsko na martwych kościach utyka.

Aż się chłopu dusza zaśmiała, boć dobra okazja: i jar-
mark i profit, a zawsze miła sercu koniarza odmiana.

Nie okazał jednak po sobie wrażenia, lecz jak chłop każ-
dy z krwi, kości, gdy coś myślom dogadza, zawsze starający
się zasłonić je byle pozorem, jakby nie rad zamiarom, zafra-
sował się Józef:

— I — ii — p-szę śnie pana, jeszczeby takich koni da-
leko poszukać. Ogier chodzi przez bata, kobyła chytra na
ciężar, choćby oto we wozie węgiel, nie węgiel...

— No, ale to stare, nie pociągnie długo.

— A cóż ta, że stare, za to twardszej kości... — sięgnął
kobyłę po grzbiecie, aż się przygięła.

— Gadaj zdrów, gadaj. Sam stary jestem, znam ja te
kości... — i westchnął.

Na to błysnęła Franka promiennymi oczami ku niemu.

— Stary nasz pan? Anibym poznała.

— A cóż to, głupia, nie widzisz, żem siwy.

— Owa! że ta kto siwy. W siwego czasem więcej uciąg-
nie, jak we dwa kare... — zaświeciła zębami, aż się w stajni
jaśniej wydało.

I rad był Józef, że dziewczucha taka w gębie zwrotna,
jak ten amerykań i uśmiechnął się stary, sięgnął ręką do
wąsa.

Pogoda, blask słońca i śpiewne błękity. A w starczych
marzeniach o ziemi rozkwitła, właśnie, nadzieja. Jak te
kwiaty przed zimą...

* * *

Coś się działo w dawno zmiłkłem, zawsze mrocznem po-
dwórzu, zadumanem jak człowiek, co wiele lat przeżył
i wiosnę niejedną przeboleł, a myśl w nim już nieczuła,

udręczeniem przeżarta, już tylko czeka rychło li, rychło...
I obca mu chwila radości czy smutku, śmiech, jakby zbłą-
kany i kłamie, a łzy płyną z oczów, bez udziału serca.

I nagle blask w duszy: zachwycenie, czy żądza jednej
władzy serdecznej, do ostatka posłuszna — blask w starym,
zasnutym pajęczyną lamusie, gdzie od wieku nikt ze świa-
tłem nie chodził.

Z młodzieńczym zapalem i wiarą, jak przy pierwszym
kochaniu, czy pasji ostatniej, jął się stary Zakrzewski jakiegś
niebyszałej w podwórzu roboty.

Liczył swe dobro, porządkował gospodarski inwentarz,
usiłował odnawiać budynki, co sprawiło w miasteczku nie-
lada wrażenie, bo wszyscy znali owe rudery, już podpierane
przez dziadów, a trzymające się ziemi mocą ludzkiej roz-
paczy.

I jak zawsze, gdy nowa namiętność, rozgorzała mu
w duszy ochota, na sto koni z nim siadła: dzień krótki się
zdawał, noc długa, bez czynu, a świt go witał przy pracy,
gdy włókł z kątów, już pod ziemię zapadłych, jakże roz-
maity, pamiętliwy statek: koślawe sochy, zrudziałe płużyce,
radliska, brony zmurszałe bezzębne, koła z wyżartymi
dzwonami. A z niemi sprzęt, nieraz godnego pozoru, szla-
chetny w wyrazie dawnej roboty, lecz minionych też daw-
no przeznaczeń.

Niby ów człowiek krwi dobrej i dobrze patrzy mu
z oczów, ale jakoś trudno go użyć.

— Szelc, jaśnie panie.

Więc na kupę rudego żelaza stare, kręte zawory i rygiel
kuty ozdobnie, lecz tak się wydało, że dźwięknął inaczej...
jakby hartu innego w nim dusza. Aż oczy starego w tę
stronę pobiegły.

Chwila i dalej w kąty zapadłe odwiecznego lamusa.

Więc skrzynia żelazna, brzuchata i srodze zamczysta.

Barokowe floresy, ślad kwiatów złożonych i wieko rdzą dawno przeżarte — jakby w niem rana, co serca tajemnicy dosięgła.

— Szmelc, jaśnie panie.

Wysoka krata okienna porzucona na skrzyni. Niby drzewa konary z pnia strzelistego przygięte w trzy oka — dawna straż skarbów czy cnoty. Obok, zaparty w rumowie gałęzistym ramieniem stary świecznik żelazny i na drutowym obląku pęk kluczy ciętych w zawile zagadki, a każde ucho z cyfrą i herbem jejmości.

— Szmelc, jaśnie panie.

I jeszcze, i jeszcze, a ręce drapieżne i szybkie, w cieniach lamusa bladeścią migocą, zgarniają do worów dzwoniące żelazo.

* * *

Dalej szedł stary w ciemną ciszę wozowni, z oknami już dawno zabitemi od deszczu, gdzie stały nietknięte, od wieku dwa ciężkie, juchtem podbite skarbniki, figlarna karjolka i szczątki wymyślnych linijek, pajaków... Zaś w rogu, kształt ciemny, pękaty — odwieczna *carroza*.

Ważna poszóstna landara, od rzadkiej parady, a gwoli wygodzie, tylko panom potrzebnej, przeto wyłącznie imć kasztelanom i biskupom służyła.

— Kto też w niej jechał ostatni?... — na myśl mu przyszło.

— Kto jechał — to jechał, ale już nie pojedzie... — i pchnął pudło zawieszane na pasach klamrowych. Poruszyło się zlekka, kołysząc.

Zaczem sięgnął latarnią w tchławą ciemnię, do wnętrza. Niby łoże szerokie siedzenie, kryte altembasem, gdzie osnowa z jedwabiu, cenny wątek lity. Zaś bokami złotogłów, w girlandy wijące pod paludament gwieździsty, ciemną pla-

mą zaciekły, skąd gęsto nieć złota już zwisła, drzy i migoce w bladej poświacie.

A spodem, na kobierczyku zakłętym rozsypane perełki... Któż to dzisiaj odgadnie w jakiej się stało okazji?

Drzwi z ornamentem herbowym cicho przymknął Zakrzewski, dotknął ręką zbłądłych zasłonek, proch się posypał z dawno zetłalej materji.

Ruszył ku wyjściu w podwórze, gdzie w blaskach słonecznych, wśród łoskotu i gwaru kipiała robota.

Na zczerniałej stodole, świecącej łatami, dach nowy pobijali cieśle, przy wozowni kowal połową kuźnię ustawił, zaś dawny porządkowy ze dworu — „na wszystkie sposoby rzemieślnik“, już tu warsztat założył od ręki. Stare graty, nie warte, przerabiał na nowy pożytek, a żyd zbierał okrucy.

I dziwił się wielce, jakiej to głowy potrzeba, żeby z niego zbudować taki galanty półtorak.

— Pan majster toby mógł zrobić może nawet oroplan? Ja nie wiem...

Wobec nagłości tego pytania chwilę pomyślał pan majster, czapkę na tył głowy przesunął.

— Nie trafiła się jeszcze taka robota, ale... — pociągnął ośnikiem po białym dyszlu brzoźowym i w stronę kuźni się zwrócił:

— Panie Sitwarek, pociąg-no pan na stelwę żelazną... — i siadł na rozworze, rad pogawędzić z człowiekiem niegłupim.

Żyd skwapliwie posunął się bliżej i pytał półgłosem, głową wskazując podwórze.

— Na co jemu taki wydatek, na co tych wozów? Pan nie wie?

— Do gospodarstwa — wiadomo.

— Co jest — gospodarstwa? Przecie un dawno nie ma... — aż się poruszył.

Tedy mówił pan majster z rozważą:

— To wam się tylko tak pokazuje, mój panie Kugel. Chłop, jak ziemię raz straci to już jego koniec, a pan, jak ten wóz: póki jeszcze na kołach się trzyma, niewiadomo nigdy, jak daleko zajędzie.

Pyknął z fajeczki mdłym cuchem.

— Tylko jak pomiarkuję, że krucho, to wolniuszko se jadzie, aby, aby się ruchał, zaś trafi się chwila, to se wasąg przekuje i znowu z kopyta. Tak z polskim panem, mój panie Kugel.

Chwilę pomyślał i dodał:

— Ale, jakby nie było, zawsze my oba przy tym wozie potrzebni. Rzemieślnik przy narodzinach i reperacji, a żydek przy śmierci.

— Po co takie słowo?

— A cóż to człowiek zależący od słowa, czy od Boskiej woli? I czy to ma być śmierć straszna dla duszy?

— Jest nieprzyjemnie... — i zwrócił na ziemskie sprawy rozmowę: — skąd taki kapcan mógł dostać pieniądze?

I snuła się dalej gawęda, jako że obaj dobrze już starzy, znali dokładnie historję podwórza.

Więc Żyd, o majątku, a pan majster o duszy.

Zaś, gdy ścichły rozmowy i praca w obejściu, codziennie o zmroku wychylał się Józef ze stajni, jak zły cień włóczył, wszystkie kąty przeglądał i — klął.

.
Jest dziwny w tem urok, gdy człowiek buduje, czy sadi, ozdabia, jednym słowem coś tworzy, co po nim zostaje.

Często siły wyteża, niesie środki ostatnie, aby dać trwałą moc rzeczy, którą dziś, jutro nazawsze pożegna. Nieraz życia przykróci, byle żyło coś po nim, a gdy w młodości

długo mu czekać się zdało na owoce — rok, dwa, dziś sieje dęby i nad tem rozmyśla, czy dość będą miały przestrzeni i słońca, gdy w wielkie drzewa urosną.

Troskał się też stary Zakrzewski nad swoich zamierzeń przyszłością, wszystkie siły wyteżał byle je dźwignąć do życia, zgoła nie myśląc, czy samemu sił stanie i śródków.

Tymczasem żył całą pełnią radości i tak mu się zdawało, temu starcowi, jak mówili, bez duszy, który całe życie gorzej ognia strzegł się serdecznych porywów, tak mu się zdawało, że śmieje się co dnia słońce do niego, gdy z ponad mgły świtów, ponad wodami wychynie.

I coś szeptały mu drzewa z tkliwą przyjaźnią pamiętliwej piastunki i fale jeziora zcicha, a rzewnie jakąś mową tylko przez niego pojętą:

— Twoje — śmy... twoje...

Bo spełni się, oto, wyśnione pragnienie, spełni się szczęście, okupione męką życia niezbytich pragnień, nieodmiennych zawodów.

Los zachciał.

Za tydzień, czy dwa, plugi już ruszą do orki, a potem czas żniwny podleci.

I pójdzie szmer cichy po odwiecznych kostnicach, po sklepach kościelnych — wieść radosna ze świata, od trumny do trumny, że wrócił do ziemi ród Trzasków.

* * *

W tych to radosnych terminach, przy jakiejś robocie, osunęła się belka ze starego wiązania, przywaliła mu nogi.

Klął, ryczał i sypał djablami, ale nic nie ulżyło, dźwignąć się nie mógł, więc go ponieśli na łóżko.

A tu właśnie miał jechać po cztery kobyły, jak jedna dobrane: krzyże jak deska, nogi z żelaza — los rzadki taka fornalka.

Więc, aż szyby dygotały od głosu, co grzmiał, ciskał się w gniewie bezsilnym, a Franka strwożona biegła, waląc piętami, lecz bosa, dla zachowania cichości, a czego tylko się ją, aby pana ratować, wszystko „leciało jej z rąk“.

Wtem ją chory osadził, właśnie gdy biegła z wodą gorącą, a miała być zimna.

— Franka, pokrako!

— Słucham.

— Różnij to o ziemię, leć mi po Mendla, niech idzie z bańkami, a ty kwiatu naparzysz... — ufał starym metodom.

Więc różnęła i, aż zadudniało w podwórzu, leciała, na duch.

Za chwilę już śpieszyła zpowrotem zdyszana, raz wraz dotykając piersi. Za nią dyrdał chudy żydowin w pośpiechu, trząsał bladą bródką, podzwaniając bańkami.

.

Właśnie o tej porze wyszedł Józef na codzienne przeglądę, widział biegnącą dziewczynę i niemile go dotknął całkiem niepojęty ów pośpiech, jakby w dodatku do spraw innych, co go dręczyły, a których ani rusz, rozgryźć nie umiał.

Przedewszystkiem, ta nagła praca w podwórzu; wozy, stodoła — coby znaczyć to mogło, dotąd nie wiedział i daremnie się głowił, a nie śmiał się pytać, czego stary nie znośił.

I drugie, co w mózgu cierniem mu tkwiło, a gdzie się nie obrócił, o czem nie pomyślał, bolało, — to Franka. Ani się zbliżyć, pogadać, ani nawet po łbie oberwać, bo jakby go dla niej nie było.

Czyżby znów stary?... Wzgardliwie się zaśmiał, a ufny w siłę swoich uroków błędził domysłami gdzieindziej. I jak każdy kochanek, czy mąż prawowity, gdy mu prawda na

myśl przychodzi, a zawsze ostatnia, znów do początku rozważań powraca, szukając pracowicie innej przyczyny.

Wreszcie już nie o to chodziło, — dlaczego? ale o powrót dziewczuchy, którą całą czuł w kościach i krwią do niej tęsknił.

Aby tego celu osiągnąć, szukał sposobów. Wszystkie jednak, acz z doświadczeń życiowych czerpane, zdawały się mu zawodne i już tylko widział przed sobą dwie drogi: albo ją pobić od serca, albo, gdy już nie można inaczej — ożenić się z nią.

Lecz po bliższej rozwadze droga przez uczucie wskazana nie wydawała mu się przedewszystkiem, bezpieczną, przeto czekał okazji, aby wyjawic dziewczynie do związków małżeńskich ofiarną gotowość.

Zaś obrachunek serdeczny po ślubie.

X

Trwało niedługo, zmógł Zakrzewski ból w sobie, jak zmagał wszystko przez życie, co twardej jego woli nie było posłuszne. Wreszcie szczęście miał w duszy, co pono najskuteczniej uzdrawia.

Jakiegoś ranka nagle się zerwał, utykając wyszedł na ganek i huknął:

— Zaprzęgaj!

Aż nad dachem podniosły się chmurą gołębie, a głos rzeźko i mocno w stare kąty uderzył, przeraził w kuchni dziewczynę.

Wybiegła i, już go za nogi chwiejące objęła, a tuląc głowę do kolan, oplótła jasnym warkoczem.

Aż się stary zadziwił, skąd w niej tyle uczucia i wdzięku, ale wahał się krótko, bo czwórka dobrana, jak rzadko, cze-

kać na niego nie będzie. Pójdzie za tym co lepiej zapłaci, a serce, rzecz swoją, domowa, zawsze w domu zostanie.

Bo tak się myśli często o sercu, jak o martwym przedmiocie.

Więc dobrem słowem uspokoił dziewczynę i, że czuje się zdrów, za dni kilka powróci.

— A potem, już mię nikt z domu nie ruszy.

Spojrzała nań jakoś dziwnie, ze smutkiem tajemnym złych przeczuć i — zabrakło jej słów. Z lękiem w duszy odeszła.

Zatłukły w podwórzu podkowy, Józef sprawnie podjechał.

Za chwilę szkapy pudłem targnęły, a w myślach starego wnet, jak te fale, pobiegły chybko, a zmiennie — kłopoty, radości i smutki. Kołysały się wolniej i wolniej, spływając pomału w łożysko spokojnej beztroski: — ano, jakoś to będzie...

Zaś nad nim wrzał chłop nienawiścią zacieklą. Toć wczoraj swój zamiar pocziwy wyjawił — ani spojrzała, a dzisiaj na ganku...

Ciął śmigło, z wysokości, po koniach.

— I — taka niewstydna...

Jakby go pies wtedy szarpnął za wątpia, nie puszczał. Teraz znowu we łbie, aż pali.

Nie odejdzie to już, nie odmieni nic, bo przecie — wi-dział.

I raz, wraz cięta ręka dojmie szkapy do bólu i jeszcze wyszuka, gdzie ból ten gorętszy; ciśnie się wtedy ofiara, żywe iskry wykrzesze z kamienia.

Nagle — głos za plecami, jakby żgnął w serce:

— Słuchajno, chamiel!...

Aż w sobie się zwinął, aż w myślach zawyło:

— Ludzie, ludzie — siekiery!

Ale wnet uciszyła się myśl, jakby nagłą ulgą objęta, coś tam w mózgu ledwie mignęło, już zgasło, jak błysk noża w ciemności. A gdy konie w cuglach sprężonych siadły na zadach przed stacją, Józef zesunął się z kozła i schylił panu do ręki.

— Żeby tam, jaśnie, wszystko szczęśliwie i, żeby nam nie chybiły owe koniska... bo do orki — sam czas.

I już patrzył mu w oczy, z furmańskim obleśnym uśmiechem, zda się, przyrośłym do każdej czapki oszytej galonem.

* * *

Z wyniośle podniesionemi łbami, lecz ostrożnie stępując na obolałych, podbitych nożyskach, żalosne dwa złotogniade ledwo się wlokły, zwłaszcza że Józef, umyśliwszy kuma odwiedzić, przyjaciela-doradcę, skręcił ciężkiem pudłem na wydmuch bezdrożny, gdzie odosobniona, bo sąsiad się do niej nie garnął, a i sama ludziom nie rada, stała zsiadła, pękata, hycłowska chałupa.

Na oko do wszystkich innych podobna, lecz jakiś obcy zapach szedł od niej, daleki od chleba i miodu, a przytem odmienny miała w obejściu porządek, skąd niosły się tylko psie głosy.

Głosy niecierpliwych wyrzekań, tęsknot żalosnych i trwogi. Wszystkich uczuć człowieczych wymownie bolesne wyrazy, nierozumiane przez ludzi.

Nikt tu nawet o tem nie myśli, gdy wszyscy zbożnym trudem codziennym zajęci: czeladnik psy dławi w komorze, pomocnicy drą skóry, gospodyni, rada słoneczku, szmaty rozwiesza, zaś na przyźbie kołtuniasta Iryna skrobie kartofle, zawodząc fałszywie, a rzewnie: — „z brzękiem gitary“.

I snują się dzieci jasne, brzuchate, u świeżo odartego ze skóry kadłuba, z rozpartemi drągiem nogami.

— Tata dzisiaj go zabił. Beł — gniady i już wcale nie miał ogona.

— Cyganisz... — i podsuwają się bliżej, gdzie psy czarno-białe i żółte i z sierści oblaźłe, żrą się, targają, wlokąc z wnętrzości długie, blado-sine jelita.

W górze skowronek.

Za chałupą skrawek poletka, gdzie orze w jasnokościstą szkapinę sam pan majster — Pazurek. Równy, jak pod sznur, skibę odwała, w ziemi czarnej a tłustej, krwią żywną opilej, przekarmionej padłem.

Pogwizdywał pan majster, boć dobrze i błogo, gdy pan — sobie, na swoim, i rznął pługiem ziemię, raz koło razu, z ochotą. Czasem piszczał wyorał, albo czaszki poźółkłą skorupę, szczękę zębatą — wszystko trud jego ręki.

Józef w tę stronę podjechał.

— Szczęść Boże!

— Panie Boże zapłać.

— Pod żyto?

Gospodarz na uwrociu przystanął, przesuwając czapczysko.

— W tym roku — pod jęczmień wychodzi.

Na długich, chybotliwych nogach, szedł ku gościowi, kołyszając się leniwie, chłop jeszcze nie stary. Ale w barkach szerokich, nie na ludzką miarę rozrosłych, pochylony już mocno, przez co zwisłe, naprzód podane ramiona jeszcze dłuższymi się zdały, nadając postaci jakiś wygląd potworny.

Wszakże najstraszniejsze były w niej ręce — nie ręce, jakieś olbrzymie, sino-czerwone, palczaste mięsaki, rozchwiane, chwytiliwe...

Gdy się przybliżył, ciężką głowę podźwignął do tysiąca innych podobną, rudawo zarosłą. I spojrzał jasnemi, jak z blachy oczami.

— Cóż ta, kumie, powiecie?

— Thh... byłby może interes... — strzyknął śliną przez zęby.

— Opłatny?

— Niby, że jest, — zależący... Trzaby pogadać, ale nie tutaj.

— Ano, — chyba przyjdę, pod wieczór... — podsunął się bliżej, zaświdrował oczami. — Czy to sami poradzim, czy może czeladnika trza brać?

— Trzeci łeb zawsze do zdrady.

— Sprawiedliwie-ście rzekli.

Zadumali się obaj. Jeden nie chciał zbyt pospieszenie się zwierzać, jako że właśnie był mu pośpiech potrzebny, zaś drugi nic zgola nie mówił, aby niepokoju ciekawości nie zdradzić, i czekał.

Aż ci począł to, owo, niby ów, co zwierza obchodzi, kołuje, a zrazu od tego miejsca daleko, gdzie się go zastać spodziewa.

— Cóż to wasz stary, grunt pono chce kupać? Musi, spadło mu grosza?

A tu, aż ci chłopem poderwało na koźle, a tamten już wyczuł, że nagle zwierzowi na ogon nastąpił.

Rozjuszył się Józef:

— Żeby tak śmierć spadła na niego... Żebyśta go jeszcze na stryku powlekli...

— Pewnie, że tak trzeba jemu.

— Żeby mu widły w gardzieli... żeby go za tę krzywdę... — aż się dławił słowami i miotał... — a cichy Pazurek już gonił na oko.

— Więc jakże, z tym gruntem? Nieprawda?

— Co nieprawda ma być, kiej zadatek już dał... stawały rejenta, po sukcesyję przecie pojechał, a dziewczkę zmaniał zapisem... Ale ja... jemu, jak Boga przy skonaniu... z bebeczów... — nagle się pomiarkował, i zaciął.

Zapóźno, bo już wiedział o co chodzi Pazurek.

Tedy rzekł obojętnie:

— A niech ta se kupi, nie kupi, — co mi tam.

Spojrzał po niebie.

— Jaki to tera dzień krótki... — powiedzta.

Jakoś nierad z siebie był Józef: coś stało się — nie tak, więc zdarł szkapy, na miejscu nawrócił i pochylił się z kózla:

— No to, znaczy, przyjdzieta?

— Przyjść można, dlaczego...

Cisnęły się biedne koniska w chomąta, zakolysało czarne pudło w siwej kurzawie, pognały za niem psy, dzieci z jazgotem i wrzaskiem:

— Karyta, — karyta!

Majster rzucił za nim oczami, za capigi pług dźwignął, wparł w ziemię i — od sie!

Kładł skibę za skibą i w myśli pracował.

Z chłopskim spokojem ważył na szalach niespiesznej rozwagi, z jednej strony niewątpliwe ryzyko, a z drugiej niepewne korzyści...

— Chciałbyś bracie, mojami rękami...

Nie widziało się jakoś.

Przytem ów Józef zaciekły. I jeszcze dziewczyna przy takiej robocie, — całkiem niedobra kompanja.

Śmignął biczem, jakby chciał coś z myśli odegnąć, głębiej w ziemię pług zaparł.

— Od sie, od sie — zarazo!

Ale już pociągała go zbrodnia drapieżnym urokiem...

Jak innych pociąga: pojedynek, czy łowy, wojenka... jednej matki dzieci.

.

Nad oraczem Bóg czuwa. Zesłał deszczyk późnym wie-

czorem na ziemię wzruszoną, na pragnące ziarno i łaską swoją ludzki trud zbożny poświęcił.

Właśnie pod tę chwilę Pazurek żegnał się z Józefem, u stajni.

— Chwała Panu, że deszczyk... Ostajcie z Bogiem.

— Idźta z Bogiem, kumie.

Z przyjaznego nastroju i z wódecznych zapachów, co ciepłą falą się niosły w powietrzu, znać było, że jakiejs sprawy dobili, po myśli.

Psom jednak ów gość źle, jakoś, się wydał, czy może wyczuły w nim swego mordercę... Nawet dobrze urodzona Ara, której głosu nikt nigdy nie słyszał, zjeżona, zaciekla rwała się do niego, a nowy przybysz — pies chłopski Kruczek, aż z tej zawziętości szczek stracił. I tylko kłapał spienioną paszczką, oskakując go kołem, niestety, na ograniczonej długością bata przestrzeni.

XI

Chylił się dzień, a choć pas płomienisty zachodu, rżesny złotem rozpławiony w czerwieni, jeszcze się jarzył, już zmrok, szary pacholek, szpieg nocy, chyłkiem sunął po ziemi i w kąty zaglądał, dnia po nich szukał, rwał go potrochu, coraz zuchwalszy.

Chwila, a pewny swej władzy wyżej się ciśnie. Pobiegnie po chatach i drzewach, aż zawaha się krótko, ciemnej mocy w siebie nabierze i porwie na blaski, zetrze pas lity złotą czerwienią. I zamarze w czarność.

Na przedświcie dopiero wyłoni się znowu, lecz jakże inny: pobladły, ustępliwy, pokorny...

Chylił się dzień zamierało życie w podwórzu, uciszały głosy. Na czynną ochotę i radość schodziło znużenie.

Coraz bliżej kurników przystając, zamyślały się kury: —

iść, nie iść na grzędy. Ciemno tam, ciasno i zaraz się poczną cowieczorne swary o miejsce. A tu świat, taki jasny i tyle przestrzeni!

Już białym sznurem, kołysząc się przez trawy, niezmienną ścieżyną sunęły gęsi od wody. Blżej domu i ludzi, coraz wolniej, z rozwąą i już idą gromadką. Szepty, gawędy.

Nagle w skupieniu zacichły i z wyciągniętymi szyjami, już u wejścia do swego schroniska w jakimś niemem zapytaniu zastygły. Na coś czekają, a może tylko żal słońca i wody, jak każdemu stworzeniu, bojącemu się nocy.

Zwolna idzie spokój w obejście, tylko jeszcze wróble swych sporów, czy obrad codziennych, na kasztanie dokończą i pilno komuś coś tam wywróży kukułka.

W dali gdzieś jeszcze tłuką cepy, spieszą szybkim łoskotem. Porykują krowy, wracające z pola, rzy tęsknie żrebica, a człowiek przeklina złym głosem i ludzi i świat. Ale od lasów, przez mroczne pola chyżo leci już cisza. Lada chwila rozbłyszczą żółtem światłem okienka i osunie się czarność, na stare dworzysko.

Jakiś kształt drobny, ruchliwy, na podwórzu się płacze. Psina, czarny, kusy, czegoś niespokojny Kruczek.

Siadł, nastawił ostre uszki. Chłonąc rzeźki powiew, wie-trzył — słuchał...

Jakieś szczeki oddalone, głos nocnego ptaka... Nie to... Coś się, znaczy, przywidziało. Nagle znowu, jakby jakieś obce szmery... kroki... aż się przesiadł, rozdygotał.

Jakoś ścichło, lecz niepokój, bo — coś jednak... obo-wiązek.

Więc podreptał, jak to było mu właściwe, trochę boczkem i myszkował chwilę. Wrócił, zwinął się w kółeczko, głębiej wcisnął, pomrukując jeszcze, zaszył w siebie — usnął.

Lecz do drogi nachylone jedno uszko.

.....

Nie, to nie był sen. Aż się pies poderwał z bólu, co go przejął ogniem, a wraz zatargało w nim, aż się zwałił, charcząc gorzką, żrącą śliną. Długą chwilę zmagął się z okrutną mocą, zanim na stężalych łapach drętwy grzbiet podźwignął... byle tylko iść... byle iść.

Wraz wstawały z ciemnych kątów, już oddane władzy śmierci wierne pieski. Chwiejnem kołem przez podwórze szły, jak upiory o księżycu, ślaniające i bezgłose.

Nagle któryś się zatoczył i już tarzał w rozpaczliwych zmozgach, rwąc łapami ziemię. Stary Amor. Za nim biała płocha Psotka, jakże chciała żyć!...

Nie, to nie był sen.

Ale zmorą, straszną zjawą owej nocy zszedł tu człowiek.

.....

— Kanar! na tu, na!

Szeptem go przyzywał, szukał psa-kaleki w kątach, beczkach, pod wozami, wreszcie w jakimś loszku, błysły rozgorzałe oczy.

— Jesteś!... — sięgnął po coś. — Na — Kanarek, na...

Zanim cofnął rękę, już się wżarła w nią zła paszcza. Targnął, zaszamotał rozjuszonym łbem, aż psa wywlócił pod buciska, bił o ścianę, dusił, ledwo wtedy krwawy ból wyszarpnął.

Potem widły. Kły z żelazem: krótka walka.

Gdy się stało, noc już zeszła — kuma zbrodni, osłoniła ciężkim mrokiem tajemnicy głuche podwórzowe kąty.

Już w nich ani szmeru życia, tylko bije ludzkie serce...

* * *

— Jutro, jutro... — szeptał stary w rozrzwinięciu jasnej myśli, co spłynęła mu promieniem na przygasałą duszę.

Szczęście — gość to był nieznany, w owej ciemnej i ponurej izbie — kancelarji, gdzie się snuły tylko mroczne dумы, wlokło, bez uśmiechu, życie.

Od zarania niosło w sobie zatajone żale snów niezbytich, roje szarych smutków, złe godziny troski, potem długie lata pracy, żmudnej orki bez nadziei plonu — niby ciemne pasmo uzojonej drogi niewiadomych granic.

Aż rozbłysła nagle, u jej kresów złota gwiazda — jutro!

Za nią cudne światy odzyskanej ziemi — długich lat marzenia, a spełnione nagle, przez gasnącą myśl staruszki — jej ostatnią wolę.

Dziwne drogi losów... Nawet znał ją mało... Ledwo płące się w pamięci jakiś czarny robron, białe nioby, suche ręce, z pod koronek... Była pono — skąpa... jak to w rodzice: albo — albo... Świeć jej Panie!

Jeszcze coś tam roił, snuł zamiary... Myśli gasły... Jutro, jutro odchodziło, kołyszące, jak muzyka... dalej — dalej...

A od pola z mrocznej pustki szło niechybne, bezlitosne — dzisiaj!

* * *

Ręka ciężka, rozpłniona dygotała każdą fibrą, a chwilami coś w niej, jakby strasznym śmiechem przewalało aż do mózgu, drząc w świetlistych rozdzwonionych kręgach. I znów biegło szybkim warem w końce palców, gdzie z każdego włókna ból zdawał się pić radość. Aż zatargał, myśli zmroczył.

Zesłabł zbójca, zwinął się na ziemię, ozierając wkoło, jak w żelazach okrwawiony i bezsilny zwierz.

Czegoś czekał... drżał, że przyjdzie.

.

Nagle przez podwórze sunął cień pokraczny, chwiejny, ze zwisłemi ramionami.

— Chryste panie!... Zmiłuj... — i zacichło z jękiem.

Cień do okna przypadł — nie zamknięte odchyliło się bez szmeru. Już zdejmował rząd doniczek, ustawiając je uważnie, bez pośpiechu, blisko ściany.

Dźwignął się i zniknął.

— Jezu!

Żółte światło u obrazu, jasny kaptur nad kominem, dalej biała pościel. Już był przy niej i nad śpiącą zawisł ciężką myślą. Mgnienie: wtłoczył węzeł ścierki w półotwarte usta, zawarł w garści obie ręce, ścisnął drutem, zwałił się na nogi. Ani spojrzał w straszne wysadzone oczy, wiązał białe uda, stopy. Ledwoby kto zdołał pół pacierza, już skrępował je u łóżka.

Teraz patrzył chwilę na sprężone, podrywane szybkim czkaniem bujne ciało Franki.

— Dobra!

Potem drzwi uchylił, ściągnął z twarzy ciemną chustę, nasłuchiwał i już chwał się, bez szelestu. Minął wielką, pustą izbę, zamarł we drzwiach.

Blżej... bliżej. Poręcz łóżka, ciepły, ciężki oddech... Zwolna sunął ręką... nogi... przeniósł dłoń w powietrzu, osunęła się na ramię... ledwo zmacał gardło, porwał w straszne garście starczą szyję, targnął raz i raz, prąc kolanem pierśsi... Dusił.

Rozpaczliwe ręce, jęk i zwisły, a tuż głuchy chrzest, jak sprężyna zegarowa, gdy się zerwie.

Krótką sprawą — życie.

Zdjął z ofiary ręce.

Błysło światło. Na stoliku nocnym trochę miedzi i zegarek. Dziesięć minut do dwunastej. Próba żyta, jakiś papier — cyfry, obok biała głowa ze zgąsłemi żrenicami. Zmaza krwi przy sinych ustach.

Nad tem życie: szybko biegające oczy, słuch napięty,

straszne ręce... pierścień... zwój pieniędzy.... złoto... Prę-
dzej, — prędzej...

Ku drzwiom ganku sunął.

— Kumie, ju!

Klnąc, w pośpiechu odziewali wisnącego w rękach trupa:
spodnie, buty, siwa, potargana kurta. Zwlekli go na ganek.
Poczem zbójca przyniósł nieprzytomną Frankę, złożył ją
na łóżku.

— Niech zgadują co się stało.

Podźwignęli Zakrzewskiego. Przez podwórze, potem
przez sad stary, tłukli się w ciemności po gałęziach. Dalej
w łąki, zapadając w doły... do jeziora biegła zbrodnia.

Rozbujali... Ścichły fale nad dziedzicem.

I pobiegły za nim tylko krótkie słowa zatajonej długie
lata nienawiści, wzgardy, śmiechu:

— Jaśnie pani — jego mać!

Za wodami, na zegarze biło jutro.

XII

Zginął stary pan z podwórza, jakby w wodę wpadł.

Coś tam wiele plotła Franka, ale któżby — takiej —
wierzył, jak mówiły małomiejskie kumy, określając wyrazi-
ście stanowisko gospodyni. I czekały Boskich sądów, prze-
dewszystkiem na zgorszenie, które zawsze szkaradniejsze
jeszcze — po najdłuższym życiu.

Jakoż tak się stało — niezupełnie jak chciał głos ogółu,
tem surowszy, im winniejszy w sobie, czy zawistny. Tak się
stało, jak w powieści: śladem zbrodni przyszła kara. Lecz
zgorszenie ocalało. — Sprawiedliwość!... — jęły kumy.

Sędzia śledczy, człowiek wątył i cherlawy, wszelką zbro-

dnia już znudzony, jak i życiem, rad wysłuchał barwnych
zeznań z ust, jak wiśnie, urodziwej, modrookiej Franki.

Jak ją owej nocy djabeł stłamsił, cosik wraził, przez pie-
rzyny ją ostawił, że aż grzych...

Westchnął sędzia nad widokiem. Nie bez żalu zwolnił
świadka. Zagadały kumy:

— Moi ludzie, moi ludzie! to nie z Boga taki sąd.

Zaczem sennie spojrział na Józefa: — Ten mógł zabić!...
Zlekka ziewnął, biorąc pióro i oglądał je z uwagą.

— Imię i nazwisko?

— Józef Krzywda.

— Urodzony, gdzie?

— Tu osiadły, z dziada.

— Lat?

— Cheba, że... trzydziesty.

Potem — czy karany? — coś tam jeszcze i co może ze-
znać w sprawie zbrodni.

— Jaki zbrodni?

Więc wysłuchał, że jakoby wyjaśniło śledztwo fakt za-
bójstwa i rabunek. Chodzi o to, co by w sprawie mógł po-
wiedzieć, zamieszkały tutaj, Krzywda.

Szerzej rozparł się na nogach, pewny siebie Józef.

Cóż on wiedział, albo widział? Sieczkę rznął. Człowiek
przecie utrudzony, potem spał — nic nie słyszał. Miał do
pana przywiązłość, dbał o konie, a z pańskiego dobra nie
skorzystał nawet tyle, co ma za pazurem czarno... — rzu-
cił z gestem.

Sędzia spojrział na staranny swój *manicure*, potem, od-
ruchowo, sennie oczy przeniósł na garść czarno-siną, zbrzę-
kłą. Nieco się ożywił i oczami na nią wskazał.

— A ta rana skąd?

— Niby, to — to... — wzrok opuścił obojętnie —
gwóźdź me ozdaruł... To ta — nic... — rzekł niedbale i zaga-

dał: — To mi jedno było dziwne, proszę sądu, że jaśnie pan gdzieśiś, chodził, nieraz nocą... po łączysku, kole wodów...

— Gwóźdź mówicie? Gdzież tu u was takie gwóźdźcie? Chodźmy je zobaczyć.

Wzruszył ramionami Józef. W stajni jakoś długo szukał, wreszcie wspomniął, że gwóźdź nogę mu skaleczył, ale rękę, to — po prawdzie, pies.

— Który pies?

— Ja wiem który? Czarny, ciął me, na ulicy.

— Chodźmy.

Lecz wrócili znów w podwórze, a do śladów krwi przy stajni.

— Czyje?

— Ja, ta nie wiem — ale się coś zmieszał, potem pod nagłością pytań splątał, sam zawikłał...

Wzięli.

— Szkoda chłopca... moi ludzie!

— Przecie, szkoda.

Nie pomogło, że się potem zaciął, nie pamiętał. Wnet mu krzepki sierżant aż do zbytku myśl rozjaśnił, poczem prawil do rozumu i do serca, gdy już chłop w kajdany dzwonił.

— Ciebie, bracie, namówili. Tyś niewinien, tylko głupi... Aż do łez rozczulił ludzki człowiek.

— Jak przed Bogiem, panie starszy...

— Naści — zapal.

Lecz nie czekał skutku zwierzeń kum Pazurek. Jakby go wiatr zwionął, gdy po niego przyszli.

Tyle po nim pozostało, co w pamięci słów uznania:

— Głowę miał — nie do postronka.

Nad wieczorem próżno oglądały się koniska, czy kto idzie.

Stary ogier, jakoś z uździenicy się uwolnił, jak to umiał, i po stajni łaził. Wyżarł całą słomę z wyrka, pojadł sznury, potem jął się wieka skrzyni z owsem, a kobyłsko głodne i łykawe żłób zębami rwało.

Ledwo o świtaniu przyszła blada, choć płonąca w oczach Franka i piorunem wzięła za obrządek, jak to bywa, gdy dziewczucha zabić troskę chce robotą.

Nie pomogło, bo już nazbyt rozżalone było serce. Do żywego bólu ją dojęły kumy, zwłaszcza, gdy się przepytały, że to głupie dziewczuszyko za sromotę nic nie miało.

— Jak ta suka, moja pani — darmo.

— Złote słowa pani.

I tu jeszcze przyszła. Po co? Jakby po wspomnienie, w ciszę śpiących żalów, niosąc jeszcze w sobie świeżą boleść słów zelżywych, jak kamienie ciężkich.

Wstyd płomieniem w nią uderzył.

Aż zesłabła, chyląc się w niemocy, nad rozwartą skrzynią.

— Prawda ludzka, — prawda! — i w tej chwili dziwne błogie zamroczenie ją przejęło. Łzy pobiegły z oczów i jak perły posypały w owies.

Nagarnęła pełne miary i do żłobów niosła.

* * *

Szybko życie pobiegło, niosąc co dnia to nowe złych przeznaczeń wyroki, jakby już chciało zamknąć corychlej historję podwórza, zagładą.

Jak to człowiek niektóry radby z całą przeszłością uczynił ów nowy człowiek, bez wczoraj za sobą, zapatrzony w jutro. Jakżeby pragnął wytracić wszystkie dawne uroki, co niosą we wrzawę nowych poczynañ kłótniwej gromady, uśmiech dobrotliwy, a pański. Uśmiech starego obrazu,

w którym uroku żadne jutro nie zgasi, jak wspomnień nie wydrze pamięci, choćby ich materialny ślad zginął.

Ledwo zeszło dni parę, a już osunęła się w oczach, od-
młodzona ostatnim wysiłkiem zagroda. Jakby w niej du-
sza, co pod nagłym ciosem zesłabła, aż schyliły się zręby
wiekowe, zapatrzone już w ziemię.

Kochającego serca zabrakło i rąk silnych, co je miały na
dobre podźwignąć. A tuż wysunęły się garście drapieżne.
Jak po spadek niecierpliwa, zła chciwość, co nieraz śmierć
przed czasem przywoła.

Ktoś tam szarpnął parę desek od brzegu, inny wrota
nocą wyważył, a z płotem, jak to wiadomo, byle tylko po-
czątek...

Gdy zaś tydzień przeminął, już tak się zdawało, jakby
w mrocznych kątach jaśniej i więcej przestrzeni, a tu i ów-
dzie zazierało ciekawe słońeczko, gdzie nie było nigdy.

Przytem czas był wojenny i szło już pod zimę, więc
któżby się dziwił, że drzewa z dniem każdym ubywało
w podwórzu. Nawet człek nieporadny i głupi, a przecie ma
tyle we łbie ciemnym jasnego pojęcia, że nie kupi, co leży,
albo ledwo się trzyma, a co Pan Bóg wyraźnie dla biednego
przeznaczył.

A choćby tam człowiek inne prawo wymyślił.

— Już ta, — Boskiego nikt nie odmieni.

Zaś po ladajakich rabusiach, pomniejszego gatunku, szar-
piących opuszczoną chudobę bokami, a chyłkiem, już i by-
stre oczy sokole, w głąb spraw jej wewnętrznych zajrzały.

Cisza, pustka, głos wzruszony:

— Panie kapral... — łązi kaczka.

— Pewnie dzika.

— Rozkaz!

Znów za chwilę:

— Kole ściany, fest wiaderko, — panie kapral.

— Mają drugie...

W sadzie jabłka.

Aż się starszy zniecierpliwił:

— Te — oferma, czego stoisz?

Więc już nie stał. Wiadro, kaczka, na wierzch jabłka.

Hupaj, siupaj, do kompanji.

— Przyjdziem jutro! Po fasunek.

Tedy czas był najwyższy, aby ktoś nie czekający łat-
wych następstw tak nietrudnego początku, jął się skutecz-
niejszej obrony, zdanego tylko na Boską opiekę, dzie-
dzictwa.

* * *

Jakoż w porę ostatnią przyjechał pan Aleksander Za-
krzewski, od francuskich granic.

Nie zawiódł, bo jak się należało po obiecującym mło-
dzieńcu spodziewać, wyrósł z niego człowiek. Jak to się mó-
wi: społeczeństwu potrzebny.

Więc trzeźwość i chłodna rozważa. Dla wszystkich po-
rywów pogarda i, gdzieś na samem dnie zatajone, a żywe
uczucie zawiści, co przez życie prowadzi.

W klin — ruda bródka i nieco łysawy. Jeszcze ćwierć
wieku nie przeżył, a już dobrze brzuchaty, jakimś dyrekto-
rem był pono. Czemś rządził, bez trudu, co stworzył już
przed nim zgodnej pracy wysilek. A gdy się już na stanowi-
sku utwierdził, tedy, idąc zawsze za śladem wskazań życio-
wych, jak wcześniej wstawał, tak ożenił się wcześniej.

Okoliczność takową możeby należało w tej kronice zda-
rzeń wyzyskać, opromieniając uczuciem opisanie tęsknoty
i cierpienia, przy finalnej radości dwojga serc kochających.
Zjednałoby to może autorowi, obracającemu się nie tylko
w psim świecie — pobłażliwe względy, a wydawcom po-
czytność. Ale, cóż na to, gdy akcja serdeczna odbyła się

całkiem bez wskazanych umartwień i psychologicznych za-
wikłań?

Pan Aleksander poznał pannę Lizę przed rokiem. Nic
blade dziewczę nie miało. Ni urody, ni myśli, nic z ciała,
nic z ducha, tylko — pieniądze. I — pychy dziedzictwo.

Za to pan młody posiadał skarb reszty warunków do
szczęścia, jak wierzył, a że małżeństwo za spółkę handlową
uważał, przeto, rozważywszy warunki, przedłożył panience
ofertę współzycia.

Przyczem była mowa o sercu, jak tego żąda konwe-
nans.

Podobał się pannie wychowanej w zasadach demokra-
tycznej równości — *Sieur de Zakrzewski* — *un noble*.

Zaczem krótki djałog z jej ojcem, a potem kancelarja
rejenta, kościół, uczta weselna. I miesiąc podróży, z zacho-
waniem przepisów rozumnej higjeny, zapewniających szczę-
ściu wiek długi.

Jednak po tym miesiącu już się mieli rozwodzić. Ale zbyt
mocno ich wspólność interesów związała i wspólność ma-
rzeń o pomnożeniu majątku, który kochali jedną miłością.

Coś polepszyło się jednak w małżeńskich stosunkach, gdy
z gwarów wielkiego świata zjechali na swe ciche dziedzic-
two, gdzie, jakby złagodniały dusze, a ciepły promień na-
gle myśli przeniknął, sprawił ten skutek, że sobie wzajem-
nie, wydali się lepsi.

Bo w polskich dawnych siedzibach mieszka duch taki—
Skrzatek, co tylko dobro i szczęście przeżyte pamięta i nie
zna wyrazu — pieniądze. Niewidzialny uzdrawia.

* * *

Młoda pani nie była „z domu“ tylko ze sklepu. Przeto
uczula się dumnie szczęśliwą w starem podwórzu, gdzie, do-
szukawszy śladu dawnych splendorów, świadczących, że

był to dom, kiedyś nie byle, wnet pokumała się z domem
i z rodem i z całą przeszłością, czując się nareszcie, jak ni-
gdy, — u siebie.

Ale, zimno, z wysoka zdawały się patrzeć, z ram otłu-
czonych jejmoście-prababki, w kryzach, szynionach, na
krzątającą się po izbach zapadłego dworzyska, całkiem tu
obcą, w zwiewnych matinkach, rudą, jak stara wydra, nową
dziedziczkę.

Był tych portretów rząd cały, w dawnej jadalni, lśni-
cych barwą szlachetną, niby blado-złote kościelne patyny
i, tak się zdawało, że było im dobrze w spokoju, a nawet
z nawisłą pajęczyną — do twarzy. Aliści młoda pani na nie
ledwo spojrziała i wnet zawył w jej duszy, jak pies wygło-
dzony — porządek...

Zakrzętnęła się żwawo. Jak to umie niewiasta, gdy ją
szał czystości ogarnie: do tygodnia rozbłysły wyprane ba-
bunie, w nowej, aż do łez wesołej poźłocie. Potem je zły
człowiek przeciągnął lakierem, jakby duszę zasklepił i mar-
twie blaski bezmyśli, raz na zawsze, dał w oczach, aby z nich
nie wyjrzała.

A gdy już, tym sposobem, nawet mężów rycerskich do-
statecznie pogłębił, powieszono w szeregu czarne brzuszy-
sko, ze złotym łańcuchem — człowieka bez twarzy, a obok
chudo-drabiniastą, bezpłciową osobę, o zamarzłych oczach,
w bladodrewnianem obliczu — konterfekty rodziców pani
małżonki. I odtąd, jakby uświęcona tych przodków zjawie-
niem, belkowana izba, salą portretową się zwała, a zaś ro-
zechwiane przez wiatry osiedle — pałacem.

.....
Spędzała tam pani długie godziny, kołysały ją sny
o przeszłości.

Jej urokiem objęta snuła się, szukająca nastrojów, po

dawnym ogrodzie, a pono każde drzewo coś tam do niej — mówiło, o czemś minionem szemrały jej wody.

Na każdym kroku odnajdywała jakichś wspomnień czary nieznane, zatajone dusze, do tkliwych deklamacyj tematy, nie odczute przez niego, który, siłą małżeńskich przeciwnieństw, żył tylko przyszłością.

Ale pani chciała wiedzieć o wszystkim co było, więc wisiła na sztywnej szyi mężowej, aż do nudy czuła:

— *Dis donc, mon Alexe...* — czy to twój pradziad sadził te lipy?

— Już raz ci mówiłem, że każdy mój przodek do wszystkiego miał ludzi. Sam spełniał tylko czynności z własnym organizmem związane. Jadł, pił osobiście i trawił.

— Więc to nie on sadził. Ach jaka, szkoda. U was przecie król nawet... *on dit que votre Sobieski...*

— Był ogrodnikiem, a w chwilach wolnych panował. Ten nawet od obowiązków małżeńskich miał dworzan, jak tego chciała *votre belle* Marysieńka.

— Ach, nie to... — skrzywiła się pani. — Sam przecie przyznasz, że piękny taki ślad ludzki — dusza, która została i żyje, żyć będzie...

— Krócej niż się spodziewa. Bo jeszcze przed zimą, ja to wszystko wyrąbię.

— *Ah, tais toi, — vilain...* — i spojrzała rzewnie niebieskimi oczami — i znowu zawisła.

Miała swoje zamiary. Obliczywszy kapitał, doszła do przekonania, że przeszłość można też kupić, a wszystko, co było, w kształtach podobnych przywołać.

Już cieszyła się myślą, jak to się przyjmą zasadzone przez nią, a bez liczenia się z kosztem, wielkie drzewiska odrodzi się szpaler grabowy, a potem, jak to o wiosnie ustawi posągi, nawet wyspę przywróci. W podwórzu dwór staropolski, z podsieniem w kolumny, a nad nimi wykute

z kamienia... — jakże to się po polsku nazywa?... *Les armes de famille...*

— *Un Tch... Tk... Chaska!*

Nie dawał się Trzaska wziąć pani na język.

Niechciała i dawna kasztelańska siedziba, aby obce ręce sięgały w jej życie, bo wszystkie drzewa pomarły, te zasadzone, bez liczenia się z kosztem.

A może ziemia wysilona już była, jak ów ród stary, co przetrwał złe, dobre i już spełnił swe sprawy.

* * *

Że to lubił pan Aleksander we wszystkim, a zwłaszcza w interesach pieniężnych, porządek, przeto do spadku już wezwał rodzinę, a pewny, że formalności odbędzie po myśli, bo któżby tam z nędzą się liczył, jął dobijać podwórze.

Z pasją radosną rozwalał, jak stały od wieków porządkiem: lamus, stodoły i śpichrze, jakby trumny z grobów wywłóczył, gdy mu cmentarz do innych celów się nadał.

A za nim szedł Mordka Kugel i chwalił, że dobrze...

Potem dziedzic starego imienia, — nowy człowiek bladych pozorów, skazał na ścięcie odwieczne drzewa, co wszystkie burze przetrwały. Ze złośliwym uśmiechem naznaczył siekierą dostojnych skazańców, a o świtaniu poczęli wyroki. I wraz padły dęby pierwsze, już w rdzeniach zetałale, a za nimi miąższe olchy, pod toporem krwawe, białociałe lipy i sosny — macierze, przez pioruny zdarte, a gdy się jęli już kępy przy dworze, ze Świętą Figurą, nagle krzyk rozpaczliwy młoda pani podniosła i biegła z płaczem.

Cóż mogła odmienić?

— Mam prawo... — rzekł jej dobitnie.

— Ale pan nie masz serca!

— W intercyzie go niema.

— Pan nie masz duszy!
— Mam, na własny użytek.
— Ja żyć z panem nie będę.
— Tem gorzej dla pani.
— *Monsieur Saszeski*, — *vous m'embêtez...* i zalała się łzami.

— *Madame!* — Złożył jej ukłon, zwracając z dalszemi rozkazami do ludzi.

Właśnie w tym czasie, gdy padła ostatnia topola, jakiś żołnierz bez nogi zjawił się w podwórzu.

Znać, podróżą był bardzo znużony, bo się na pieniek najbliższy osunął i już zwisała mu głowa. Aż dziwili cię ludzie, jak to zagnała sen zmoże.

— Bo, widno, że trzeźwy.

Lecz mylili się ludzie, bo żołnierz pijany był żalem.

* * *

Kalectwo zawsze smutne ma oczy. Jakby po ranie, co już się zgoiła, jakiś zawód, czy żal w duszy pozostał i trwa nieraz długo i boli...

Któż to nie widział takiej duszy bolesnej w oczach smutnych bezbrzeżnie, choć żołnierz idzie, tak rażno na kulach, jakby nigdy inaczej nie chodził? I nieraz jeszcze coś mu się marzy, że zajdzie daleko, choć pono już doszedł... spełnił najświętszą powinność, *za to* pierś okrył chwałą, ale — swoje już zrobił. I jeszcze niedługo, a pamięć uleci i już ten, który walczył — grat bez użytku, co w ładzie społecznym zawadza.

Z tą myślą pan Aleksander spojrział na brata. Jednak rozrzewnił się nieco, gdy na myśl mu przyszło, że i jego mogło spotkać to samo... gdyby był poszedł.

Przyjaznym uśmiechem go witał:

— No, cóż — bohaterze?... Chciałbyś pewno opowie-

zieć nam swoje przygody? Posłuchamy cię chętnie, ale przedtem, wypocznij.

Zlekka nachmurzył się Wicek, spojrział jak na obcego, który zbyt poufale go dotknął.

— Ja, do opowiadania nic nie mam.

— No a wojna, a krwawe przeżycia, to mało?

— Miljony ludzi przeżyło to samo.

— Zapewne. Ja sam przeboleiałem niejedno. Zawsze to przecie ważyły się losy, a potem to umęczenie w podróży... Wprost nie do wiary. Ale i tobie z oczów nie patrzy życie wygodne, więc przedewszystkiem, wypocznij. Potem się rozpatrzysz...

Nie — nie! Ja już... wszystko widziałem — ja, zaraz pójdę...

— Cóż znowu? Przecie taka gościna to ci się nawet od nas należy.

Za rękę go uściśnął i dodał z pośpiechem:

— Tak, tak! Do pewnego stopnia, należy... — i chciał już odchodzić ważnemi sprawami zajęty, ale Wicek jeszcze usta otworzył:

— Chciałem...

— Co chciałeś? — bo widzisz... spojrział na godzinę.

— Ja chciałem jeszcze... co się dzieje z siostrami?

— Tak, tak, to się rozumie. Ale niestety, nic pomyślnego. Klara w Lozannie zabawia się muzyką, ale tam z nią nie jest wcale zabawnie... Zofja rozstała się z mężem, powiada, że ją życie zawiodło... Ale jakże być mogło inaczej, kiedy zawsze tylko tęsknoty, frazesy, jakieś mdłości duchowe... A człowiek był bardzo i bardzo zrównoważony, spokojny... Siła, praca, wytrwałość.

Zamyślił się z troską na czole.

— Ale jej się nagle wydało, że — gruboskórny, że wół...

jak to u nas w rodzinie, gdzie zawsze pańskie fantazje, wy-
magania subtelne, przy braku gotówki...

Jakieś dawno już niesłyszane dźwięki uderzyły w duszę
zbołą, i już brat nie był mu obcym, ale równie dalekim,
jak ów dawny Lalutek.

Lecz pytał go jeszcze co się stanie z dworkiem w podwór-
zu?

Jakby cierń w żywym bólu zastrzegły — niepokój
z tęsknoty, raz na zawsze, chciał wyrwać.

— Rozbiore. — Padł twardy wyraz i chwila ciszy.

Krótko się wahał pan Aleksander, ale przemogła ochota:

— Spójrz na wodę. Zakupiliśmy cały ten teren, a czy
wyobrażasz sobie fabrykę, czy ty sobie wyobrażasz prze-
dzalnię, która stamtąd zamknie w czworobok podwórze?
Tam właśnie nad wodą stanie wielka turbina i, stamtąd
transmisja na bielnik, a tutaj... — coś rozповідаł mu dłu-
go, wreszcie pytał z dumnym uśmiechem:

— No, i powiedz, artysto — nie bajka? Z wieków zgni-
lizny, — kipiący źródło życia? Gdzie był ród zapleśniały,
w bezmyśli, tam genjusz firmy:

Perkins, Winkelman, Zakrzewski. To — odrodzenie!

Uciszył się nagle i spojrzał z niechęcią na brata:

— Czy chciałeś co jeszcze? Wincenty!

— Jeszcze tylko dzieciństwo... — z zamyślenia obudził
się Wicek. — Jeszcze to tylko... co się stało z Bekasem? Lu-
biłem tego psa bardzo.

— Z Bekasem? — spojrzał na niego uważnie. — Ach —
stary wyżeł, włóczęga, co jakoś ocalał... Płacze się tutaj,
niepotrzebny na świecie.

— No to... — czy można go zabrać?

— Ależ najchętniej, bo i tak kazałbym go zabić, tyl-
ko... — i spytał z drwiącym uśmiechem:

— Tylko, z czegoż to żyć będziecie — panowie?

W oczy sobie spojrzeli. Skrami nienawiści błysnęły źre-
nice Wickowe, a z bladego wzroku Lalutka wyjrzała zła,
dawna pogarda.

Potem jeszcze odbył ceremonię poznania pani bratowej.
Zrazu, w stronę grubo — niezdarnego szczudła zerknęła
ukosem, ale wnet na duszę ukojenia i ciszy pragnącą spadł
szybki trajkot łamanych wyrazów, bez myśli, jakby plewy
lejące z wiatrem. Jednak według wskazań niezmiennego po-
rządku francuskiej łatwości: tedy przerzut rozmowy z bo-
haterstwa narodu na klimat dość przykry, poczem znów
piękne nadzieje polskiej przyszłości — o ile... jeżeli... i gdy-
by... — uwieńczone bezwzględem uwielbieniem Paryża.

— *Enfin...* Czy pan się czuje bardzo zmęczony?

A nie czekając odpowiedzi, bo przecie tylko jedna być
może, już go wiodła przez świeżo tapetowane izby, roze-
śmiane żałości, a potem do sali portretów, pragnąc jak naj-
szlachetniej zabawić malarza, a w duchu: — niech widzi
co może zachodnia kultura.

Aż zdrętwiał, na widok odświeżonych prababek i zac-
nej pary małżonków wliczonej do przodków. I słuchał, w bo-
lesnem znudzeniu, słów trzepotliwych, czy smętnych, to
znowu, jak grad szybkich, przeplatanych dystynkcją uśmie-
chów i pytań: — czy pięknie, czy godnie, czy dusza wy-
czuta w odnowie pałacu, a w końcu, z ust zeszło westchnie-
nie:

— Ach, jakżebym chciała być choć raz w życiu przez
artystę pojętą... I tylko jego serce rozumieć!!

Już się pani oswoiła ze szczudłem.

Ale Wicek, w tym psychologicznym momencie, tak się
niepojętnie zachował, że na młodego barbarzyńcę spojrzała
wzgardliwie i zmiłkła. Rad sposobności, skwapliwie ją ze-

gnał i już w pole żwawo utykał, aż pustą nogawicą wiatr targał.

Jakże pragnął przestrzeni i słońca, aby świeżym powiewem, po tych kłamstwach, odetchnął.

Tyle głębi i prawdy w przyrodzie... Skąd ta pustka i fałsze w człowieku?

Byle dalej uciekał, w gęstwinę krzaków olchowych, splątanych z rokitą, nad jakąś dawną zwaliną, mchami porośłą, gdzie, nie bez trudu się przedarł i tutaj dopiero uczuł bezpiecznym.

I już myśl koił ciszą — najmędrszą — życia radością, co litośnie, a błogo schodziła na duszę, jeszcze wczoraj roz tęsknioną, marzącą...

A przed oczami rozległe światy. Jarzyły się blaski skrzące na fali wód niedalekich, kędy, jakby zapadły w przezroczą ciemnię głębiny kłębowate krzaki, srebrnymi strzałami przejęte. Wysoko, nad nimi wzgórze zwaliste, przez nie rudy szlak piasków, w nagłych skrętach ucieka i, jakby gonią za nim brzoźki, pochylone do ziemi, a tam, od rodziny opodał wyrosłe, dwie siostry bliźniacze; coś je ciągnie ku wodzie.

Wicek dobrze te brzoźki pamiętał. Jedna z nich wyższa, miała kiedyś wierzchołek złamany przez wiatry i dlatego płacząca, jakby otulona w koronki. Na drugiej było gniazdo słowicze. I jeszcze tu stały trzy sosny, krzyż między nimi, pono jakaś męka powstańcza, a dalej polna ścieżyna. Biegał tędy do miasta, ale czyż to mu była droga potrzebna, podówczas?

Pomyślał, że pójdzie w tę stronę, bo miło to spojrzeć na swe szlaki młodzieńcze.

Już się dźwignął z kamienia, gdy nagle coś osunęło się miękko i aż go słodka niemoc przejęła — — Bekas był przy nim. Łeb na kolano mu złożył, jak to tylko stare wyżyły

umieją. W czym jakiś smutek przedziwny i łagodność i tkliwość dotknięcia, dla tego tylko pojęta, komu w bolesnym dniu życia, zjawił się taki łeb niemy, a taki odczuciem żalów wymowny.

Trwał Wicek chwilę w rzewnem zdumieniu, bo jakże był myślą od tej radości daleki. Pochylił się nad nim, objął, przytulił, aż ciepło od serca pobiegło do głowy i spłynęło w fali gorącej na łeb cichy, bezwolny, co zdawał się chwilę rozumieć.

A potem miękką ręką sunął długo, pieściwie przez czoło jedwabiste i gładkie, białą strzałką przecięte, gdzie u wierzchołka guz wielki, rodowy — znak rasy szlachetnej.

Podźwignął się, naparł na szczudło i — poszli z dzieciństwa.

Widzieli ich ludzie na drodze. Szedł rażno żołnierz bez nogi, młody, ale już dobrze wytarty, znać bywał po świecie, a za nim wlokło się psisko spore, łaciate.

Któżby mógł wiedzieć, dokąd tak szli? Podobno i żołnierz nie wiedział.

1920

ZŁE MIASTO

Jest w Polsce takie miasto — złe.

I jakże obłudne, bo, jakby w welon żałobny spowite, a drwiące ze śmierci. Tysiące szczytów wyniosło w podniebie wysoko, a spodem we krwi się pluży. Nieugiętą moc czerpie z wiotkich kwiatów bawełny, a z martwego złota życie. Występkom zawdzięcza zasługę.

Istnieją w tej wieloludzkiej siedzibie, gdzie jednak, jak powiadają, trudno o ludzi, istnieją w niej dwa krańce: nędzne, wrzawliwe przedmieście i można, zaufana w bogactwo i władzę, cicha ulica. Od wsi polskiej wzięła nazwanie, wrogom Polski dała przytułek. I trwa jako — Wólka.

Dwa krańce miasta stanowiły oddawna jakby dwa państwa. W jednym pana udawał, w rok zbogacony, wyrobnik, w drugim lata panował nad głodem, troską i — sobą, ukrzywdzony i biedny. Różnili się władcy oczywiście w poglądach na dobre i złe. Zwyczaje, uczucia, wierzenia mieli odmienne, jednak mocą wspólnych interesów związani, musieli się znosić, nawet przychylnością tumanić, aby tem łatwiej wyzyskać, jak tego cel wszystkich spraw fabrycznego miasta, błogosławiona korzyść wymaga.

A wiązał dwa krańce w zgodną wspólność przedewszystkiem handel zamienny, gdyż od stu lat państwo przedmieścia dawało materiał surowy: siły, młodość, powaby, zaś można ulica zużywała ów towar, ofiarując wzamian szereg dobrodziejstw, więc prawo i możność odżywiania się zupą na grochu, noclegowe przytulki, łóżko w szpitalu, o ile wolne, i — uszlachetniającej pracy godzin piętnaście!

I nikt nie pobierał mniej, niż dwa ruble na tydzień.

Trwał handel zamienny przez lata. Raz, drugi błysnęły płomienie niezgody, ogarnęły dwa światy, lecz gasły stłumione, nim zeszły się w wielkie ognisko. Tlało jednak zarzewie, żał trawił i krzywdy poczucie i niemoc, aż nagle — poczęli się skarżyć plantatorzy możnej ulicy:

— I czegoż chcą jeszcze? Pracują już tylko jedenaście godzin na dobę, za byle palec urwany setki rubli się płaci, pomoc lekarska, kąpiele, rodzinne domy: żyć nie umierać.

Zaś ci z przedmieścia, pierwsi bojownicy, a za nimi dziesiątki tysięcy po całym mieście dzisiaj rozsianych:

— Poczekaj!... Czas przyjdzie.

Aż przyszedł rok 1905, i nagle w olbrzymich tyglach, rozrzuconych po tym państwie Wyzysku i Chciwości, gdzie dniem, nocą huczy, wre, kłębi się praca, w tym mechanizmie złożonym a tak jednolitym, coś, widomie, poczęło się psuć. Po domach robotniczych, po zaułkach nędzarzy, szedł już odgłos ponury, złowrogi, jednocył, olbrzymiał, aż grzmotem rozszałego żywiołu się rozległ. Skowytom strachu odpowiedziało miasto, ścisnęły się serca...

— *Jesäs!*...

— *Gewalt!*...

Dwa narody, jednym nieszczęściem dotknięte, wydały dwa rodzime jęki.

A strach wielkooki gnał już za granice tysiące.

Zaś inni zastanowili się chwilę, przyzwali przytomność i wnet ręce zatarli:

— *Auch ein Geschäft!*

Obliczono się wnet, co jest interes, co nie jest interes, i ten co wczoraj szalał z rozpacz, że traci majątek, nieszczęście przeklinał, dziś — pełen otuchy. Bo już sobie umyślił milioner — okrutny alchemik, jak złoto wydobyć z tej walki wyzysku z rozpaczą.

On przecie pierwszy kupować wszystko nauczył, za zbrodnie płacić ludzi zaprawił, on pierwszy nawet na miłość cenę położył, pierwszy też z bólów, udręczeń, z łez ludzkich jak ze krwi stworzył nowe źródło dochodu.

I posypały się szczodre na partje ofiary. Ten, co trzymał pozornie z narodem, socjalistów dążenia podniecał, słał burzycieli i złoto, byle współzawodnicze fabryki najdłużej w bezrobociu utrzymać, inny — robotników przyjaciół, szczerzył swoich, obietnicami przez płatnych zdrajców tumańił, lecz pracował a liczył. Aż wyprzedali ciężące fabrykom zapasy.

Wtedy — huzia! — jedni na drugich, polała się krew, a ci, którzy z jednym celem, z jedną myślą powstali, poczęli wzajem się targać, zaczęło ciasno się stało w więzieniach, trzask za trzaskiem rozlegały się salwy.

Pierwsza operacja handlowa skończona, kolej przyszła na drugą, i padł wtedy — już z zagranicznego hotelu: lokaut — wyraz okrutny.

Błade oczy rozwarł robotnik — zrozumiał. Możliwość wysłali do porozumień agenta. Głód mu było na imię.

I ustał robotnik, zaciśnięte pięści otworzył, gdy ręk jego czepiły się dzieci wybladłe.

Lecz nie ustało złe miasto w podstępnej robocie. Nasyłali się silni i spoczywają. — My, słabsi, chcemy się także pożywić. Czy to my gorsi?

I na odpływające fale rozszałego żywiołu ciskają się mali, pragną raz jeszcze na miasto je zwrócić, ale nic fał nie powstrzyma, nim dojdą do kresu, nim w moc nową urosną...

Bo takie prawo nad prawa, taka moc krzywdy tajemna, że zawsze powraca, jak morze.

Lecz, niestety, to krzywdy poznanie urodziło się tutaj w ciemnych, zasklepionych umysłach, potęgą żalu zamro-

czyła jasność idei i ludzkie poczucie, a z cieniów myśli człowieczej wyłoniła się zbrodnia.

Okrutna, bezduszna, potworna, lecz wnet uświęciła ją pieśń i hasła przedsiębiorców-przywódców, co myśl pustą stroją w mocne wyrazy, zwykły rabunek w pozór walki o prawa równości, podniecają pychę głupoty urokiem sprawiedliwości i władzy, aż głupi stanie się złym, ukrzywdzony zbójem krzywdzącym, zaś mądry kupiec-przywódca z krwi żywej plon zbiera.

Jak świadczą zamknięte bilanse firmy P. P. S. i Ska.

* * *

Gdzie nowy prąd myśli i nowe hasła, tam nowe cmentarze.

W lewo od ulicy, na nieużytku piaszczystym, kędy rzadka brzoźka, rozsypane krzaki, jak padło nasienie, tak wzrosły, rozleży się szeroko dziwny ten cmentarz. Cały jasny, słoneczny, barwie śmierci urąga, a po nim uklepane z piasku świetliste mogiłki. Ani krzyżów nad niemi, ani kwiatów, ani nawet zieleni, tylko mała tabliczka znaczy miejsce spoczynku.

Numer, nazwisko, i nic z westchnień, nic z żalów, próśb żadnych o protekcyjne modlitwy. I pustka. Przykra, jasna, zimna. I cisza. Nawet nie odzywa się ptak, zdaleka tylko głuchy odgłos miasta dochodzi. Czarny tuman dymów idzie od niego, nad cmentarzem się kładzie, zamiera.

Człowiek jakiś się zjawił, po grobach rozgląda, odczytuje tabliczki i klnie:

— Siostrę mi gdzieś, psiekrwie, zadziały.

Jęknęły syreny w pobliskich fabrykach. Krótco, zjadliwie, a jednak żałośnie. Na cmentarz wysypały się ciemnego ludu gromadki. Ten i ów na deskach, u rozwartej cze-

łści grobowej, do obiadu zasiadł. Babina przyklęka u kopca.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki... — jakby zawahała się chwilę.

— A gdzież tu, matko, mogiły tych pięciu?...

— Ze sierpnia?... Od dębowego krzyża na prawo, panoczku.

— Ze wsi jesteście?

— Nie, ja fabryczna.

— Ale skąd rodem?

— Toć mówię: z fabryki.

— A należycie do partii?

— Niech je zła krew... wszystkie partyje...

— No, to Bóg zapłać.

— Z Bogiem, panoczku.

Na mogiłach „tych pięciu“ strzępy czerwonych wstęg. Blade, wypęzłe na słońcu. Przy nich składano wiązanki papierowych różyczek, deszcz zmył z nich barwę, wiatr róże zabrał, piasek jednak wchłonął plamy czerwone. Powiadali, że cud, bo to miała być krew.

— A kto głupi, w to wierzył... — uśmiecha się brat.

Trudna rozmowa. Złość, dawno w nim kipiąca, wezbrała i nic w myśli, prócz złości.

Obok krzyż zabłąkany i kilkadziesiąt mogił, w ścisłych szeregach. Na nich, z czarnymi napisami, tabliczki:

„JÓZEF LEPALCZYK

20 lat

zginął od kół“.

„Nr. 214

SZCZEPAN PIWNICKI,

20 lat

Cześć“.

„WAWRZYNIEC PIĄTKOWSKI

18 lat. 1906 r.

Cześć bohaterowi, który zginął za sprawę“.

A dalej:

Antoni Gałązka, Kwiatkowski, Hrzanowski, Król — znani, wybitni, zaś dalej już — tłum. Przy mogile mogiła, długie ich rzędy, aż pod płot czarny, gdzie świeżo wykopane jamy na swych wiecznych lokatorów czekają. Familijnych grobów tu niema, każdy jest sam, i dziwnie zapomniany jest każdy, choć sto tysięcy spadkobierców zostawił...

Ale twarde robotnicze życie, więc nie smutna śmierć. I obca żalność tym, co zostają, a jeśli ból ściśnie za serce, spłynie na usta westchnieniem, wnet z przekleństwem się łączy, jak u tego brata, co mu siostrę „gdziesić zadziali“.

Odnalazł ją jednak, zdjął kurtę, złożył starannie i łopatą się jął.

— Toć trzeba trochę oporządzić biedaczkę, bo przyjdzie wiatry, tę trochę piachu do cholery rozniesie, nie zostanie i ślad.

— Krzyż najlepiej postawić.

Spojrzał złemi oczami, piasek ubija. Odezwał się dopiero po chwili:

— A to panu powiem, że gdyby te wszystkie wasze krzyże poszły na opał, tobyście niejednemu człowiekowi ocalili życie.

I znów po namyśle:

— Krzyż, panie, namordował ludzi już dosyć, i lepiej zginąć od kuli, bo zawsze coś z tego... Dla tych, co po nim...

Mówił cichym, zmęczonym głosem, lecz jakaś groza szła od tego brata, ponura nienawiść do Boga, do ludzi, do rzeczy. I mylą się ci, co o przejednaniu, na tle ekonomicznym,

prawią, bo żal sięga głębiej, wrósł w zwoje mózgowe, z każdego słowa przebija, czy to o życiu, czy o śmierci mowa.

— Jak psa cisną do jamy, a swoje flaczyska — w murowane groby. Nawet śmierć nie zna równości.

A toć gdyby była sprawiedliwość na świecie, czy tam gdzieś za światami, toby na tych wszystkich naszych grobkach najpiękniejsze kwiaty porosły... Porosną, panie, czy nie? — zarzechotał złym śmiechem.

— To prawda, że smutny ten cmentarz.

Ożywił się nagle:

— Tego pan nie mów... Nie, nie, bo trzeba było wiedzieć, jak ich tu chowali. Głowa przy głowie, — tysiące, i wszystko nasi, aż sercu serca przyrosło, i nikt, panie, nie westchnął, ani jedna łza nie padła, bo twarde my ludzie. A kiedy, panie, trumny do dziury spuszczały, jak w ziemię wrósł każdy. Strach wtedy od tej cichości — ale i radość, bo cichy człowiek mocniejszy.

A trzeba było wiedzieć, jak potem ruszyli na fabryki: — „Zamykać!“ — i zrobili swoje... Nie wszystko...

— Bo mówią, że panowie macie wymagania zbyt wielkie.

— Tak, bo im więcej przyduszony jest człowiek, tem więcej mu potrzeba powietrza. Byle czem nie odetchnie...

* * *

— Zatrzymać maszynę!

Na wentyl parowy nagle czarne ręce spadły, i jakby kto tętnicę ucisnął, do serca dopływ krwi zamknął.

Drgnęła, oddechu jej brak, sił resztkę tłok ciśnię... Coraz słabsze obroty. Opuścił się regulator, znak siły i życia.

Wnet bezwład padł na transmisję, po fabryce przeleciał. Maszyny, jakby pragną ginącą siłę do życia powołać, nadanym sobie rozpędem wydzierają ostatnie poruszenia

głównego silnika, pasy prostują się, prężą. Lecz daremne wysiłki niemocy, bo olbrzym osłabły — i chwila — już zamrze w bezruchu.

Na lśniących wałach, polerowanych tarczach, jeszcze migają błyski, światełka. Wolniej i wolniej, aż nagle ustały, i patrzą martwe oczy na to, co się dzieje w fabryce, o tej porze niezwykłej.

Znieruchomiało żwawe czółenko na tkackim warsztacie. Klaszczące tekturki maszyny Jacquarda zamilkły w pracy nerwowej i zwiśły. Zwolna od warsztatu odszedł robotnik.

I uciły depczące folusze, kujące stępy, zgrzeblarki, a obok wężowato wijący się płat białego towaru zastygł w zimnym swym blasku. Wózek selfaktora ustał w pół drogi, a wrzawliwe, warczące, niby bąki, wrzeczona zamarły, przy pracy ruchliwej — ostatnie.

— Wychodzić!

Po długiej chwili ciszy, po zastanowieniu myśli, która już od milczących maszyn odbiegła, począł się zgłęb. Wzmażał się, rósł, słabnął na krótko, gdy nasłuchiowano odgłosów z ulicy.

Na kurytarzach poczęły się kupić szare gromadki, coraz głośniej już radzą. Rej wiodą tkacze, pokrzykują wrzaskliwe szpinerki, że to spokój im zawsze niemiły, jak trzeźwość snowaczom. Pod ścianą, opodal, spokojne motaczki naradzają się szeptem, wzdycha konająca, przy taśmownicy staruszka, trzęsie głową zgrzybiałą:

— Żle ludzie robota... Żle ludzie...

Kupa obcych wparła w korytarz.

— Wychodzić!

— Co? Dokąd? Dlaczego?

— Wychodzić!

Przebiegli przez tkalnię, salę, gdzie samoprządy, mie-szarka, wpadli do blichu:

— Wychodzić!

— Bójcie się Boga, panowie, towar we chlorku, święto jest jutro...

— Nie szkodzi.

— I jakże tak maszynę zatrzymać odrazu, czasu nie było pasów zesunąć... Tysiące rubli stracone.

— Wytrzymacie, — nie szkodzi.

Zwolna pustoszeje fabryka, na podwórzach zbierają się małe gromadki, rozchodzą, ale powoli, leniwie, i znowu się kupią.

— Więc jakże?

— A nijak.

— No, ale dlaczego?

— A lichy ich wie.

— Toć podpisaliśmy zgodę we wtorek... A teraz?

— A cóż... Nową zgodę trzeba nam robić.

Tają jednak gromadki. Po dwóch, po trzech schodzą robotnicy w ulicę. Ubywa ich po rogach. Ten naradzić się idzie, ów posłuchać, co mówią, zaś inny — coś wypić, bo życie — psiakrew — a im głębiej zasypia ulica, tem silniejszym życiem tętnią domy narożne.

Do każdego z nich przywarł żołnierz zziębnięty. Ręce wparł głęboko w rękawy i na murze zwiśł. Oczy z latarni na oświetlone okna przenosi — i znów do latarni, a dobrze, gdy choć pies przejdzie, czy koń, wlokący po wybojach do-roskę. Nie miło tylko, gdy człowiek...

Huczą gwarem domy narożne, i pijane „hu-ha!“ z nich idzie, i „Przed Twe Ołtarze“, przerywane wykrzyknikami przekleństw rosyjskich, a najgłośniejszy z wrzasków: — Burżujom śmierć!

Chwilami milkną gwary zupełnie, długa cisza nastaje, i nagle rozlega się pieśń złowroga, jak burza...

Dosyć krew naszą...

Niekiedy zakotłuje się coś w tym składzie „sędziów przyszłości“, w oświetlonych szybach zamigają ludzkie, czarne postacie — i krzesła wzniesione. Wtem trzask jeden i drugi, potem łoskot, zawierucha, kłęb kurzu — ratuj, biją naszych! — rozlega się okrzyk chrapliwy, i już po podłodze przewala się, jak potworny pajak, skłębiona masa:

— Puść! Pu-ść! — jęczy dławiony.

Wzdycha postać pod murem:

— Ot tobie służba! Tam sobie piją, bawią się ludzie, a ty stój, bracie, jak... ten kij.

* * *

— Ale nie możemy wyżyć...

— Ja na to nic nie poradzę. Mamy olbrzymie koszty, fabryka nic nie zarabia.

— Panie dyrektorze, drożyzna, niema sposobu. Żeby choć pół rubla na rubel podwyżki, no i za strejk niech po dawnemu.

— Z czego?

— Z krwi naszej, z potu... Gdzież się podziewają pieniądze, które zapracowaliśmy?

— Ależ, zrozumcie, ja przecie także pracuję, ja doskonale rozumiem to wszystko, ale dziś to niemożliwe, zaś przerywając robotę, wy sami sobie szkodzicie. Wracajcie do fabryki, ja o tem pomyślę, i co będzie można...

— Nie możemy wyżyć.

— Więc nie chcecie pracować?

— Chcemy, bo jakże inaczej?

— No, więc wracajcie.

— Nie możemy wyżyć... Niema sposobu...

— Więc nie chcecie?

— Chcemy, ale...

— No więc słuchajcie, ale ostatnie słowo. Dziesięć procent podwyżki, albo jutro fabryka stanie, na zawsze...

— No, to niech...

— Zgoda?

— Niech będzie.

— No, to podpiszcie.

A po tygodniu:

— Nie możemy wyżyć.

— Ja na to nic nie poradzę. Mamy olbrzymie koszty, fabryka nic nie zarabia.

— Panie dyrektorze, drożyzna, niema sposobu... My się zgodziliśmy, ale niema zgody, bo nowe wyszli proklamacje.

I tak jest co tydzień, a czasem dwa razy dziennie. I wszędzie tak jest... — pan dyrektor bezradnie rozkłada ręce.

— Ale czyż istotnie jest tak źle? — gdyby kto zapytał?

Uśmiechnie się wtedy kierownik fabryki.

— Mam ochotę panu prawdę powiedzieć, stać nas dziś na to. Otóż rok 1906-ty to złoty minął rok. Rzadki był popyt na bawelniane towary, magazyny wyprzedano zupełnie i niejedną się dźwignął z kłopotu. A że mniejsi upadli, to trudno, bo tak zawsze jest w walce.

— A robotnicy?

— I oni zyskali, ale trzeba było, tu i ówdzie, pracować na dwie zmiany, aby podnieść o połowę wytwórczość, a obrót o 75%. To się kalkuluje wtedy, ale to nie jest dobrze i dla nich, gdy się pracę wyżej oblicza.

— Jakże to?

— Bo, proszę pana, jest w ekonomji takie żelazne prawo *Ricarda* — i ono mądrze powiada, że płaca robotnika powinna stanowić *minimum* kosztów jego utrzymania. Z chwili, gdy się płaca podnosi, psuje się rzecz, bo zaraz podaż pracy wzrasta i całe gromady ludzi ruszają do pracy fabrycznej i wtedy, co jasne, obniża się jej wartość, a czasem wprost — krach. A za krachem — głód, gdy wynagrodzenie zejdzie niżej sumy najniższej — koniecznej.

— A ileż potrzebuje robotnik, aby żyć?

— Akurat tyle, aby nie umrzeć. Inaczej zaś, to krzywda dla niego. Po ruchu zwykłym zawsze zniżka idzie, po roku obfitym lata chude zawsze, nim się znów jakoś unormuje płaca.

— Czyli, że dając robotnikom marne zarobki, wyświadcacie panowie im dobrodziejstwo?

— Tak... Do pewnego stopnia. I ja to zaraz panu wyliczę.

I wyliczy wnet pan dyrektor, jak to, w szczęśliwe lata, gęsto rodzą się dzieci, ile to zużywa się mięsa, jak rosną wymagania, potrzeby, jak zjawia się upodobanie do zbytku, zaczem niechęć do pracy i wciąż nowe żądania, a o ileż to lepszy wzajemny stosunek, o ileż zdrowszy robotnik, gdy tylko zaspokaja pierwsze, najskromniejsze potrzeby.

— I nic, panie, nie rozumieją, że zwyżka to dla nich — nieszczęście.

— A dla panów?

— U nas kalkuluje się wszystko.

— Jednak przyznać pan musi, że było nieco wyzysku przez lata ostatnie.

— Gdzie wyzysk, tam zysk, a to jest cel i podstawa.

* * *

A gdy chłód zejdzie na miasto...

Pod parkanem wąskiej, czarnej, pluskającej błotem ulicy przesuwają się cień skulonego człowieka. Zatacza się, jak pijany, mokremi gałganami chrzęści, i dygocą mu usta, jakby się modlił. Łotr, czy nędzarz? — co bliskie, choć tak dalekie w pojęciach dobroczynnego społeczeństwa, pragnącego widzieć zawsze przy nędzy uczciwość — ów zbytek, na który tylko dobrobyt pozwala — nieczęsto.

Ani wiedzą, że człowiek w błocie grzęznący, pędzony chłodem i troską, bezlitośnie przez życie smagany, nie może być ani zły, ani dobry, bo jest przedewszystkiem zziębnięty i głodny.

Obejrzał się niespokojnie, podsunął do płotu, porwał za wystającą deskę i szarpnął, zgrzyt pobiegł w ciszę. Z drugiej strony ulicy trwogą zdławiony głos zadrgał:

— Mamo... tam złodziej...

— Tak, dziecko... Brzydko jest być złodziejem. Bozia się gniewa.

— No to... ja krzyknę, niech przyjdzie policja.

— Cóż ciebie jakiś tam, płot żydowski obchodzi? A po drugie, nigdy się do cudzych interesów mieszać nie trzeba.

Głosy giną w przestrzeni ulicy i zalega cisza. Człowiek ukończył swą pracę, zdobył kawał deski zbutwiałej, zważył ją w rękę, uśmiechnął się:

— Z włamaniem... Kryminału trzy lata, na godzinę ciepła. Hej, los, psia wasza sprawiedliwość!...

Pod parkanem wąskiej, czarnej ulicy słania się postać tej, co ma chleb lekki. Na włosach czerwieni się jakiś łachmanek, spodem strzepy mokrych szmat przylegają do ciała, a w mózgu myśl jedna, drżąca do bólu: jeść! Głodna, bo — stara już jest i straszna. Twarz sina, obrzękła, pobita, wyrazem obłąkania skrzywiona, a w niej oczy ołowiane, mętne.

Słania się postać kobieca, ręką wspiera o deski oślizgłe, zatrzymuje się nagle, cień przed nią wysunął się z mroków.

— Dawaj! — brzmi głos chrapliwy, trwogą uderza, ciśnie do ziemi.

— Nie mam, nikt się nie trafił... — wysunęła sine ręce, bezbronne.

— Dawaj... — głos szepcze.

— Nie bij... O Jezu!...

Nad pękiem drgających łachmanów pochylił się człowiek.

— Marychna! popatrz-no na mnie.

I całą siłą w twarz nogą — kochanek.

Szynk płonie na rogu. Ciepłą falą kołysze muzyka.

* * *

Czarny wóz węglarski przewala się z głuchym zgrzytem, skrzypiący, po wybojach ulicy. Konie dobrze karmione, wyzyskane do ostatka, wyciągnęły szyje, rozdeły krwawe chrapy i, natężając krzyże, z nadzwierzęcym wysiłkiem wloką ciężar olbrzymi — ciepło, radość, pokusę, w czarne bryły zakłęte.

Chrapią wyczerpane zwierzęta, czarne, zimne błoto pluśka z pod kopyt, zalewa oczy martwe, bolesne: to praca; z góry bat śmiga: zachęta.

— Bo czy to koń od człowieka je lepszy?

Nagle zatrzymały się koła, wóz zakołysał i zaparł w wybojach. Szarpnęły konie, cofnęły z chomąt drżące, niespokojne i znowu cisnęły się naprzód, dobywając mocy ostatka — i znowu bezsilne...

Człowiek zszedł z góry, zaklął, bat w rękę odwrócił... Zakłębiła się para, wóz zgrzytnął, poruszył się.

— Wi-jo-ooo! oha-oo! — a bat tylko świszcze, z bólem się splata, ból zda się, że wyje, a wtedy rozjusza się człowiek, zębami zwierzę by darł.

— Wi-joo! podłe! — i biczyskiem w łeb wali, oślepia, kaleczy.

Obróciły się koła... Jakby ulga schodzi na myśli.

Z wierzchu spadło kilka brył węgla. Za wozem szept radosny je wita.

Jak głodne dzikie zwierzęta, jak zwierzęta chytne, ciągną za furą węglową chłopcy skostniali, obdarci. Czekają oni tej chwili upragnionej, kiedy spadnie dla nich z tego bogactwa dobrego losu ofiara.

— Jak ci pójdzie szczęśliwie, to i zbierzesz z pół korca, a nie — to do domu nie wracaj.

I między nimi, jak w świecie ludzi możliwych a sytych, silniejszy słabszego z łupów okrada, inni okruciami się dzielą, a zbierają je skrzętnie. Do ścieków sięgają, bo tam zawsze coś można odnaleźć, bez uprzedzeń i wstrętów.

Bo wszystko jest czyste i dobre, i godne, na czym można zarobić: z tą zasadą idzie niejeden możliwy fabrykant — dzielą ten pogląd ulicznicy-złodzieje i radzi z obfitej zdobyczy, śmieją się w tej chwili, szczęśliwi, żartują z ponurego furmana.

— Panie inżynier, niech-no pan jeszcze z razik tak furą potrząchnie i da nam z pół korca, na wypłat... — Biegna za wozem, czepiają się kół.

Często ból tu rozjęknie. Czarna krew, na łachmanie.

* * *

O południu, na czarną, pluskającą błotem ulicę, jak grom, spadła wiadomość:

— Kopalnia Czeladź stanęła!

— *Dy Czeladź sztajt!... Dy Czeladź sztajt!...* — zaturkotał szwargot panów składników i wszczął się ruch, zamęt w czarnej ulicy, jak w brudnym kominie, gdy warem chludnie kucharka w ciepłe zacisze robactwa.

Ruszył w miasto chybki pan Kupczyk, rozbiegli się

Goldmanowie, pan Solnik i Majer, i Zmigrod, zaś Bracia Pstrągowsky uderzyli w telefon na alarm.

Jeden tylko pan Krausskopf trwał przed swoim składem w spokojnej zadumie i wysnuł myśl złotą:

— Niema tak złego interesu, któryby nie mógł być dobry.

Jakoż nie minęła godzina, a wszyscy już byli tej samej myśli, bo że Czeladź stanęła, to przecie tylko piękna sposobność...

Więc — *dy Czeladź sztajt* — Czeladź stanęła! — krzyk jeszcze większy, bo niech wiedzą klienci, jak to się stało niedobrze...

Rwetes, wśród drobnych handlarzy, a firma solidna, w zakończeniu, tak pisze:

„My jednak, bez względu na znaczne straty, ceniąc wysoce stosunek z Szanowną firmą W. Pana, ograniczamy się do minimalnej podwyżki, co niezawodnie, wobec spodziewanej różnicy cen, skłoni Go do zakontraktowania znaczniejszej dostawy“...

Przyczem wzdycha pobożnie:

— Ciężką zimę daj Boże.

A ludzka moralność rozmyśla nad dzieckiem, gdy zziębłe i kradnie: — co z niego wyrośnie?

* * *

„A kędy olbrzym wznosił się ceglany,
Nagie, zczerniałe sterczą teraz ściany,
Tylko dym szary z mrocznej głębi zionie
I spalenizny unoszą się wonie,
I śnieg, w otwarte przenikając łono,
Stos czarny białą pokrywa oponą.

.
I wiatr zimowy, przez noc, do świtania
W pyszne dzielnice zanosí zdaleka
Skargi i jęki, przekleństwa i łkania“.

W przeciwstawieniu do chłodu, co troskę niesie ubogim, a rozpacz nędzarzom, ogień bywa dobrodziejem możnych. Niszczący żywioł poddał się tutaj ludzkim uczuciom, i — zmarniał. Grozę klęski w sobie zatracił, stał się powolnem narzędziem, środkiem, jak inne, dobywającym ze śmierci, klęski, zniszczenia — moc, życie i władzę.

Środek ten, jak wiele innych, przewidziany przez odpowiedni paragraf kodeksu określa się, jako podpalenie w celach osobistej korzyści, zaś w stopniowaniu przestępstw, w kryminalnym świecie, jako pozbawiony wszelkich bohaterских pierwiastków, stoi daleko niżej od rabunku i zbrodni.

Bywa jednak, że człowiek, uprawiający zawodowo jakiś proceder, posiada pewną dumę twórczą w wykonaniu swej pracy, czego nie zna amator i stąd może to poczucie wyższości.

Ale wypadek pożaru w Złem mieście nie jest wcale groźnem zjawiskiem, ani nawet poważnem, i stanowi jakby towarzyską zabawę. Gdy zabrzmia alarmowe sygnały, panowie fabrykanci przebiegają się spiesźnie w ochotniczej straży kostiumy, i — chwila, a dobre konie gnają już z nimi na tę maskaradę, gdzie zawiązują się nowe handlowe intrygi, rozstrzygają dawniejsze.

— Gdzie ogień? — ktoś pyta.

— Ehremann i Tugend.

— Powinni byli się spalić już w zeszłym tygodniu...

Z łoskotem zajeżdżają wozy strażackie. Sprawni, dzielni ochotnicy już przy robocie, zaś kolega-fabrykant bystrem okiem tylko zmierzy płonący budynek, — już wie..

— Dobry interes... Netto czterdzieści...

Korci go jednak niepewność, a że i nauczyć się czegoś też można, do jednego z robotników się zwraca z pytaniem:

— A skąd wyszedł ogień?

— Tak się widzi, że floki¹ zapaliły się w beczce — i zaraz na magazyn padło.

— Aha... stary kawał... — i już spokojny, spieszy z pomocą, a ratuje z zapalem, życie naraża. Wobec groźnego żywiołu pełen szlachetnych porywów, zdawałoby się, zapomina, że to płonie współzawodnicza fabryka.

A pogorzelec nieszczęsny:

— Poczekaj, poczekaj... I ja do ciebie przyjdę na ogień, nie dam ci się spalić spokojnie.

.

Przed składem towarów lokciowych ciżba ludzi się zbiła. Z ożywieniem coś prawią, zadumali się inni, a ten i ów dom obchodzi wokoło, jakby coś węszy.

— Na cóż tu panowie czekają?

— To nic... Tu się jeden miał spalić.

I spalił się nazajutrz istotnie.

Bo wie się o tem w mieście zazwyczaj, a w pewnych sferach handlowych nie dziwi to nikogo, nie wzrusza. Gdy się jednak zdarzy — nieszczęśliwy wypadek, co znaczy, że niezręczny był sprawca: w sześciu miejscach, dla pewności, fabryczkę podpalił, lub w nieodpowiednim miejscu znalazła się nafta, czy pudełko zapalek, zostawione w pośpiechu, wtedy, wstyd dla rodziny, brak zaufania do firmy.

.

I tak już w tem mieście składają się pomyślnie przeznaczeń wyroki, że niech tylko ktoś nową fabrykę postawi, stara spali się wnet. A dziwnie wzgardliwie patrzy przechodzień, gdy człek nieświadomy na wieść o wypadku, do niego się zwróci:

¹ Bawełniane odpadki, napojone tłustością smarów.

— Która fabryka?

— Pytanie!

* * *

Inne poczucia, odrębna moralność, obyczaje niezwykle i ludzie odmienni.

Dumni, wyniośli i pyszni. Z czego? Dlaczego? — któż to odgadnie, boć przecie gdyby nawet zgromadziły się tu wszystkie zasługi, talenty, najdawniejsze rody, społeczeństwa sam kwiat — to komuż nie wiadomo, że im więcej wart człowiek, tem-ci skromniejszy, a szczerzy pan z rodu, zazwyczaj nikomu w uprzejmości ubiedz się nie da. Nie ten kłania się pierwszy, kto młodszy, podwładny, uboższy, tylko ten, kto grzeczniejszy.

Tu zaś takie wrażenie, jak gdyby ludzie, znając się dobrze, nie szanowali się wcale, a rzadki ten szef biura, czy właściciel fabryki, któryby na ukłon urzędnika zdjął z głowy kapelusz, a jednocześnie rzadki ten bogacz, któryby wprost się nie płaszczył przed władzą w mundurze.

Drobiazg to jest, ale dziwnie wyodrębniający miejscowe stosunki, a są one wogóle całkiem inne, niż wszędzie, gdzie przy wspólnej pracy kłębi się ludzkie mrowisko.

Obecnie padła klęska na miasto: bandytyzm. Romantyczna ta nazwa nie odnosi się wyłącznie do nowego zjawiska na tle wygórowanych żądań robotników, czy nędzy, gdyż zbójstwo, a zwłaszcza kradzież, trwa tutaj od lat, rośnie w siły i władzę właśnie w tych sferach, które, mając dobra najwięcej, nad upadkiem poczucia własności boleją.

A przykład z brzegu:

Pan kamienicy, podwyższający komorne od trzydziestu do pięćdziesięciu procentów, zależnie od mniejszej lub większej konieczności zajmowania danego lokalu.

Owi jaśnie fabrykanci i ich ciemne sprawy, arcydzieła oszustwa, wprost genialne pomysły — świetne przykłady,

zapisane w pamięci, cytowane z lubością historie, jak się ktoś spalił przemysłnie, jak zbankrutował mądrze. A nad wszystkim świetlane wspomnienie, gdy dziadek Izrael — nestor szwindlu łódzkiego, w nocy majowej, kanał do głównej rury gazowej przekopał:

— *Mehr Licht!* — rzekł sobie jak Goethe, i okradał Towarzystwo, do czasu.

I tysiąc podobnych.

Stąd pewnie i — duma.

* * *

Przed laty osiedli tu Polacy i Niemcy, jeden trud ich jednoczył. Dziś trudnoby orzec, jaki tu żywioł panuje, poza tą mocą, co spętała ludzi w sieć wspólnych interesów, zaciśnęła oka i szamotać się każe i dusić. Do czego jednak tutaj tak przywykli, że dobrze im tylko w tej walce i wysileniu wprost zdumiewającej twórczości, natchnionej przez chciwość.

Lecz z niej właśnie rosła powoli, aż nagle wyrosła masa, zwarta z cząstek spoistych, a jak jednolita! — Żydzi. Trzeźwi, nieulegli, zwarcu, jak powinien być naród.

Tworzą powoli nowe życia warunki, a choć drwią z nich Niemcy, a my pokrzykujemy wesoło, że nie zginęliśmy jeszcze (w czym coraz słabsza pociecha), oni postępują wciąż naprzód i prą, już silni samorodnym rozumem, sprytem, rozważą i tą zgodną jednomyślnością, której uczy tylko — nieszczęście.

Zaś w czasie ostatnich trzech lat, gdy miastu nie przybyło ani jedno wrzeciono, ani jedno krosno, gdy współzawodnicza Moskwa o piątą część zwiększyła wytwórczość, gdy trwoga najmożliwszych ogarnia, zniechęca, tylko Żydzi skupują place, domy, fabryki, rosną w siły i władzę...

Polacy tymczasem, dogadzając przysłowiu o dwóch, co się

klóć, prowadzą wojnę z Niemcami, wypominają im chleb polski, pałace za krwawicy, jak gdyby to było polskiej ziemi zasługą, że przybysze ładem, zabiegliwością... i trzecim sposobem zdobyli majątki.

Ale jak to dziwnie zmieniają się czasy i ludzie. Gdy dziesięć lat temu w dwa pieski podróżował skromnie i przybył do małej osady, wtedy z panem rajcą i łykiem zamożnym żył w zgodzie, a dziś, gdy ten i ów, z polskości coś przejął, a nasz pan brat od Niemców się czegoś nauczył, dziś — „plwają na siebie i żrą jedni drugich“.

Tedy może byłoby lepiej, aby nikt od Niemców polskiego języka, polskich obyczajów nie żądał, nie nalegał na wyzbycie się tego, co sam w sobie szanuje. Nie byłby może zmuszony po niemiecku prosić.

Bo trudno, a smutno, zwłaszcza polskim panom, którym pół wieku w białym dworku zbiegło, piąć się po wysokich marmurowych schodach, na piętra pałaców.

— *Sie wünschen?*

* * *

W południowej stronie długiej ulicy, wśród niskich, skromnych domków, wznosi się gmach dwupiętrowy, ze zwierciadlanymi szybami o drzwiach polerowanych, zdobnych w lśniące antaby. Przeładowany gipsaturą, karjatydami wspierającymi balkony, pokryty włoskim dachem, o balustradzie kutej misternie, to budynek, jakich tu coraz więcej, a w każdym z nich przemieszkują właściciele fabryki, wstydliwie kryjącej się za frontowym pałacem.

Marmurowe, dywanowe schody wiodą z sieni na górę. Stoi tam szwajcar w galonach, lub stróż drzemie w kożuchu. Drzwi z napisem „*Comptoir*“, „kontora“, rzadko kantor lub biuro. Za niemi sala, podzielona na klatki, dębowe przeprzerzenia, oszklone matowymi szybami. Przy biurkach pa-

nowie zwykle pięknie ubrani, o twarzach, tępych, bezmyślne, których w nic ubrać niemożna.

Cisza prawie kościelna, czasem tylko dźwięknie telefon, zgrzytnie prasa kopiowa, krótka dyspozycja z ust padnie.

W głębi sanktuarjum — kasa, a obok gabinet właściciela firmy.

Ten pracuje najciężej. O szóstej już jest na nogach, obiega wprowadzone w ruch maszyny, przed ósmą wypija naczynie kawy i schodzi do kantoru, gdzie liczy, podpisuje, przyjmuje interesantów, już do południa. Bez chwili odetchnienia, bez odpoczynku dla mózgu, po którym kołaczą się cyfry, mnożą, dzielą, dodają — niezmiennie w swych prawach, nie znoszące kłamstwa, podstępów, pośredniczą w nich tylko i brzmia ciągle na ustach, kotłują w myślach a nieraz, nawet sercu żywiej bić każą...

Wprost pieści się niemi człowiek, wymawia z lubością, jak imię ukochanej. Drży niepokojem, obawia się zdrady, pożąda, zazdrości aż spala go ta jedyna namiętność, nigdy nie syta, pragnąca — zarobić!

Plączliwy, rozdzierający gwizd zwiastuje południe. Pióra ustają na kartach ksiąg wielkich, okutych. Pałakowate plecy rozprostowują się, każdy z pracowników pośpiesznie chwyta kapelusz, i w minutę pustoszeje sala kantoru, w jednym tylko gabinecie właściciela rozlegają się głosy. Jakiś agent przybyły z zachodu, przekłada gospodarzowi korzyści wejścia z nim w stosunki handlowe. Mówi gwałtownie, z pośpiechem, chwilami gubi wyrazy, jak gdyby język jego, party siłą motoru, miał przepisaną ilość obrotów na minutę, jako że celem jest zgnać, oszołomić słuchacza, cierpliwego nie zawsze. Oczywiście o bawelnie jest mowa, więc: — Tasz-kient, Erywań, Buchara, *Good Midling, Fully Midling*, pro-wizja, tratta ultimo, *à vista i franco*, i loco, *six penny*... — brzmia, warczą urywane wyrazy — i cisza na chwilę

i znów, z jeszcze większym zapalem i ogniem, jakby wyznania miłosne, zwierzenia, chwiejna niepewność, rozpaczliwe westchnienia, i znów jako fala...

Nareszcie jednak może odpocząć i on — posiadacz milionowego majątku.

I oto jest już w mieszkaniu, gdzie kilka salonów, ozdobionych bogactwem sztukaterji i złocień, tworzy amfiladę, mogącą zaspokoić i książąt udziałnych, o ile ich wymagania, zbytłkowe potrzeby, tapicer zadowolić jest w stanie.

Oto pierwszy salon w stylu „Empire“. Meble z mahoni, gęsto bronzem zdobione, kryte jedwabną materją o barwach spłowiałych, szafeczki, serwantki i słupy, a na nich bronzowe dęte odlewy, kolorowana terrakota gdzieniegdzie, kandelabry złociste, świeczniki na ścianach, a pod nimi ramki laubzegą wycięte, i przygnębiające nad kanapami „landszafty“.

Szeroki otwór, niby drzwi, niby framuga, prowadzi do drugiej sali — balowej. Zimne, białe jej ściany, zdobne gipsaturą, powleczone całą siecią złotych linijek, punkcików. Jaskrawe supraporty, sufit, do którego płasko przywarła trójka opasłych amatorów, w wieńcu ludząco papierowych kwiatów i blaszanych liści, a na siedmiobarwnej posadzce — meble Ludwika, pokryte złocistą, zieloną brokatelą w kwietne girlandy. Między oknami lustra białe, rzeźbione, złoczone rzęsiście, takież fortepian, a dołem szafirowy dywan się ściele. Nad nim, w wielkie czerwone róże, secesyjne portjery, — aż ściska się serce, zimny dreszcz idzie po krzyżu.

Trzeci salon, to coś w rodzaju niemieckiego „Wohnzimmer“. Dębowe ławy, haftowanemi poduszkami okryte, na ścianach rogi jelenie, kordelasy, jakaś stara kapiszonówka, australijska tarcza, wypchana wiewiórka, dzbany na półkach, kufle z majoliki, a wyżej — w bogatych ramach, do srogiego tygrysa, pięknie ubrany pan strzela.

I jeszcze kilka pokoiów, ale w nich wszystkie meble w pokrowce spowite, żyrandole i lustra osłonięte gazą, dywany zwinięte zalegają pod ścianą, a cały ten przepych odświętny, galowy, całunem pokryty, ma coś w sobie ze śmierci.

Gdzież więc życie w tym domu, w którym się tylko gnębiącą ciszę kantoru odczuwa i grobowy smutek paradnych salonów, gdzie żyją, a podobno i bawią się ludzie?

A jakże, bo przecie bywają tu bale, przyjęcia i leje się piwo i wina kosztowne po wzorzystych materjach, i brzmią pani domu rozkazy:

— Lokaj, lokaj! — niech lokaj panu należy jeszcze Pommera.

To jednak dla gości, bo niemiło gospodarstwu w tych blaskach przepychu. Żle im się chodzi po lśniącej posadzce, nie w smak wino szumiące, przykro pani w gorscie a panu we fraku i jakże im błogo, gdy pychę nasycą i są już u siebie. Gdzie pani, po indyku z truflami, po wymyślnych potrawach, sorbetach — smakowity sos powidłowy do wieprzowiny przyrządza, lub napełnia knedle śliwkami, i jeszcze chwila, a już zdjęła z rączek markizy, w pianie mydlanej zanurzyła ramiona...

— So—o! To dobrze robi... — odpoczywa przy praniu.

Całe życie rodzinne gdzieindziej się skupia. Gdzieś na uboczu w parterowym domku, jakby zgubionym, wśród wyniosłych gmachów fabrycznych, lub w oficynie pałacu, gdzie dwa, trzy małe pokoiki i kuchnia w zupełności wystarczają rodzinie.

Dwie szafki „na bejc“, stół jesionowy owalny, kanapa kryta ceratą, nad nią krwawy zachód i bydlę srokate, obok: „Mann, ärgere deine Frau nicht“ — „Frau ärgere deinen Mann nicht“, pięknie filozelą wyszyte, a wszędzie ład i porządek aż do śmieszności i nudy.

Każdy przedmiot posiada tam jakieś praktyczne do-

pełnienie. Każdy klucz, nawet każdy gałgan ma swój haczyk i często napis przeznaczenia. Pełno serwet, serwetek, patarafek domowego wyrobu, kołpaki na lampach, jak napoleońskie bermyce, cała masa drobiazgów niewiadomego użytku, które wprowadzają jednak mdłe dusze prawie że w roztkliwienie, bo jakże tu czysto i miło, tak jakoś poczciwie, że ani wątpić nie można, że mieszkają tu dobrzy, zacni ludziska. Jak gdyby ci zacni musieli już bez poczuć się rodzić.

Tutaj, na obiad, właściciel firmy się zjawia, krótki to jednak spoczynek, bo nim minie godzina, już w kantorze jest pierwszy i znów chwyta go interesów koło zębate: przędza, terminy, gotówka, weksel, żyro, inkaso...

Zmrok idzie, a z nim odgłos syreny dzienną pracę zamyka. Z fabryki mrowie ludzkie się sypie, kantor opróżnia, każdy snuje jakieś projekty, rad biuro opuszcza. Tylko nie-szczęśliwy niewolnik — a władca tylu setek ludzi, drżących na każde jego skinienie, idzie na wieczerzę, znużony, jedenastogodzinną pracą rozbity. Zwykle jeszcze coś w domu odrabia.

Przy kolacji, córeczka zwraca się do ojca nieśmiało:

— A możeby ojciec dziś do teatru? Nie byliśmy rok.

Patrzy na nią wyblakłymi oczami, ramionami porusza z niechęcią.

— Wam tylko w głowie głupstwa, zbytki, teatry... — i wkłada pantofle, skwapliwie podsunęte przez... żonę.

I oto kończy się dzień, taki krótki dzień!

* * *

Nie dziw, że wolny, twórczy poryw w złem mieście trudno w dzieło wykwita. Otoczenie niszczy w zaraniu każdy promień jaśniejszy, co i tu schodzi w cienie spraw ludzkich, aby myśl rozpromienić, jeśli nie ukochaniem, to choć zajęciem się, książką, obrazem, czy utworem na scenie.

Daremne wysiłki, bo nie rosną kwiaty w fabryce. Na grzędzawisku nie ozwie się pieśń, a niech tutaj Venus z Milo się zjawi, to ją wezmą na szmelc.

O ile nie pozna się Żyd, że to drogie jest. I nawet nie trzeba się dziwić, bo tu prosty lud. Garść zubożonych wyrobników fabrycznych, z których pono niejeden nawet pisać nie umie. Przy nich ludzie fachowi, nawet zdolni w zakresie swych obowiązków, lecz poza tem — nic. Bo i czasu im brak, i wreszcie tak dobrze jest, wielu zaś adwokatom, doktorom, tym wszystkim, których surowa wiedza domaga się wytworniejszej kultury, tym czas zabierają albo poboczne interesy handlowe, albo też ducha potrzeby wypełnia niepokój fachowej zawiści.

I rzadki tu człowiek, który coś czuje, rozumie, a jakże pospolity — ten drwiący z literatury i sztuki, drwiący z własnego nieuctwa:

— Nie zawróć pan w głowie. Na jakieś tam ideały my nie mamy tu czasu, ani ochoty, ani pieniędzy. My chcemy — żyć.

.

Zdawałoby się, że teatr — widowisko ciekawe, często zrozumiałe dla wszystkich, zawsze przez szerokie warstwy pojęte, będzie mógł się tu ostać na długo, bo gdzież człowiek myśl rozerwie po pracy, jeśli wogóle mieszka w nim myśl.

Nie, nie, bo każdy za rubla miał inne żądania: ten chciał się śmiać, ów płakać, a tamtemu uwidziało się tak, że teatr powinien go uczyć.

— Bo przecie ja płacę...

Zaś gdy zmarły Wołowski zebrał zespół doskonałych artystów i dumny był ze swego teatru, o nim myślał i marzył, rzekł mu pewnego razu sztuk pięknych protektor:

— Tak, panie... Ale — aktorki... za drogie.

I tak wśród rozmaitych żalów, uwag, głosów doradczych, wymówek, po roku, po dwóch teatr polski na polskiej ziemi, wśród dwustu tysięcy Polaków, zamyka podwoje.

— Dlaczego?

— Bo źle prowadzony interes. Tyle razy upadał, ani razu się jeszcze nie spalił.

I może w tem słuszność, bo potrzebny teatrowi majątek. Ludzie tutejsi szanują jedynie pieniądze, a skoro tylko się zjawi dyrektor z posagiem, wnet publiczność się doń zwróci życzliwie, — uszanuje w sztuce kapitał.

I oto, po dziś, trwa w ciągłych troskach polski teatr w Złem mieście, bo niepotrzebny mu teatr.

Niepotrzebne mu nic, w czym choćby ślad wyzwolenia myśli ze spraw wzajemnego wyzysku, brzydkich spraw ludzkich, w tej walce o byt, okrutniejszej, niż w puszczy, bo ileż to środków ma człowiek do gnębienia swego gatunku.¹

* * *

Jak mary dziwaczego kształtu, błakające się przed oczami chorego na *delirium* człowieka, snują się kłęby dymu, zalegając podłużną, źle oświetloną izbę. Ściany do połowy zaszele szaremi plamami wilgoci, wyraźnym obrysem oddinają się od reszty żółtego muru, ozdobionego gdzieniegdzie obrazem.

Ze starej rozbitej ramy wdzieczy się postać bachantki. Obok barwny sztab pulków pruskich trwa w zastanowieniu pod Paryżem, dalej mnich uśmiecha się do piwa, przy nim jakaś niemiecka, życiowa przestroga i lustro ponure.

Brudne szmaty, ze śladami dawnej wspaniałości kolorowego kretonu, wiszą u zabitych deskami okien — jest ich

¹ Rzecz pisana w r. 1907. Dzisiaj w sprawie poczuć i odczuć, zmieniło się tu wiele, a i samo miasto, zewnętrznie, odmieniło swój przykry charakter i — kolor.

rząd cały, pozbawionych przeznaczenia, bo słońce nie zjawia się tu nigdy.

Pełno krzesel, stolików, wśród których błąka się echo rozbitego fortepianu. Mdły zapach piwa, wyziewy i wilgoć ciepłą stęchliną poją piersi. Duszo. Dym w oczy gryzie. Pod zawisłym tuż nad głowami pułapem, tak zwani goście siedzą, piją, palą i krzyczą.

W głębi izby podwyższenie, ustrojone kolorową falbaną, to — scena, na tle tyrolskiego krajobrazu, gdzie wybitne miejsce zajmuje rajski ptak, spoczywający na kępie kaktusów.

Spodem, na skalistej opoce, pasą się zające i krowy.

Obok sceny — fortepian, obok fortepianu — pan w okularach, a na pulpicie — nieodstępny kufel piwa.

Pan wstrząsa długo-płową czupryną, a umieściwszy przed sobą odpowiednie nuty, leniwym ruchem opuszcza chude ręce na szczerbatą klawiaturę. W tempie krótkiego galopu na scenę wypada artystka. Pochyla się we wdzięcznym ogólnym dygu do publiczności i, w osobno adresowanym do siedzącego tuż przy scenie skrofulicznego kantorzysty. Posyła zawrotne spojrzenie gdzieś w przestrzeń, rozchyła tłuste, czerwone usta i — śpiewa:

Chłopczyku, koteczku, nie mrugaj oczkami,
Mruganie to twoje...

Chłopczyk podchwytuje melodię i nuci, uśmiechając się z miną łaskawego, bo zwycięskiego Don Juana. Zebrani goście wydzwanają takt nożami na szkło, biją pięściami po stole, a w kącie niepozorny człowieczek, blady, jakby opluty, usiłuje wszystkich przekrzyczeć:

Precz, precz smutek wszelki!

Artystka śpiewa *swoje*, a usiłując podnieść wrażenie popolitej piosenki, podnosi przy każdej zwrotce i tak już

dostatecznie krótką spódnicę, ukazując, z całem zaufaniem i dobrą wiarą, ubogie kończyny dolne.

Refrain ten, doprowadzony do skali najwyższej, kończy pieśń o chłopczyku.

Tu i owdzie rozlega się rzadkie brawo, świadczy ono o gościnnej przyjąciu „numeru“.

Śpiewaczka zjawia się na scenie, przesyła garście pocałunków, wdzięczy się do kantorzysty i ginie w lesie tyrolskim, niby postrzelona kozica.

Za chwilę ukazuje się z talerzykiem:

— Czy mogę prosić? *Ob ich bitten darf?* — zwraca się do widzów.

Ten i ów składa dziesiątki, inny zbywa tanim conceptem.

Na salę wybiega w podskokach druga artystka, białorozlewna, brzęcząca, jaskrawa, ubrana z krakowska — po włosku.

Rozlegają się szmerki podziwu, wyrazy szczerego uznania, nie bez westchnień, pożądań. Ktoś na ucztę zaprasza.

— Potem, potem... — po spektakl...

— Ach, pani Polka? Bardzo przyjemnie. Nowakowski jestem...

— *Nee... Ich bin ne Französin.*

— Kiedy tak, no to — *vive la France* — piwka... — i usiłuje ją objąć młodzieniec.

— *Ah, lassen Sie...* — *Kameell!* — broni się Francuzka, w macierzystym języku.

Przyjechała na „występy gościnne“ prawie z zagranicy — z Sosnowca, i za chwilę śpiewać będzie. Tymczasem przechadza się po izbie, bada nastrój, przygląda zebrany, do ozdobniejszych krawatów uśmiecha, krzywi na wytarte surduty. Wietrzny jej ubiór rozprasza smugi dymu — widać liczne towarzystwo, siedzące obok dwóch zastawionych stolików. Sześciu rozpartych, o wyraźnych cechach teutoń-

skiego pochodzenia, idjotycznie wpatruje się w rzucane przez jednego z nich kostki.

W kompanji tej wybuchają co chwila gromkie śmiechy i milkną, gdy kubek do następnych rąk idzie.

Znów toczą się trzy kostki po kolorowym obrusie, śledzą je oczy, nastaje cisza, i znowu ryk śmiechu głuszy fortepian i śpiewy.

Grający, z wyrazu twarzy i rażąco prostego obejścia, czynią wrażenie zwykłych robotników, są to jednak sami panowie, możni obywatele miasta. Zna ich też każdy z nazwiska i czynów, zna ich całą działalność, nawet jeszcze z tych czasów, kiedy przewodzili tłumom, burzącym pierwsze parowe maszyny. Dziś — silni, syci, złocą opasłe brzuchy, a kosztowne pierścienie już im w palce wrosły. Niektórzy z nich mieszkają w stylowych pałacach, wszyscy jednak radzi oddychają powietrzem zadymionej knajpy.

Tu im raźniej i swojsko, tu po trudach dnia, po męce udawania i pozy, dawna dusza odżywa, myśl snuje wspomnienia o tym pierwszym rublu wygranym, co się potem w dziesiątki, setki tysięcy rozplecił, a potem z bawelny i ognia narodził się — milion.

Poza możliwym stolikiem grzmią wrzawą kółka uboższych, mniej znanych. Dalej zaś siedzą postacie o twarzach zbójeckich i łapach niedźwiedzych, groźne, ponure figury nocnych włóczęgów, co często — pozorni nędzarze, z łachmanów prują zaszyte pieniądze, przegrywają setki z uśmiechem ludzi spokojnych o jutro, co świeży dochód przyniesie.

I mienia się być potrzebni przy tem wielkiem ognisku pracy i walki. I prawda, bo dla każdego tutaj robota się znajdzie, jeżeli nie w ciężkim, dziennym trudzie bez słońca, to w cieniach nocy, kiedy krzyk mordowanego człowieka pusta ulica ponurem echem powtórzy i zamrze znów w ciższy złowrogi.

Ten krzyk rozpacz, ostatni krzyk życia, co dziś może jeszcze po zaułku przeleci, poprzedza tu cicha, szeptem prowadzona rozmowa:

— Ileż za taką robotę?

— Na śmierć?

Dreszcz kupującego przechodzi, bo przecie może jutro o jego życie targować się będą.

Pochyla się, szepcze doradczo:

— Toć przecie lepiej, żeby nie wydał...

— Na śmierć?

— Ileż pan ceni?

— Sto przed robotą, a potem...

— Także sto — dosyć!

— Mało, bo czasem twarde w nim życie.

I targ o straszliwe *potem* — i skoczny dźwięk polki.

Z idącą nocą wzmaga się wrzawa w podłużnej izbie. Zjawiają się całe towarzystwa i giną gdzieś w obłokach dymu. Dziwne, tajemnicze postacie, których w dzień nigdy nie spotkasz. Bogactwo dokumentów życiowych. Zbytek i nędza, zbrodnia i praca.

Tu człowiek w strzępach, zabłocony, przypadł łakomie do wódki, tam agent przyjmuje dla firmy zlecenia, a obok nieokreślonej barwy dwaj jegomoście szkicują plan wielkiej fabryki. Niepozorny człowieczek tłumaczy wypłowiłemu telegrafistcie znaczenie prasy polskiej na świecie.

— Prasa — to prasa!... Rozumiesz naczelnik?

— Jeszczeby nie rozumieć...

A dalej, przy stoliku, farbiarz-magnat oburza się na usługującego:

— Kto tutaj mieszka, tutejszy chleb je, ten powinien rozumieć język niemiecki.

— Co takiego? — podskakuje niepozorny człowieczek. — Coś pan powiedział?

— Ja powiedział? Nic nie powiedział! — kurczy się dusza, często zuchwała, zawsze tchórzliwa.

Na scenie pełna, wapnisto-biała dama z arkuszem nut w ręku usiłuje zagłuszyć smętną elegją rosnącą wrzawę. Przy głównym stoliku uderza znów grom śmiechu, pokrywa gwar panujący, i kona w nim nuta ostatnia rżewnej pieśni niemieckiej.

Schodzi ze sceny liryczna, zbliża się do stolika, gdzie pod opieką zwiędłej, suchej, lecz o płomiennych oczach jejmości dyrektorowej znajduje się szkatułka — kasa wpływów wieczornych. Mówi coś szeptem liryczna, tłumaczy się, usprawiedliwia, zabiera wreszcie talerzyk, po ofiary idzie, stara, zmęczona. Spotyka ją śmiech szyderczy, brutalne urąganie, mieni się wtedy twarz zmięta, niezdolna już kłamać. Zaciśnięte usta syczą obelgi, a w oczach łzy.

— *Bitte, Fräulein Rosa...* — zaprasza ją towarzyszka do stolika, gdzie nowo-złota młódź Złego miasta, synkowie bogaczy, potworki bez mózgów i serc, w jedno złoto wierzący, raczą przyjezdzną divę szumiącym winem. Chwila — koleżanki porozumiewają się wzrokiem: — tu coś można zarobić, i — już łączy się sceniczna elegja z kantową rapsodją — zbrały się dwie pieśni, fałszowany szampan strzelił wiwatem:

— *Hoch!*

— *Wer liebt kein Weib, kein Wein, kein Gesang* — i:

— *Urra* — *Urr-ra!* — dzikie, nieludzkie...

* * *

Tak żyją i bawią się Niemcy, lecz są tu jeszcze, jak wszędzie, Żydzi i my. Pierwsi od Niemców wrażliwsi, często w duszach ich płonie, równie jednak są chciwi i więcej śmieszni. A choć sprawy swoje życiowe zamykają przed

okiem ludzkim starannie, zdradza ich zwykle wrodzona próżność i pycha.

Żyd bogacz, w brudnym szynku nie trawi wieczorów, woli on teatr, czy koncert. Tam w chwilach znudzenia wydobywa notesik, oblicza, ile przedstawienie przyniosło i jakie są koszty, a potem wzgardliwie się uśmiecha, bo — to nie jest interes.

Mieszka w pałacu, często urządzonym wytwornie, bo poczucie miewa wrodzone choć częściej snobizm, ale rzadziej smak, i tam spędza siesty niedzielne z książką... telefonów w ręku. Odczytując firmy, odświeża wspomnienia znakomitych upadłości, arcydzieł oszustwa i — kto żebrak, kto ma rozum, kto głupi i kto jest *coulant*, i kto, jak ten wiatr...

Jak człowiek spożywający ulubioną potrawę ze smakiem, on rad, lubuje się tem, co brzydkie, co brudne, co wprost sprawia odrazę. Ale gdzież prawda: co dobre, co złe? A zwłaszcza przy handlu, gdzie niema spraw nieuczciwych, a są tylko interesy.

To Żydz! A my? Nic o nas, bo jesteśmy *przedewszystkiem* ubodzy, od spraw możliwych zależni, ale kto z Bogiem, Bóg z nim — za ciężką krwawicę budujemy kościoły...

Jak za lat dawnych, gdy po dniach zarazy, wojny lub głodu stawiano Panu przybytki, aby gniew Jego przebłagać, tak i w czasach burzy dzisiejszej rosną świątynie.

Dobrze to czy źle — różne być mogą poglądy. To jednak pewne, że z niewiary, szczepionej przez nowe partje i starą nienawiść, a przenikającej już najmniej oświecone, a więc, jak u nas, najzdrowsze warstwy narodu, osiągnięto w następstwach znaczny, ale tylko kryminalny dorobek; jakby o tem nie wiedział każdy, z urządzających społeczeństwa nowe, że — lepszy głupi ze świeczką w kościele, niż uświadomiony zbój z pałą w czarnej ulicy.

Tak stosowanej oświaty już pono za dużo, cieszyć się też należy jasnym promieniem działalności tych, co w zrozumieniu, jak łączy się zdrowie duchowe z religią, a religia z polskością, zwracają swe myśli, troski, ofiary ku dobru wspólnych celów najdroższych, w które godzą, od stu lat, trzy wrogie siły i przez Żydów niesiona — kultura.

Nie z góry jednak, nie od możnych ten czyn idzie. Nie chwiejny to czyn pański, lecz mocny w zespole robotniczych pragnień — od nędznego przedmieścia dąży już w miasto. I dobrze, bo najwięcej polskie, najściślej mocą wspólnych ideałów zwarte, jest właśnie to ubogie przedmieście, gdzie tysiące Polaków, w grzęzawisku nędzy żydowskiej, drży tęgiem życiem, wiarą, nadzieją, a czar dziejów ojczystych kochać ich uczy — i nienawidzić.

Któżby uwierzył, że to tam, na tych kresach miasta, gdzie zsyłano przestępców „na pobyt“, gdzie mocą następstw gnieździła się zbrodnia, a znikczemnienie stało się wyrazem współznacznym zaśludze, tam najwięcej modlą się ludzie, a jeśliby ktoś bluźnić wierze, czy ojczyźnie zamyślił, wnet przywołają go do porządku twarde garście szewieckie.

Tam powstał pierwszy związek „sokołów“ z rzemieślników stworzony, tam najwięcej czytają i uczą się, tam wreszcie dla licznych wierzących ukończono niedawno budowę kaplicy, pod wezwaniem Dobrego Pasterza.

Budynek zgrabny i lekki niezwykle, zdobny w koronkę polskich motywów, ciętą w modrzewiu, twórcą zaś artystycznym świątyni jest szczery Polak, a szewc — kółtorem.

Jakże niepodobna to postać do naszych polityków-krzykaczy, z których każdy w zabiegliwej pieczy o dobro swych interesów, każdy w czem innem widzi szczęśliwe odrodzenie ojczyzny.

— Do jakiejże partji pan majster należy?

— Ja, panie do żadnej. Ja jestem chrześcijanin i Polak. To starsze, jak partja — wczorajsza.

— Cóż pana skłoniło do podjęcia budowy kaplicy?

— Wiary, proszę pana, nam brak! Żli ludzie umysły tumanią, wiedzą, że u nas lud ciemny, więc jeszcze to światło jedyne chcą mu wziąć z duszy. Oni dobrze to wiedzą, że jak człowiek jest w mroku, tam pójdzie, gdzie poprowadzą.

— Piękna pańska zasługa...

— Nic, panie. Wreszcie — że to i dobrzy ludzie pomagają, klasztorów, jak dawne, mam zamiar postawić. Tymczasem dwóch ojców przy kaplicy wystarczy, niech uczą, bo źle Polakowi bez wiary. Są takie narody, co żyją, pono, bez Boga, ale my — nie wyżyjem...

Mówi niewiele, jakby niepewny, z kim mówi. Cichy, spokojny, zda się udręczony troską, ale dobry i pewny i szczery ten szewcki gatunek, jak uczą wspomnienia. Kiedy to majster tłum porwał za sobą, siedł na armaty.

— Ale dziś, proszę pana — trzeba inaczej...

Lecz inne zgoła, niecierpliwe myśli w oczach jego czeladników płoną.

* * *

Niedaleko kaplicy rozparł się budynek, całkiem odmiennie sprawiający wrażenie. Szeroki, pękaty, jak olbrzymia forma kuchenna, brakiem poczucia swych twórców i przykrą surowością, jaka w nim mieszka, wprost przygnębiające sprawia wrażenie. I trudno zrazu rozpoznać, czy to halla targowa, czy jatki, czy jakaś stacja kolei, a może magazyn fabryczny.

— Co za budynek?

— Marjawitów kościół.

— A jacyż są oni?

— Ano niby są dobrzy. Nic nie biorą za religijne po-

slugi. Biedny może się teraz urodzić bez kłopotu dla ojca, bez kłopotu umiera, jeżeli do ich kościoła jest należący.

Sami ojcowie-marjawici, w sukniach ś-go Franciszka, w sandałach, malowniczo sprawiają wrażenie. Nie są to jednak cisi, pokorni asceci, braciszczowie twardej reguły, i nie pokój, lecz wojna jest w nich. Jak w owych mnichach bojowych, co to znakiem świętym piersi znaczyli, ale każdy miecz w rękę dzierżył, z nim przez życie szedł.

Wojowniczo też rozpoczęli swoją działalność, obecnie zaś, już pod opieką prawa, rozporządzają znacznymi środkami, idą wciąż naprzód, a walczą siłą wyzysku ludzkich słabości. Bo przecie to ich wyrzeczenie się materialnych korzyści, ta ich chwiejna zasada — pokusa, że „bracia nie mogą mieć stałych dochodów, ani też żądać zapłaty za religijne posługi, ani też brać pieniędzy za ofiarę Mszy świętej“, — godzi w miejsce najsłabsze, więc — silna i zapewnia właśnie marjawitom takie korzyści, jakich nie dadzą żadne „pokładne“, „podzwonne“, chrzty, zapowiedzi, święcenia.

A psychologia całkiem jest prosta, bo: gdy nie masz dwóch złotych, bracie najmilejszy, daj kurę. Jako że nie wzbronione przyjmowanie darów w naturze i, wszelkiej dobrowolnej ofiary, zaś któż to nie wie, że ileż milej chłopu naszemu przynieść księdzu kradzionego zająca, a nawet własną kokoszkę, niż sięgnąć do węzłka po kilka miedzaków. Chwali też sobie kmiotek, że nie dzieje mu się krzywda, a *pater* naucza:

— Nie chcemy, aby u nas panował rozdźwięk między teorią a czynem. My żyjemy tylko z jałmużny...

I oto z biednego kraju, gdzie brak środków na najpierwsze potrzeby, brak nawet pracy, której u wrogów chłop szuka, a kilku złotych żałuje na szkołę, gdzie jego syn nauczyłby się czytać i pisać po polsku — wyciśnięto już setki tysięcy tym mądrym sposobem. Zaś w czasach rozpaczliwego

szamotania się nędzy i pracy, kiedy dziś-jutro może zgasnąć jedyne w Polsce ognisko przemysłu, a nad radą wysila się ludzki rozum bezradny, zjawia się odszczepieńcza „nieustająca adoracja ubłagania, dająca ginącemu światu, jako ostatni ratunek, cześć Przenajświętszego Sakramentu i pomoc Maryji“.¹

I gdzie wałęsają się chłopskie zagrody, gdzie ziemia, biednie uprawiana, niszczeje, gdzie po latach troski i nędzy przyszedł rok pierwszy pomyślny i chłop odżył zaledwie, wznośszą się, za jego krwawicę, nowej wiary przybytki — kościoły sekciarskie, a myśl, żądną nauki, tumania „nowe prawdy o cudownej pani Kozłowskiej i jej pośrednictwie w sprawach zbawienia“.

Marjawickie towarzystwo akcyjne posiada swój gmach. Na dole własny organ drukuje, na górze biblioteka, kancelaria, szereg pokojów. Rzadko piękny zbiór książek. Dawne i nowe. Stare pergaminy i najświeższy twórczej pracy dorobek. I w kłamrach białe XVII wieku oprawy, i „*La verità sul modernismo*“.

Z dziwną, może nawet i szczerą miłością mówią o dzieciach, a ich ochronka — nawet miłe sprawia wrażenie. Kilkadziesiąt chłopców i dziewczyn do opiekuna się garnie i nic popłochu, nic strachu. Rozbawione, szczęśliwe, a na twarzach kierowników radość promienna, wychowawcza pogoda, harmonizująca przedziwnie ze śmiechem i gwarem młodego życia.

Więc zdawałoby się, że jednak oni... jednak ci marjawici... czynią to w trosce serdecznej o dobro... Ale wnet przychodzi myśl czarna — i pierzcha wrażenie.

¹ Tygodnik „Marjawita“ Nr. 1.

Protektorat rządowy, mateczka Kozłowska, złe, brzydkie sprawy pod osłoną wiary-poezji i ten wyzysk, obłudnie jałmużną nazwany, i rozłam w biednym narodzie, ta dawna, odradzająca się klęska...

Wróg, wróg! Zatem nie drwić, nie ośmieszać, ale go zwalczać, — bo wnet ofiarami się staną ci apostołowie heretyki, wyklęci przez Kościół.

Prasa powinna poważnie wziąć tę sprawę do głowy i serca — i sprawę wyświecić, jakie są istotne marjawitów pobudki, jakie są cele ich sekty. Boć przecie te ich poufne zwierzenia, że jakoby księża zbyt uciskali swych wiernych, to pozór bez wagi, gdy odnośne barany i owce opłacają u marjawitów, właśnie, przyszłą szczęśliwość — w dwójnasób.

* * *

Prasa spłynęła mi z pióra, więc o niej wspomnienie.

Przed laty dwudziestu był „Dziennik“, dobre głowy przy nim stanęły i żywe serca. Trwał przez lat dziewięć, aż został „z powodów od redakcji niezależnych“ zamknięty.

Przez długie lata duch jego błakał się nad ciemnościami, aż zjawił się p. Wiktor Czajewski i widział, że źle było, — ukazał światu prospekt „Rozwoju“ i rzekł: niech się stanie światłość! — zaczęłam stworzyć z niczego współpracowników i poczęłam kusić gnuśne prenumeratorów.

— Zaprawdę, powiadam wam, sprawiedliwy każdy, kto opłacił kwit.

Jak wreszcie czyni to każdy na świecie redaktor.

I oto, święcono już dziesięciolecie istnienia, lecz, niestety, nie dorósł „Rozwój“ do wspomnień, z powodów niezależnych od siebie.

Bo dziwnie zmartwiało jest tu społeczeństwo: rady, pomocy wśród niego nie znajdzie żaden pisma kierownik, tylko

złe uwagi krytyczne, a każdyby rad, aby jego interesom, jego poczuciom pismo służyło.

Trudne przeszedł dziennik początki, bo wnet i współzawodnik się zjawił, „Goniec“ mu było na imię, ale ten całkiem nie sięgnął zadania: prowadzony bez ładu, zmienny i chwiejny, dziś przyoblekł się w barwy niepolskie.

„Rozwój“ na swem stanowisku pozostał. Jak zaczął, tak przetrwał lat dziesięć, a czy lepiej się działo, czy gorzej, zawsze szczerze polskiem był pismem, polskim sprawom służył jedynie, aż oczywiście poszedł za tak zły myśli kierunek do kozy. I wtedy dopiero odczuto, jak potrzebne jest pismo, gdy pisma zabrakło.

— Kiedy wyjdzie nareszcie?

— We wtorek... we czwartek, a może za tydzień... — szeptał zgnębiony beczynnością sekretarz, aż nagle pijany dygnitarz od bufetu w tłum cisnął to słowo czarowne:

— Nu... — zawtra.

Hosanna! Ale jutro, znów pismo zamknęli.

Czyta się tu wogóle niewiele, literatury nie zna się żadnej, rozprawia się jednak chętnie o wszystkim, zaś sroższych krytyków trudnoby znaleźć.

W odpowiedzi na nazwisko dzielnego pisarza łatwo usłyszeć: — Dla mnie — to nic! Panienska, zapytana o Kraśńskiego, odpowiada, że owszem, pragnie poznać pieśni poety. Ale w czytelni Fischera wprost rozchwytyują nowości, a gdy rozległa się wieść, że umarł Wyspiański, ten i ów pytał:

— Cóż taki hałas? Cóż to za jeden, ja nic nie słyszałam... — I wprost obrażonym się uczuł, że piszą i mówią o kimś, kogo on nie znał.

* * *

Ze sztuk pięknych, jakie zapuścili wątle korzonki na

nieurodzajnej glebie przemysłowo-handlowego żywiołu, jedyna jedyna architektura cieszyła się wyjątkową opieką miejscowych obywateli, lecz dziś, niestety, jej kapłani, choć tak dalecy od stworzenia w budownictwie złotego okresu, wyrzec się muszą złotych dochodów — na długo. I patrzą z żalostí na ciche, puste place, bo nie buduje nikt, jako że nawet hipoteki dziewictwo, jej pierwszy numer, nie budzi już żądź, bo to „żaden interes jest“.

Parę pałaców, mniej niż więcej gustownych, wystawionych przed dwudziestu laty przez fabrykantów, wywołało pragnienie naśladownictwa tak namiętnie powszechne, że dziś miasto mogłoby się wyrzec z korzyścią wielu budynków, pragnących za pałace uchodzić. Czy jest w nich styl, czy odpowiadają one zewnątrznie lub wewnątrznie potrzebom swoich właścicieli, inna to rzecz, ale to pewna, że błyszczą szyfrowemi dachami, dziesiątkiem złożonych balkonów, budzą więc w dalszych szeregach obywateli zazdrosne pragnienie posiadania jeszcze bardziej błyszczącego, jeszcze więcej wygipsowanego pałacu czy domu.

Nic dziwnego, że wobec tego prądu popisywania się majątkiem, a przy sposobności i brakiem gustu, tworzywa tutejszych architektów, najczęściej pospolitych „*baumeisterów*“, dalekie od stylu, lecz z ozdobami spalonego baroku, lub też jakiegoś niemieckiego renesansu, te duże ciężkie domiska z czerwonej cegły, upstrzone majoliką, lub pstrą malaturą, stanowią ciekawe dziwolągi nawet dla cudzoziemca, o ile poza wełną, bawełną coś jeszcze w tem mieście obchodzi.

I dziwne to jest, bo są w Łodzi dwaj, trzej architekci wybitni, ludzie szczerego talentu i poczuć wytwornych, a i ci ulegają niekiedy wprost niepojętym żądaniom tych, którzy płacą.

Rzeźba, ta rodzona architektury siostrzyca, równie

ciężką jest dotknięta niemocą. Zeszedłszy na usługi kamieniarstwa lub sztukaterji, tworzy nagrobki kamienne lub gipsowe karjatydy, podpierające balkony lub wykusze tutejszych niby — pałaców. Zaledwie kilka grup, modelowanych przez zmarłego Wojtasiewicza, parę posągów-pamiątek kilku przelotnych artystów, wyróżnia się z rzeźmieśniczej roboty, gdzie nie tylko ani śladu polotu, architektonicznego związania całości, ale nawet niema wymiaru.

Malarstwo cokolwiek lepszej zażywało doli, bo wspierali je Żydzi. Jedyni to byli goście smutnej pamięci artystycznego salonu, w którym jednak zazwyczaj taka była pustki ponurość, że uciekał stamtąd właściciel, mówiąc, że na wystawie coś straszy. Na tak niepewne, przedsięwzięcie pono znów ktoś się odważył, choć kilku artystów barwnego kunsztu rozbiegło się po świecie, może za śladem swych jedynych klientów. Pozostało paru zaledwie, a i ci nie jedwabne mają tu życie, słuchając dzikich na sztukę poglądów, gdy chodzi o to jedynie, aby się nieco wygadać i — splunąć, od czasu do czasu, na to, czego się nie zrozumie już nigdy, a co jednak niepokoi i gniewa.

Wierny miastu pozostał jeden z najpopularniejszych mieszkańców, stary malarz, doświadczony, sumienny pracownik z tych czasów, kiedy to nie tak łatwo było zostać artystą, jak dzisiaj, gdy kurs malarstwa trwa równie długo, jak nauka jazdy na rowerze, poczem już wolno prawić od rzeczy o tem, czego zrozumienie całego życia wymaga. I wolno tworzyć ku radości mamy i taty, a na umartwienie malarza, któremu po kolacji pokazują te cuda.

— Niechże pan będzie łaskaw osądzić i na wykończeniu zwróci uwagę.

Dobre były zrazy, panna jak anioł, malarz — człek

grzeczny, — więc jakże?... a tu aż dreszcze idą po krzyżu na widok wymęczonego tworu.

Pozatem, jak wszędzie, dyletantów, niedouczonej malarchyków — plaga.

Istnieje tutaj szkoła muzyczna, jest „Lutnia“ pod dzielnym wodzem, pierwsze, jedyne prawdziwie polskie stowarzyszenie w tem mieście, gdzie prą się z zawziętością wszędzie — obce a wrogie żywioły.

Wesoło też tam bywa i po polsku — huczno.

Prócz „Lutni“ — „Lira“, więc dzwoni śpiewem Złe miasto, i dobrze, bo może zgłuszy złowrogi jęk nędzy. A jęk to coraz głośniejszy, bo raz wraz tu trzy dni, tam cztery na tydzień pracują fabryki, a ileż takich, gdzie wcale niema zajęcia ten dzisiaj już cichy, uległy, zbiedzony robotnik.

Pierwszy spazm głodu zdławił w nim krzyk nienawiści na długo, bo mocny jest głód.

* * *

Ale gdy pierwsze salwy zagrzechotały na ulicach miasta, a kilku ludzi zwinęło się w tłumie i, brocząc krwią, darło sinemi rękami kamienie, jakby pragnąc uciekające życie zatrzymać, gdy czarne gromady cisnęły się w podwórza domów, o ile bram nie zaparto przed niemi i gdy konnica wtoczyła się w żywy, zbity tłok ludzki, i zamigotały szable a wrzask rozpaczliwy przeleciał miasto od krańca do krańca, wówczas cicha groza zeszła na myśli, a w duszach wyrosło pomsty pragnienie.

I poczęły się krwawe Środy, krwawe Soboty, aż w końcu pamięć ludzka przestała dni znaczyć, śmierć schodziła ze świtem, zachód zbrodnie obliczał, i powiadano, że piękny był dzień, gdy zgasło dziesięć żywotów, a radowała się noc w szynkach podziemnych.

W korytarzach, na schodach szpitalnych miejsca już

brakło, a w zimnych kostnicach, z kłębu ciał trupich, aż pod pułap sztywne białe nogi wyrosły. Lęk gnał stamtąd człowieka, gdy, wśród zimnej ciszy śmiertelnej, cichym jękiem odezwało się życie:

— Wody! Ratunku...

Biegł wtedy między żywych; o śmierć tak błagano:

— Dobijcie...

Ostry zapach karbolu, mdły, odór krwi, uściski śmiertelne przeżających się ramion, pożegnania rozpaczne, płacz dzieci, najstraszniejsze przekleństwa, a w tym chaosie, gdzie wszystkie ludzkie uczucia się zwarły, ksiądz błogosławił i szepcze: — Kochaj bliźniego...

Wpada garść ludzi, w czarnych koszulach, w pasach szerokich. Z nimi kilka kobiet wyjących. Sale przebiegają, każdemu w twarz patrzą, rwą z głów bandaż.

— Ten? — Nie ten!

Nagle, nad człowiekiem, co twarz straszną, rozbitą ukrył w posłanie, wrzask radosny się rozległ. Buchnęły strzały, krwawą miazgą mózg trysnął.

— Pluj, Mańka, w tę mordę sobaczą!

I pochyla się dziewczka publiczna, oszalała, rozżarta i rwie zacieklemi zębami.

* * *

Gęsto rozstawione w mieście patrole. W ludzkie gromady prą konie kozackie, wężem nahań się zwią, dragoni podnieśli karabiny gotowe do strzału, miarowym krokiem przeszła piechota. Lecz pusto i cicho na ulicy Łąkowej, tam, powiadają, nie pokaże się nikt; wie każdy, że tam czyha śmierć. Przyczajona za węglem, za płotem, szara śmierć — bez parady.

Przed bramami tylko ludu gromadki, patrzą ku miastu, coś radzą półgłosem: coś wiedzą, że coś ma się stać, lecz

gdzie — nie wiadomo, i jak się to stanie — nikt nie wie. To pewna, że lada chwila fale powietrzne przyniosą zdaleka suchy trzask rewolwerów, a potem — metalicznym loskotem salwa karabinów się ozwie.

Przyleciały czekane odgłosy. Jakby garścią grochu ktoś cisnął i kilka ziarenek jeszcze dorzucił. Chwila oddechów zapartych, i zbiły się nagle gromadki, wchłonęły je domy. Okiennice spadły na okna, a rzadki przechodzień cisnął się w boczną ulicę lub przywarł do płotu; przekupka, gubiąc jabłka w pośpiechu, w sutereny zapadła. Zgrzytnęły bramy odrzwia, stróż zaklął. Głuchy stukot wrót zamykanych biegnie coraz głębiej w ulicę.

W ciszę i w pustkę wpadła piątka bojowa. Dwóch — dwóch, jeden za płot już chlusnął, i mgnienie — a i tamtych nie widać.

Mija martwej ciszy godzina, — znów rozlega się salwa. Równie, miarowo śmierć idzie i gra Pogotowie. Pod ogniem zbierają rannych lekarze. Ciężarna baba ciśnie fartuchem trzewia wydarte, a tam z rozłupaną głową kurczy się dzieciak w rynsztoku, nagle zwałił się koń, nogami wyrzuca i chrapie, a nad nim pobladły dorożkarz. Oszałały ze strachu człowiek ucieka, grzmi za nim pół rot, sypią się szyby.

Słania się Żyd stary, zbiedzony, siwa broda dygocze, oczy rozwarł, nic nie rozumie, kuli w piersiach nie czuje, lecz nagle przejął go ból, strach załopotał w mózgu, zsiniałe usta bełkocą:

— Za co? Dlaczego?... Ja szedłem z Piątku na targ... Ja przecie tylko biedny Żyd jestem... — I już, jakby czarne, miękkie skrzydła myśli jego objęły.

.

Na ulicy Wesołej, dozorca Hersz Karp wziął go w opiekę. W wielkiej izbie, gdzie obłąkani śmieją się, krzyczą,

stary Żyd w kącie jakby skamieniał, błędni, zgastli oczyma gdzieś patrzy, nic nie wie, nie czuje, nie pragnie niczego, bo umarła w nim myśl, choć szybko poruszają się usta:

— Za co? Dlaczego?

A Hersz Karp, człowiek dobry, pochyła się nad nim.

— Za co i za co? Czy jest taki mądry cadyk na świecie, któryby wiedział, za co nieszczęście? Ale powiedz, mój stary, czy jak tybyś miał wielką fabrykę, co idzie dzień, noc, poszanowanie u ludzi, ładną, dobrą żonę, zdrowe dzieci, ale bybyś sam złodziej, czy tybyś się pytał, za co ciebie szczęście spotkało?

Lecz nie odpowiada stary, nie rozumie nic. On przecie szedł sobie z Piątku na targ... On tylko biedny Żyd jest...

Opiekuje się biedakami Hersz Karp z Wesołej ulicy — i rad, gdy chory przytułek opuści, bo miejsce jedno jest znów, jedno na tych dziesięciu, co po ulicach błądzą, kamieniowani codziennie, jakby za to, że już ludzkiej złości w nich niema.

— A któż leczy u pana?

— Do tej choroby niema doktora. Boska jest kara. — Boskie wspomóżenie. Tylko, że jednemu może być lepiej, drugiemu jest źle, ale u nas same biedne warjaty są. A biedny człowiek to przecie jest nic, choćby nie wiem jaki rozum miał.

— Miasto bogate, — powinni wspierać przytułek.

— Niech oni żyją do sto dwadzieścia pięć lat, niech swoich interesów pilnują na zdrowie. Nasz biedny kahał sam robi, co może, bo tylko biedny do nieszczęścia ma głowę i serce.

.

Bywały dni straszne. Dzień i noc, bez chwili odpoczyn-

ku, karetki Pogotowia na mieście. Po kilku do szpitali wiozły. Napadano na nie: ci chcieli odbić ранego, a inni dobić. Lekarz dawał pracy ofiarę nad siły, narażał życie. Wielu potracono i złono, ranę zyskał niejeden, i oto dziś — pierwszy jasny promień, stowarzyszenie doraźnej pomocy — zamiera, środków mu brak...

— Bo to nie jest interes, a jak co nie jest interes, po co ma być?

— Dobro publiczne.

— *Wie heisst?*

* * *

Związki i związki, partje, rozłamy — tworzą je ludzie, a wszędzie brak ludzkiej podstawy. Każdyby szarpał i gryzł. Szczytna idea, głośnie okrzyki: — Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich! i chwila — pokusa, garść złota, i już kradną, każdy dla siebie, aż w końcu zdradzi ich jeden.

Osiemnastu ujęto. Ten esdek, ów były pepees, a tamten z krwawej O. B. Dziś zowią się maksymaliści, a wszyscy rabunkiem się trudnią.

Ludzie młodzi, nawet nieletni, lecz między nimi i wybitne postacie kryminalnej zasługi.

Więc p. Antoni Kubiak, były sługus z zecerni, jako człek światły, bandę organizował i rozdzielał „robotę“, ale tak zawsze, aby wszystkich łączyło solidarnie przestępstwo. Ten pisał list z wymuszeniem, drugi stempel przyłożył, trzeci szedł po pieniądze. Obok arystokracja: Marcin Szabudaj i Jan Kwiatek — mordercy, przy nich p. Bury, który nic nie wie za co, i p. Roch Puć, który wcale nie winien, tylko psie krwie — rodzice, i p. Nowacki, nie z takiej familji, aby miał kraść, a dalej młody, jasny chłopaczek z chabrowemi oczyma.

— Toś pan zabił dziewczynę?

— Tak... Jedną... Głupia była ona...

Opodał, osobno, drobna, zwinna figurka, młodzieniec jakby zawstydzony, że w tak złym towarzystwie. Pięknie ubrany, w zachowaniu wiele godności, rzekłbyś, buchalter z firmy solidnej.

— Ja jestem Feinblum — złodziej.

— I dawno pan kradnie?

— Czasu kawalek.

— Jakże pana złapali?

— Kolega mię zdradził, taki pan z pepeesów... — I porusza głową wzgardliwie w kierunku młodzieńca o jasnych puklach, zaczesanych na czoło.

— Dlaczegoż to pan... człowiek idei i czynu, kradzież się zajął?

— Mus, panie, był. W partji źle szło, byli takie ludzie, co kradły, zmiarkowałem, że nie jest interes, więc na własną rezykę...

— No, ale dlaczegoż go pan zdradził?

— Niby — co jest?... — ktoś zwraca uwagę na niewłaściwość pytania.

— A czy wiecie, panowie, że niektórych śmierć czeka?

Chłop blady, rudawy, bez oka, zająkując się, mówił powoli:

— Ej, jakbyś pan bałandy w kreminale pojadł bez miśiac, jakby pana bili bez drugi, tobyś też nie był taki chytry na życie.

— Dziękuję panom.

— My także dziękuję.

I ruszyli pod bagnietami — do siebie. Chód pewny, miny butne, zuchwałe, czapy na bakier, tylko na twarzach ta smutna bladeść więzienna, czarno podkrążone oczy, a w nich dziwna, bezmyślna tępość wyrazu.

— Wszystko już jedno, bo przecie — śmierć.

* * *

U bram więzienia hasło:

— Połtawa, Piotr, popielnica.

Bo zawsze musi być miasto, imię i rzecz, i ta sama pierwsza litera.

Czworobok murów, kilku nieruchomych żołnierzy, a górą ciemnoszafirowa głębia. Niżej, zamglonym blaskiem okna migocą, idą od nich jakby szare opary, nad więziennym podwórzem zawisłe, i cicho — cicho, i coś, jakby strach.

Zrzadka tylko dźwięknie kolba okuta, szybko zadzwonią ostrogi, krótki rozkaz, wydany półgłosem, i oddalają się kroki. Czasem ktoś ziewnie żałośnie i zaklnie, jakby w tęsknocie matkę przyzywał.

I dziwnie, gdy do wielkiej izby otworzą drzwi sztabami okute, a gwar wesół stamtąd uderzy. Coś jakby klub, w każdym razie towarzyskie zebranie. Przykry, ciepły oddech więzienia: dym, wódka, kwas jakiś i — ludzie.

Piją i palą, dźwięczy harmonja, tu i owdzie — gra w karty, czasem ktoś kogoś w twarz. Czasem dziesięciu na jednego się rzuca, póki jeden nie krzyknie im: — *Halt!*

Zgrzytnęły drzwi, ustają w jednej chwili zabawy, milkną przekleństwa, a po chwili zastanowienia: kto przyszedł i po co? — odzywają się skargi.

Kilku mówi o jednym, na jedno wszyscy się godzą, że psie takie życie. Że stęchła słonina, gorzki kapuśniak, że ktoś kolbą uderzył — i spać nie ma na czem, bo słoma starta na proch. Oczy bolą od tego.

I ktoś nogą ściółkę poruszył, podniósł się tuman, zaćmił ludzkie postacie, a inny wnet, bez zachodu, coś niesie w palcach do światła.

— O... Jakie to... paśne... Nasze burzuje...

Zimno się robi, bo martwy jest każdy wyraz, puste wszystkie skargi wobec tych żywych pokazów.

— Za cóż panowie?

— Za bezpaszporty, a i politycznych jest paru.

— My właśnie... Za eksproprowację...

— Z czegoż wywłaszczali panowie?

— Chusteczki do nosa, zegarki — bagatel... Nie każdy, proszę pana, może poczty rozbijać. My przez żadnych idejów, lud biedny, z dnia na dzień żyjący, a dobrze to jedno, że nikt dzisiaj nie powie już — złodziej.

— Dlaczego?

— Bo tera wszyscy, mój panie, złodzieje.

Buchnęła śmiechem izba więzienna, aż zakolysały się dymne obłoki.

* * *

Dziwnej urody był człek. Głowa drobna i sucha, jakby tylko skórą pokryta. Dwie jamy głębokie, a w niej czarne oczy, osadzone daleko od siebie, bez blasku, drapieżne. Usta zawarte, jakby niemowne, do uśmiechu ból przywarł.

Szczupły, zwinny, jak kot, i nic jego uwagi nie ujdzie. Zastanawia go kamień na drodze, złamany płot, drzewa kawalek — dlaczego to leży, kiedy tego wczoraj nie było? Nie zajmują go tylko ludzie, tak się przynajmniej wydaje, bo nigdy na nich nie patrzy.

Nie rozumie, co strach, o zabójstwie mówi ze wzgardliwym uśmiechem, lecz tak się wydaje, że swego życia nie oddałby tanio. Nie za jedną śmierć, nie za dwie, bo przecie więcej w magazynie jest kul.

Mówi niewiele, lecz lubi zdania mocne, porównania zuchwale. Opowiada rzeczy ciekawe.

Gdy jeszcze był praktykantem w bojówce i dano mu rewolwer, aby nabrał sprawności, a przedewszystkiem oswoił się z bronią, paliła go ta czarna, chłodna „spluwa“ w kieszeni. Rozpierało poczucie władzy i siły, a w mózgu dzwoniła myśl jedna, aż w końcu — zabił niewinnego człowieka.

Ulżyło — niedługo, ale potem zrozumiał, że coś to znaczy śmierć jedna, gdy potrzeba ich miljon — dla dobra.

Z błaganiem o życie, widokiem krwi i szamotaniem śmiertelnem oswoił się prędko i dziś już idzie na zimno, bo czyż to ogrodnik się wzrusza, gdy mu wypadnie szkodliwy chwast wyrwać? Młodzi mają wadę ogólną, że zwykle nie dotrzymują ze strzałem: trzepnie zdaleka — i w nogi. Trzeba zawsze pamiętać, że cztery kule lepsze, niż dwie, dobrze czasem trupka nożem spróbować, bo robota powinna być czysta: gdzie stał, tam i padł, a zawsze niepewne dobijanie w szpitalu. Najlepsza broń — „parabellum“, cyngiel tylko nacisnąć: osiem razy wali, a brauning czasem lubi się zaciąć, to samo, jak bomba, gdy nie wybuchnie. Wtedy złapią każdego, i wiadomy los.

Kiedy w partii nie było jeszcze rozłamu, miasto miało czternaście dzielnic bojowych, z tych podmiejskie: Radogoszcz, Bałuty, Widzew, Dąbrówka i Brus, zaś miejskie: Wodna, Górna, Cmentarna i inne.

W każdej dzielnicy bojowej instruktor miał pod sobą pięć piątek, a każda składała się ze starszego, trzech zwykłych i ucznia. Pozatem starsi stanowili główną dzielnicową piątkę; ona to wykonywała wyroki partyjne, zaś na zwykłego szpicla szedł byle dzieciak — dla wprawy. O celu bojowej wycieczki wiedział zawsze tylko jeden, inni musieli mu być posłuszni, choćby skazany był ojciec, czy brat. Bywało i tak.

Instruktor miał swoją „ochronę“; dzielne to były chłopcy, każdy agent ich znał. Często minął się patrol z taką ochroną i — nic, tylko zadygotały bagnet, garść mocniej brauning objęła, a z oczów — jak skry...

W niektórych dzielnicach była także bojowa milicja; ci pilnowali ulicznego porządku — i porządek był.

Pod zarządem instruktora znajdował się skład broni,

który przenoszono co dwa tygodnie, a w ostatnich czasach, gdy rozbiły się organizacje, dla bezpieczeństwa, trzeba to było robić codziennie.

Do przenoszenia najlepsze są baby, zaś która tegiej piersi, a niech gorset niżej opuści, to ładuj choćby dziesięć składanych *mauser'ów*.

Baby, wogóle, okrutnie były zajadłe. One pierwsze podniosły ludzi do strejku, ale i opamiętały się też pierwsze, widząc przegraną. Przez nie pękło życie niejedno, bo jak zwisała u szyi, a w dzień i w noc: — Zabij i zabij! — to i siedł człowiek. Niejedna i cnotą skusiła, dotrzymała zawsze. Sama przyszła, powiedziała: — Bierz...

Sądy swoje też one miały. W pole taką — szkodliwą zmaniliły, tam ubranie z niej zdarły, szpikowały kulami. Umiały przejąć i hasło szpitalne, a wtedy niejedna szła z nożem...

Złe tylko, że już bardzo zawzięte, z trupem się bawią, i trudno oderwać, jak się pazurami wczepi. I taka w nich sroga zaciętość, że jak krew raz zobaczy, to potem i kochanka, jak pies, drze zębami, byle krew mieć. Powiada, że słodka.

One najwięcej znosiły dynamit, — choć to śmiertelna robota, i nie każdy do niej się brał. Dziś to ustało, że bieda, a drogi materiał i niepewny skutek. Po dwieście rubli bomby bywały, samego „nasienia“ szło w nią dwadzieścia funtów. Pewniejsza sztyftowa i tańsza, a wreszcie — jak komu do gustu, bo są tacy, co tylko fiński nóż sobie chwalą. Wszystko jednak jest dobre, od czego śmierć — siła jedyna i rada.

.

Straszny człek pija wódkę i wiele, gdy niema „roboty“. Ożywia się wtedy i oczy mu płoną. O żółtych blaskach złe oczy... Kipiąca w duszy nienawiść z pianą schodzi na usta, białe kły świecą.

— Bo panowie wcale ich nie znacie, — przez to głupstwa w gazetach, a każdy to pisze, co mu powie fabrykant. I jak jemu właśnie potrzeba. Powiadacie, że dosyć podwyżki, że przemysł upada, a czy to wy wiecie, że on, taki syn, przecie nawet na tem swoim dobrodziejstwie zarabia. Da trzydzieści procent robocie, sam pięćdziesiąt mieć musi, bo zaraz mniej nici w osnowie, błat zmieni na rzadszy, tryb zrobi większy, wątku mniej wyda, a w końcu, gdzie może, na sztuce to ćwierć, to pół arsyzyna ukradnie.

Toć my na to patrzymy, toć dzisiaj rozumie się wszystko i my wiemy, czego żądać można. Ale kłamstwo, jak pies, takie złe.

I to panu mówię, że nie będzie porządku, póki ich polowa nie padnie...

I padnie... A jeżeli nie ja, to moje dzieci będą ich pruć.

Ale przyjdzie ten czas, że i nad naszym czarnem życiem świt nowy rozbłyśnie.

* * *

Z objęć nocy wysuwa się leniwie mrok, rozchylają się zwolna zasłony chmur ciemnych, jasność schodzi na ziemię.

Poszarpaną przez wyboje drogą sunie szara, ludzka gromada. Nad nią światła się palą, zawisłe na ostrzach bagnatów. Spodem, gdzie czarno, błoto pluska z pod stóp, lecz w głowach ludzi myśl jasna, dzwonna, paląca: idą na śmierć.

Niedaleka droga ostatnia, ostatni świt blizki, lecz spieszą ludzie. Gna ich promienista nadzieja, że tam, u kresu, czeka łaska — katorga.

Już weszli w las, chłodna świeżość poi piersi spragnione, czar lasów i pól. Myśl udręczoną witają wspomnienia...

Żyć!... Żyć!...

Głębiej — już ich mrok objął, po oślizgłych mchach idą, ugina się ziemia rozmokła, ktoś potknął się, upadł — ktoś zadrwił. Głos ludzki zbudził otuchę.

Tak, tak, to na postrach tylko, a potem podróż, kraj inny, i odbyta kara, i radość, i spokój. A potem dobrobyt, powrót do swoich... Matka... Dziewczyna... Obraz za obrazem poddaje dobra nadzieja, lecz prześciga ją myśl:

A może wolność?

A może cud?

— Sto-ooj! — Dech zamarł, ustały serca.

Spowiedź. Potem długie, śmiertelne koszule na głowę. Światło już zgasiło, w myślach trwa jeszcze, a słuch wyteżony każdy szmer chwyta. Nagle szczęk broni... spazm dławki za gardła.

Żyć!... Żyć!...

Grzmot poszedł po lesie, rozsypał się w drobne odgłosy. Czemuś stało się zadość.

Świeże mogiły, jeszcze ciepłe, jak powiada grabarz. Stara babina o drzewo się wsparła, szczeka jej lata, głowa jakby się śpieszy, a oczy — umarłe. Na zrytym piasku rozciągnięta dziewczyna, coś kotłuje się w niej. Druga — nieruchoma, jak głaz, a człowiek jakiś śladów szuka na drzewach.

Sosny, z kory odarte, potrzaskane przez kule. Gdzieś niedziele rany stare, zakrzepłe, żywica zaszele, i plamy czarne na nagiej bieli. Na drzewach święte, kolorowe obrazki, zdarte przez kule.

„Pod Twoją obronę“...

Wolne słońce w całej pełni już wzeszło. Na korony sosen złotym blaskiem spływa, budzi życie i radość.

Ćwierkają ptaki, i szumi las.

1907.

Owej zimy okrutnej, gdy w lasach ginął śmiercią głodową zwierzę wolny, a człowiek, tropiony zaciekle, z niewolą się zmagał i na śnieżnej przestrzeni, jak Polska szeroka i długa, krwią pisał historję, nagle, jakby ocknął się naród ze snów zakazanych, przejrzał trzeźwo swą niemoc. I struchlał.

Aż zamarł w żałobie i trwodze: nad krwawo spełnioną ofiarą, nad dolą żyjących...

I nagle, w noc grozy, co już myśli objęła — blask słońca — olśnienie — nadzieja:

— Zwycięstwo!

Rozśpiewały się hymnem radosnym świątynie i dusze a w każdej chacie czy dworze, w ulicy, szept tłumiony wzruszeniem:

— Pułkownik Kurowski zabrał kasę skarbową, za granicę ich przegnał... U Białej Mamajewa zgnetli... Janów, Siemiatycze, Prużany — zwycięstwo!

Co dnia już wieści radosne. Od czarnych Świętokrzyskich jarów, od błot Augustowskich, zarosłych moczarów Niemna i Bobrzy, od Kampinosu, Białowieży, lasów Ropockich, ponurych ostępów, bez drogi, gdzie słońce nie zjawia się nigdy, gdzie spokój, zamarły od wieków, dzikiego zwierzyny, a dokąd człowieka gna nieszczęście lub zbrodnia — dziś stamtąd świetlana nadzieja, czar wyzwolenia i pijana, zuchwała, od wszystkich uczuć silniejsza, radość pomsty spełnionej.

Ale dziwna to radość: w oczach nie tli weselem, a uśmiech gdy zęby odsłoni, zda się, że radeby one gryźć, szarpać — z uciechy.

— Pobili... nasi pobili! — huczy wieś cała po walce, od chaty do chaty głos leci, aż całą polską równinę ogarnie, huknie jeszcze po lasach, nad wodami jęknie i ścichnie — gromem klęski zgłuszony:

— Pod Węgrowem wszyscy zginęli, Wąchock, Suchedniów — o Jezu! — I ten, co wczoraj nie wierzył, albo zwycięstwu szyderczo urągał, dziś, wobec nieszczęścia, ryknął jak zwierzę. Na kole grabowym kosę odwrócił, u skraju puszczy babę ucisnął, od czepiających się dzieciaków otrząsnął:

— Z Bogiem ostańta!

Bór zamknął się za nim.

I tak każdego zmroku, gdy u chat gospodarze radzą, kogoś zabraknie do rady. A kto rańniejszy, kto młodszy, zniecierpliwi się, rzuci:

— I dobrze, bo nie językiem chłopu wojować, ale z kosą iść.

Na to starsi, mądrzejsi:

— Iść, to iść, ale trza przecie z głową, a nie tak bez rozumu kosisko ze wsi na zmarnowanie nieść.

— Ale!...

I radzą.

Trwożnie, półgłosem, bo czas taki, że i w obejściu człowiek niepewny. Czasem, choć niby swój, a gotów do zdrady.

— Cichaj-ta!... Idzie Grzybowski.

Grzybowski, chłop stary, pochylony, lecz szeroki, jak tur, złemi oczami tylko ich zmierzy i minie. Ale raz, w środek gromady się wparł, siwą głową potrząsnął:

— Głupiście wy, moi! I wyśta, stary Drożdzie, głupi, i wy, Pękowski, i wy, Marcinie, głupi! Boita się mnie, a do panów, do boru was ciągnie. Gorsze oni wrogowie, jak tamte...

— A może i tak, ale...

— Nie może, a pewno; ja swój chłop, i do was to mó-

wię. Pół sta lat wojowałem bez mała, i co za to? Na polu bitwy rodziłem się, a kiej matka pod Maciejowicami zrabanego oćca poznała i u trupa zległa, już mi widno dla wojny się rodić było pisane. I groblę pod Lipskiem ja widział, i pod Ostrolęką bagnetami mię skłuli, a potem znów na Węgrach, uradzili pany za chłopską skórą wojować. Hej, dużo mojego serca i mojej juchy już poszło na pańskie wysługi. Co za to? Ni woli, ni ziemi, a jak się trafiła okazja, dziedzic do kancelarji przyzwał, nie patrzył na krzyże, a po głębie bił... Młody córkę mi zwiódł, honorem nadgrodził...

Zaśmiał się stary, aż chłód po gromadzie szedł.

— I co chceta? Myślita z garścią, a kosą Polskę zwojować, bo obiecuje szlachta. Ale niech ino wygra, wnetki wam — „Jeszcze Polska nie zginęła“ na skórze wypisze.

Zadumała się na chwilę gromada, ktoś mruknął nieśmiało:

— Księża z ambony głosili, że grunt na wieczyste idzie, robocizna do woli, a kto do nich przystanie, temu...

— A juści, juści! Ino im wierzta. To już dawniej bywało, nie nowotny to wymysł. Jak naczelnik w sukmanę się przebrał, zara takie gadki w lud poszły. Toć mi oćiec powiadał.

— Zaś ta ksiądz po próżnicyby bajął?

Stary zamyślił się chwilę.

— At, głupiśta, mój Drożdzie, a czegośta własnym rozumem nie doszli, ja nie nauczę... — machnął ręką i powłókł się w pole.

— Toć prawda, że wojował on dużo... — któryś z gospodarzy potwierdził.

— I bez to taki zawzięty.

— Ale prawi z rozumu, jakby czytał pisane.

W powietrzu na wczesną wiosnę już szło, a choć po

brózdach, po dołach jeszcze śnieg leżał, nie spodziewano się chłodów. Wody zbiegały już z gór, czarne ptactwo w lasy zapadło, ruszyły z mateczników niedźwiedzie, a chłop około żyta jarego i owsa się krzątał.

Ale niesporo z robotą, gdy w myślach troska zasiędzie. Zaś markociły się baby, że ino jakieś medytacje mężów zajmują, z czego żadnego profitu, bo wiadomo, że chłop nigdy na dobre po łbie się nie skrobie. Kiedy zaś na przyźbie godzinami siedzi, kozikiem nic do rzeczy struga — pewne nie-szczęście.

A i te znaki na niebie, co wieczora inne: to krzyż, to siekiera, to oko złociste. I jakieś ci dziady, mądre okrutnie, po chałupach chodzą, nic nie zabierze taki, a jeszcze ostawi. Także i rządcą — nie bije, dziedzic na robotę nie chytry, młody na dziewuchy nie łasy, i tak ci we wszystkim jakaś odmiana, może i na lepsze. Ino, że chłopcy coś radzą.

Wej, stary Grzybowski, toć mądrzejszego chłopą ani potrza, a głowę zwiesił, zasumowany okrutnie, i ciągle, to ucho do boru odwróci, to na drodze coś wypatruje. Musi nie-szczęście idzie od miasta, bo co złego, to od miasta zawsze. I od boru coś idzie, a huką.

— Ani chybi — coś...

Ale i staremu także niewesoło na myśli: klnie, a pomstuje, tylko bez ulgi, bo na wnątrzu go ssie. Wie stary dobrze, co to huką po lasach, lecz nie odzywa się w sercu ochotą, bo tam żalów zebralo się wiele, na ludzi, na świat. Nawet gdy raz we wsi chłopą obwiesili kozacy, nie przejęła go litość.

— Sprawiedliwie ci tak! Rola chłopska je rzecz, a wojna pańska zabawa.

I co dnia już tylko wypatruje zawzięty Grzybowski, kiedy przyjdzie pomsta kozacka, paniczuków, co hukają po kniei, na pikach rozniesie. I medytuje sobie, jak to bór

osaczy piechota, wej, na górkę zatoczą armaty, a kozacy do środka, — do środka...

I uśmiecha się stary, i rad.

Ale bez odmiany wcale, cosik na wnątrzu go ssie.

— Bo dlaczego nie idą? powinni już być.

Zmogło go już to oczekiwanie: w dni kilka postarzał i do jadła gust stracił, aż gdy nareszcie, nad traktem do Kielc, podniósł się płowity tuman i sunął, chłop rękę za sukmanę aż wraził, tak załomotało w nim serce. Jakby na śmierć.

— Idą!

Potem ręką oczy od słońca przysłonił, w dal patrzył.

— Kupą, ale równo idą.

Podbiegł, jak młody, na wzgórek; jeszcze mu nisko, na kopiec się wdarł, a gdy z pyłu wyłaniać się poczęły wyraźne cienie i blaski, aż się głosem odezwał:

— Przodem szpica dragonńska, piechota za nią... Sprawnie juchy idą.

— Za niemi armaty: dwie, cztery; kozaków ze dwa sta, — sprawiedliwie tak!...

I aż przysiadł Grzybowski, pomsta gra w duszy, rozpiera.

— Za chłopską krzywdę! Za ojca, za dziada. Jak dobrze lewe skrzydło założyć, a ruszą, żywa dusza nie ujdzie przez błota. Sprawiedliwie tak!

Ciemny, w siwej kurzawie, górą srebrzysty, wąż sunie. Chybotliwe blaski, bagnetów skry w rzędach, za niemi spiż migotliwy, a dalej jasne budy furgonów przewalają się w piachu.

Grzybowski oczy wparł w pochód.

— Żywa dusza nie ujdzie. A wszystko bez głupstwo. Bo i komu to kosą wojować, z czapkami na armaty iść?

I zadumał się stary, głowę na ręce pochylił, snując po-

woli dawne wspomnienia. Cisnęły się jedne przez drugie, wypływały z myśli jasne, wyraźne, to znowu bezładnie tłoczyły się w mózgu, zapomnieniem przyćmione.

Konie, ludzie, mundury, żar, głód, zimno, zatopione armaty, pan generał Skrzynecki. Potem Arad, Temeszwar, Dembiński, krzyż od Koszuta, pod Widdyniem obóz, a potem Sylistrja...

— Piękne miasteczko... Hej, twardy ten Sewastopol był, bo twardy, ale takiśmy Małachowę udarli. A ila to luda tam było: gnaciate Angliki, chybkie Francuzy, niepojęte Turki. A kapitan jak ci to był sierdzysty...

I zaśmiał się chłop, jakiś figiel żołnierski na myśl mu przyszedł.

Rwie się myśl stara i pamięć zawodzi, ale powoli kształtują wspomnienia, łączą w obrazy; stary czapkę na ucho przesunął i już głośno gada:

— A Olszyna! Pan z panów, Chłopicki dumny pan, niełaskawy, ale umiał zagadać, jak potrza mu było. Grochów — Warszawa. Armaty dzień i noc grały, a bab, dziewuch na wałach, a picia, a jadła, jak w zapust. Strach ino obleciał, jak zbliżka kartaczami plunęli od Woli, a jak się wdarli... my im chleb, sól nieśli, a człeka nie było, coby oczy miał suche.

I panom było mdło w sercu. Siła ich legło, a krew pańska czy chłopska... oplakana zawsze... przecie krew polska. Jak ziemia.

— Niby z dziegiem, juchy, ciągną niezdarne...

Oczy niechętnie od drogi odwrócił — i nagle... Coś zerwało się w myślach...

— A jakby, na przełaj... Jakby chybki kto skiknął, a boruby dopadł... Zabieźeliby drogę?

Rozejrzał się po szerokiej płaszczyźnie, przestrzeń do sinego pasu zmierzyl.

— Zabieźeli, albo i nie... Jakby tak za rzeką sunął, dołkiem, a dołkiem, bagienko ominął... trza wiedzieć jak, i brzeziny dopadł, to już Boża wola — i hej!

Błysnęły oczy staremu. Ramionami wzruszył.

— Ale ktoby zaś tam biegał do lasu? I po co, kiej sprawiedliwie im tak...

Ale znów zwróciły się siwe źrenice ku wodzie...

— Nie doniesie... a choćby, to zdołuje — strzał chybny... Ale niechbym ino młody był, dziur po skórze miał mniej, a krzywdy w sercu nie nosił — toć swoi... W jednym szeregu się szło, a jak kartacze wyżarły, szlusował chłop z panem, jedna im zagłada... Jakby jedno w nich serce...

Wraz, aż się zachwiał.

— Laboga, jak to złość człowieka zamroczy! — laboga, Grzybowski!

Nagle kopnął się stary, pochylony sadził. Rzeczki już dobiegł, za krzakami skrył się, już na łakę wypadł, czerwonymi portkami błysnął.

— A u — uu! — wrzask jęknął od drogi, zakotłowało się w przedniej straży, żywo rozbłysły złoto-rude końskie kadłuby, a z szarej kupy kozackiej smugi dymu wybiegły; rozległ się klekot janczarek, i nachyleni jeźdźcy pognali. Kwicząc, okładając szkapę nahajem, parli chłopu naukos.

— Zgonią, nie zgonią?... Laboga!

Ze stromych rzeczki brzegów jeden i drugi z koniem się stoczył, srebrzyste bryzgi wody strzeliły wysoko, zatargały się szkapę, ale płyną niesporo.

Wtedy z pierwszej szóстки prostokątu piechoty wytrysły podłużne, białe smugi, grzechot się rozległ, a po nim sześć smug znowu, i sześć...

— Nie doniesie... Nie, nie! — i już bagienko, jeszcze chwila, a las... I salwa pół rotę.

— O Jezul...

Chłop zwinął się nagle i do ziemi przypadł. Włókł się, jak ranny zwierzę, szukający schronienia.

— A — uu jewo. — Au — ho, ho!

Dwóch, trzech, czterech za nim, i jeden, sadzą przez grzęzką łąkę. Chrapiące szkapy przodami wynoszą się, rwą zady z bagnistej uwięzi. Nad niemi w rozwianiu grzyw, jakby do skoku pochylone ciała, ziejące usta.

— Ej, pan! Nie ujdiesz!

Udarł mchów pełną garść, na krwawiącą ranę i poderwał z mocą.

— Do zagajów aby...

Ubiegł pół stajania i padł. Jeszcze wysiłek, — już chłód lasu w upał głowy uderzył...

— Kuniec ci, głupi Grzybowski...

I na rękach się wsparł, siwe oczy obrócił w dzikie radością wykrzywione twarze.

Opodał stoczyli się z koni, runęli kupą. Aż jęknęło z pod kolan kozackich, wraz ręce na krzyż, i w łyko, i arkan na szyję.

— Nu — u! Dwigaj!

— Nie zdołam... — chłop głową ranę wskazał. Splunął sotnik kozacki...

— Ej, Fiodor, biegi za wodój!

Stary, ryżobrody pochylił się nad rannym, i kosmatemi, zwierzęcemi łapami kość zbadał, czy cała. Potem z wysokiego kaszkietu zlał ranę wodą i nożykiem w niej drażył, aż kulę w mięśniach uda wygrzebał, a potem w czarny, bluzgający krwią otwór wcisnął szmatę spaloną i zalał gorzałką.

— Nu, — maładiec!

Twardy chłop był Grzybowski. Dźwignął się, westchnął głęboko i poszedł, między końmi, z powodem na szyi. A choć na nogę mocno utykał, bo gorącość od niej aż do łba mu biegła, rozrzewniony był stary.

— Kozak — zła krew, a przecie ludzki...
Nie psuło go życie.

*

U samego traktu, opodał rozsypanych na wzgórzu chat chłopskich, z kępy drzew ciemnych, jasnymi ścianami wizerał dworek szlachecki. Szpaler, smukłe topole, zmurszałe wrota, kamienny posąg, a głębiej sadu zielone kłęby. W ogrodzeniu zabudowań bez liku: podłużne budynki pod strzechą, jak łąka porosła, obok śpichrze, śpicherki, lamusy, schowanka, stare, zbutwiałe, półrozwalone, lecz stoją. Siwa i jak stary koń, łęgowa stodoła, dwie sterty i parów porosły olszyną. W nim krzyż pochylony, jakby o dawnych dziejach z szemrzącą strugą rozmawia, dalej pole równe, dalekie, łąki oparami zamglone, smugą lasu przecięte.

A dworek, jak dworek, do tysiąca innych podobny. Każdy go zna i pamięta, bo czyż jest takie biedne życie na świecie, bez jednego wspomnienia o dniach pogodnego spokoju, czy młodych uczuć, gorących, tam, w majowym zmroku poczętych? Jasne ściany, — jasne wspomnienia. Gdy w mrocznej myśli się zjawia, uśmiechem szczerzej prostoty zabłysną, któż ich nie błogosławi, ale i przeklął niejedną, że go wierzyć i kochać wśród nich nauczono.

Bo za nic życie tak okrutnie nie karze, jak za miękkie uczucia, wypieszczone przez matkę, przez ciche wody, brzozy szumiące...

Późno dowiedzieli się o tem starzy dworku dziedzice. On, dawny żołnierz, ostatnie nadzieje na walach Warszawy pogrzebał; tam wiarę w najdroższe sercu odrodzenie chwały narodu utracił, a gdy żał do swoich przerósł wszystkie uczucia, wtedy w myślach coś zgąsło. Pół-zadumy, pół-obłąkania mrok przyszedł, i martwa cisza już duszę zaległa, aż pewnego wieczoru, stary pan, z zapomnianej, jak się wszyst-

kim zdawało, kryjówki wydobył ryszunek wojenny i wdział go na siebie.

— Do Pana Boga — mówił — idę; z Nim porachunek, bo mnie za wierną moją służbę — oszukał.

Późno w noc jeszcze bluźnił i klął takimi słowami, że dziw, skąd w myślach pobożnego kolatora się wzięły. A gdy nad ranem śmiertelna ciemność ostatnie błyski umysłu zasnęła, zmarł stary, z szablikiem w garści. Przedtem wszystkim przebaczył, zdrajcom winy darował, nawet Moskalom, z Bogiem się tylko nie chciał pogodzić i krzyżową sztuką natarł na księdza, gdy ze Świętymi Olejami się zjawił.

— Widno zdźwigał się stary i krew padła na mózg... — mówili we dworze, a nieswojo było każdemu, że pan bogobojny tak przykro swój żywot zakończył.

Pszenica ozłociła się właśnie, ale gdy pochyliły się kłosa, i zaśmiał lud do łanów ziarnistych, nagle żalność wszystkie serca zaległa. Jejmość — pani, kochana, umarła! Odeszła cicho i z Bogiem, a bez żalu do ludzi, bo są takie serca bez złości, które nie wdzięczność, lecz krzywda umacnia w słodkiej ich dobroci.

Jedną tylko miała pani w sobie zawziętość, jedną tylko pomstę w myślach nosiła, pomstę — spuściznę, z ostatniem tchnieniem dzieciom oddaną:

— Ten wróg tylko, co wydarł ziemię ojczystą, krwią oblał groby... w kościele mordował... Do łzy ostatniej... do ostatniego jęku mścić, walczyć — tak wam Panie Boże dopomóż... — słabnącym głosem pani mówiła, a człek stary, bliski ją żegnał, od złej myśli bronił, i dziwno mu było słyszeć słowa zawzięte z ust tych, co znały tylko modlitwy.

— Miłujcie nieprzyjaciół wasze... — szeptał, ale zbłądły i słaby był każdy wyraz biblijny przed żalem, co kosztował w zaciętość, na twarzy półmartwej.

Odeszła cicha bohaterka — matrona jedna z tych, któ-

rym, zda się, wszystkie cnoty były dane, wszystkie ducha wdzięki. Do kądzieli sposobiono je tylko, ale białe ich ręce często objąć umiały i lemiesz, i miecz.

I jak owe cenne, rodowe klejnoty, co idą na pokolenia spuścizną, a wartość ich rośnie, tak z pamięci w pamięć przechodzą, dziś już niedosięgłej chwały, rycerskich Polek nazwiska: Chrzanowska, Zarębina, Platerówna, Słucka, Kobylecka, Wołkowa — polskich dworów chwała, przez żadną moc wrogą niezniszczone pamiątki.

Po starych rodzicach kilkoro dzieci zostało: synowie, jak dęby, dziewczęta, jak zboże — ale inny był to już ludzi gatunek. Trzeźwe, mądre miasto wzięło dzieci w opiekę, więc w duszy zgąsło niejedno, rozetlało nowe, nie gorzało nic. I lepiej, bo ziemi własnej sporo przyległo, pański dostatek się zjawił, a z nim zabiegliwa żądza i w sercu, o dobro, niepokój.

Niepokój zmienił się w trwogę, gdy od księży Karmelitów pieśń „Boże coś Polskę“ poszła przez lasy, do Tatrów pobiegła po echo, i na ciche równiny spłynęła, w miljonach.

— Jakby spokój niemiły.

Za pieśnią zjawili się ludzie ze słowem gorącym, przemylali po borach, a z nimi w chatach leśniczych, smolarniach, opuszczonych pustelniach zabrzmiały cudne okrzyki, o wyzwoleniu, braterstwie, wolności, i szły przez kręte, leśne ścieżyny, manowce, bezdroża, do chat dymnych, dworów pałaców i różne w duszach nieciły uczucia.

Ten śmiał się, ów płakał, tamten złorzeczył, a inny już liczył, ile złota z krwią spłynie dla niego. Ale w trwodze i ciszy, bo nikt się na myśl głośną nie ważył, a zapytany, rozglądał się bacznie, drzewom i murom, nawet sobie nie ufał.

— Poco? Naco? Młodość — pustota; krwi szkoda... I już się przeraził, że powiedział za wiele.

Burzyli się młodzi, że nikt sercem świętej sprawy nie chce zrozumieć, a trzeźwą cyfrą gromi młodzieńcze porywy. Cóż znaczy liczba bezduszna, — mówiono — tysiąc armat moskiewskich, gdy w sercach niema zapалу? Parli całą siłą do walki, ale poza tą garścią, zda się, z ognia i prochu, chłód wiał a rozwaga. Z gorącym wyrazem spieślało się zimne szuderstwo.

I nie było, napozór, przychylnych. Ale pod lasem, gdzie emisariusz, niby lis tropiony, przemyskał, a na drugi dzień już kupa zziębłych i głodnych na nocleg zapadła, wnet jakby z pod ziemi wyrosłe zjawiały się sterty, a człowiek-niemowa wózkiem zajeżdżał, faski z jadem, bochny chlebowe, butelki wyrzucił i chyłkiem umykał.

Darmobyś pytał, próżno dociekał, kto ów dobrodziej; wyparł się każdy, nawet rozsrożył, gdy mu chciano dziękować.

— Jeszczebym miał karmić za tę do krwawej swawoli ochotę. Niedoczekanie!

I szedł do jejmości, co tam na jutro w kuchni przyrzadzić, a wysłać przemysłnie.

Burzyło się po wsiach, szedł już głuchy pogwar od lasów, przykra cisza od miasta, aż nagle wieść o brance przez Polskę przebiegła. Drgnęły bólem serca matczyne, żal w ojcowską rozwałkę uderzył — odpowiedziała im puszcza.

— Pomścimy!

Wtedy od miasta, ze szczękiem oręża, z armat turkotem głos ponury się ozwał:

— Miatież!

A gdy w kampsinoskich borach padły pierwsze strzały... wiatów na bliską zagładę, gdy Langiewicz otoczył się sztabem wspaniałym w sto koni, a kilkuset źle uzbrojonych ludzi w pierwszych utarczkach zagubił, żal serdeczny ogarnął tysiące. Ale miljona piersi szerokich i zdrowych, wzniosły

się słowa mydlane o krwi bohaterów, Rzymianach, ojczyźnie, zaszumiały rady bezpiecznych doradców, strategów tchórzem podszytych. Tylko lud coraz gęściej szedł w lasy, a serca uderzyły na trwogę wśród panów dziedziców.

— Ekonomiczny upadek!

— Rozbój, bo na nas się skrupi!

— Co tam, złe minie... Oby nam się dobrze działo, sąsiedzie!

— Kochajmy się bracia, bo jedność to grunt!

I pito, jak za dawnych czasów. Jak za Targowicy, jak potem...

*

Jasnego dworku dziedzic, pan Walery Kozłowski, był to chłop duży, wąsaty, w miarę urodziwy, a mowny. Pijał wiele u drugich, a nie rad u siebie przyjmował, boć to przecie polska gościnność bez troski — jak mawiał — pograżała ojczyznę. Czas już otrząsnąć się z dawnych nałogów, jąć pracy, aby to, co dziadowie stracili, odzyskać; przemysłem rodzimym Moskwę zrujnować — cios bezkrwawy, a pewny, — tak prawil po dworach — do handlu, do fabryk sąsiadów zachęcał.

Za tęgą głowę i dzielnego obywatela uchodził w opinii, bo i ziemi i grosza przysporzył, a brzydkim nie splamił się czynem, honor cenil — po dziadach. Oczywiście, to i owo w obowiązkach spadłego honoru musiał odmienić, złagodzić, a że za postępem szedł, wyrzec się różnych staroszlacheckich przesądów. Gorzelnię już miał, o tartaku zamyślał, z chłopą i ziemi, ile mógł, tyle wycisnął, tedy obywatelem był godnym i dobro kraju, ale przecie bez krzywdy dla siebie, na celu mającym.

Przekonań politycznych pana Walerego nikt nie znał dokładnie; to pewna, że politykiem był wielkim, bo i Wielopolskiego rozum pochwalił, i zamknięcie Towarzystwa Rol-

niczego za klęskę uważał; podatek rządu narodowego opłacał w dwójnasób, i z władzą rosyjską, za pan brat, żyć umiał. U naczelników, że tancerzem był sławnym, kontredanse prowadził, a w domu, w zaufanem kółku sąsiadów, jak przy szpince siadł, jak „Jeszcze Polska nie zginęła” huknął, szyby drżały i serca. Ściskali go wszyscy ze łzami:

— Niech tylko oni... z tą wiarą, z tem uczuciem zakrzykną, a kosy w garść, to przepędzimy Moskali za Ural! Za Ural, panie łaskawy! My, panie... od morza do morza...

Zaś w ciszy małżeńskiej alkowy, pan Walery jejmości się zwierzał:

— Tak trzeba, jak można, a inaczej nie można.

I dobrze, i spokój, a w sercu i w myśli porządek.

Jedna tylko troska pana Walerego gryzła: syn do lasu się rwał. Aż dziw, bo ojciec, od lat dziecinnych, na kupca go sposobił, umiowanie tego zawodu zalecał, a wiedząc, że nie śpi лихо, a zwłaszcza dziedziczne, od konia strzegł, a broni tknąć wolno nie było. Przeto chował się pan August wedle myśli ojcowej, zmógł w sobie rycerską ochotę, szerokie bary nad książką handlową pochylił i ślęczał tłumiąc, co w myślach mu grało. Lecz gdy pierwsze hasła ozwały się w lasach, rznął młody dziedzic księgi o ziemię i ojca za nogi...

— Ja pójdę... obowiązek... ojczyzna!...

Stary „blazna” zaryglował w lamusie i na gawędę tam chadzał. Argumenty miał silne, czarno na białem wykładał niepodobieństwo spełnienia szalonych zamysłów. Już błagał i groził, ale coraz gniewniejszy powracał od syna.

Służba szeptała po kątach:

— Stary, musi, do lamusa dziś chodził, bo okrutnie sierdysty.

Aż jakiegoś poranku larum się podniosło we dworze: la-

mus otwarty, ani śladu panicza, tylko po nim karteluszy i kwiatuszków garstka.

Krwisty był stary, uder go cisnął o ziemię, ale nie zmógł duszy rogatej. Gdy oprzytomniał, dwudziestu chłopów na konie, pościg zarządził, sam śledztwo rozpoczął, a że skory był na rękę, sądny dzień nastał.

Kto, co i jak? Krzyk, lament, ale okazało się rychło, że dworska Marynka jakiś tam miała w lamusie, pono serdeczny interes, a potem — „zabaczyła o ryglu”.

— Laboga, o Jezu! skusiło mię serce, a tera ino do wody mi iść, bo już i życie niemiłe...

W stajni, sam dziedzic różgi jej liczył, a gdy krwią spłynęła dziewczyna i febra odeszła go nieco, ruszył do dworu, gońców wypatrywał. Długo czekać mu było, klął Boga i ludzi, co pod ręką miał, tem ciskał, kaleczył, aż siny legł, i po cyrulika...

Nocą, z daremnego pościgu zjeżdżać chłopci poczęli. Żaden przed nim stanąć nie śmiał, dopiero rankiem włodarz do kancelarji ich spędził. Stary powiódł krwawemi oczami.

— Gdzie reszta? — i chłop z brzegu pod ścianę się potoczył. Splunął zębami i jęknął:

— Do Langiewica, juchy, przystały...

Oniemiał dziedzic, osłabł z wściekłości. Bez tchu opadł na krzesło.

— Precz! — szepnął.

Chłopstwo we drzwi runęło.

W dziedzińcu folwarcznym, gdy już byli od dworu daleko, okrwawiony mruknął:

— Naści wolność i pańskie kochanie...

— Samiśta winni, bo trza go było do dworu odstawić.

— I jakże, kiej tak prosił serdecznie; toć nie z kamienia je człowiek.

*

Stary dotkliwej straty nie mógł przeboleć, bo to ośmiu chłopu naschwał, ośm szkap nieładajakich utracić, zwłaszcza na czasy ciężkie, niepewne, to i dla bogacza krzywda nie mała. A gorzej to jeszcze, że na nic, jakby w wodę rzucił szesnaście sztuk bydła roboczych. Zżywał się, ciskał, do Langiewicza list wysłał, okup chciał dać, a gdy w odpowiedzi przyszła groźba batogów, zaciął się, znaku bólu nie dawał. Tylko zemstą dyszał, w cichości, i nią się lubował.

— Już ja cię... panie sandomierski wojewodo... dostanę, ale cię oddam, żebyś wedle zasługi... poszedł wysoko...

— Wysoko... Między trzy bale — radował się stary, wśród nocy bezsennych snuł różne zamysły, dnia czekał, lecz nocne myśli ponure blask słońca rozpraszał.

— Nieszlachecka rzecz: zdrada!

— Nie zdrada, ale obywatelski czyn, boć on przecie tysiące na śmierć pewną prowadzi... — tak sobie rozważał i w myślach się krzepił; ale: zdrada! — mówiło mu słońce — ród splamisz na zawsze! — groziły ze ściany ojca i dziada portrety.

— Nie ja go w matnię wprowadzę i wydam, to inny...

— Niech sprawi to inny bez Boga, bez rodu.

I gryzł się stary, nienawiść go żarła, a że bezsilna, tem sroższa. Już końca nie widział udręce, zmęczony, osunął się, pobałdł i — zamilkł.

— Z Panem Bogiem rozmawia. Takusieńki był stary, ino lżejszy na rękę... — nie znając przyczyny, a sądząc ze skutków, prawda dawna służba we dworze.

Pod czas ten, Langiewicz, po zwycięstwie staszowskiem, pragnąc Jeziorańskiego oddział pod chciwą władzę zagarnąć, z borów wychynął i pod Małogoszczem, z dwóch stron osaczony, poniósł stratę dotkliwą. Tam jedynych armat wyzbywszy, z olkuską wiwatówką ruszył ku lasom Pieskowej Skály, gdzie, jak każe tradycja, po klęsce bankiet spr-

wił dla sztabu i wiary. Miałby wnet do drugiej uczty sposobność, gdyby nie Dąbrowski i Pióro, którzy nieruchawych a chwiejnych kosynierów dzielnym przykładem zagrzali do boju. I ruszyła moc chłopska, jak zawsze: niech jeno ruszy, a nie ostoi się nic, zmiotła kosami doszczętnie księcia Sza-chowskiego kolumnę.

Spełnili swoje, odeszli w cienie szeregów, a w blasku bohaterskiej sławy, Langiewicz ruszył żwawym marszem do Goszczy — na teatr.

Bo — teatr, spędzonego wojska czworobok, sztab świętny, fanfary, łoskot ocalonej armaty i — *vivat dictator!*

I wiwat trzech tysięcy poleciał we światy. Złość, śmiech, żal w duszach obudził, lecz zato wojsko powstańcze ból w sobie zaparło, i wobec świętej sprawy — rzadki raz w Polsce — nie było niezgody. Odkrzyknęli wiwatem i Traugutt, i Sierakowski, Brandt, Lüttich, Mackiewicz, Taczanowski, Mielecki, Jundziłł i Frycze, a z nimi Nalibocka puszcza, lasy Bilińskie, ciemne parowy, kieleckie kryjówki, gdzie z kilku ludzi składały się — partje.

I nikt w walce nie ustał, nikt niezapomnianego *veto* nie krzyknął. Zbyt wiele zapалу miał w sercu, wiary w spełnioną powinność, aby ten *vivat* mniej szczery, a więcej konieczny mógł zachwiać myśl jasną, odczuciem krzywdy zamroczyć.

Kilka dni na urzędzeniu widowiska zbiegło, poczem wypadło z Goszczy ustąpić przed gośćmi nie w porę, którzy już krążyli naokół, skupiali się, aby pewniej na silny odział uderzyć. Tedy, pod Miechowem, w Sosnowku, przysięgi na wierność dokonał dyktator, i ruszył znowu, bez celu i planu, lecz z majorem Bentkowskim, Jabłońskim i srogim Czengierem na karku.

W Chrobrzu, posiadłości Wielopolskiego, gdzie stanął

obozem, wiara, zaślepiona nienawiścią do magnata satrapy, trochę z kozacka sobie poczęła.

Gdy rabunkowi przeszkodził szczęśliwie Winnicki, zajrzano do lochów. I tam już się poczęła zabawa, której wzbraniać nikt nie śmiał, bo i któżby się oparł, gdy wytoczono beczki wystalego dębniaku, cenne gąsiorzy ze złoty-płynnym, jak oliwa gęstym tokajem, wielkie kufy win wytrawnych węgierskich, zsiadłe pękate grabówki ze starką, i mchem porośłe staruszki, wojny z Siedmiogrodem pamiętki. A nie brakło i słodkich alikantów, małmazji, likierów francuskich, bo margrabia, pan z panów, w godnej krwi darach smak delikatny dziedziczył i kunszt zachowania trunków rozumiał.

Długo się opierała piwnica, mimo, że z górą trzy tysiące ludu na nią naległo. I długo w noc zaciągnęła się uczta, znów rozpoczęła od rana, a — wiwat, i — na pohybel, i „Jeszcze Polska nie zginęła“, raz po raz, grzmiotem wesela huczały po łąkach Nadnidy, tak długo, aż odpowiedziały im nagle — granaty.

Czengiery na wzgórzu ustawił działa i prażył nieciosłonią równinę.

Jęk rannych zmienił wiwaty, lecz powiew śmierci, w porę, biesiadników otrzeźwił. Ruszyli strzelcy z dzielnym Czachowskim, Rochebrune obok, aż pod celnym ogniem sztucerów zamilkła baterja. Do odwrotu jej grał Dąbrowskiego mazurek.

Langiewicz znowu się cofnął. Po szumnej biesiadzie popasał w Weleczu obrzednio, jako że wozy z żywnością, co gorzej i z amunicją, wśród pierwszego, pod Chrobrzem, popłochu, gdzieś w lasach przepadły.

A nocą marsz do Grochowsk, na pierwsze ważne zwycięstwo, i ostatni akt „dyktatury“.

*

Dobry jednak był żołnierz ów pułkownik Czengiery: za ledwie z pod Chrobrza się cofnął, już obóz w Grochowskich bystro przewidział i szerokiemi koliskiem opasał.

Od Welecza wsparł go major Zagriażskij, z Wiślicy Sorniew już ruszył, czekano tylko Bentkowskiego kolumny od Nidy.

— Ten się nie spóźni, — mówi pułkownik — nie lubi Polacków Kazimir Stanisławowicz Bentkowskij.

Jakoż na lewy brzeg Nidy major piechotę przeprowadził pomyślnie i zamknął nią lukę w stalowym pierścieniu bagnetów.

Poza pierścieniem, bocznymi drogami, ciągnął major Zwierow leniwie. Nie miał jeszcze rozkazu, aby z Czengierem się łączył, a że dobroniuszny był człowiek, mawiał otwarcie:

— W waszym kraju się rodził, opaliaczył się trochę, nie chcę waszych mordować, ale — ot, z kozaczkami pohulać ja lubię.

I hulał, z kozaczkami, po dworach, w pień chlewy wyrzynał, całe kurniki troczył do siodeł. Gdzie obywatel bogatszy, kontrybucję nakładał doraźną, a potem „raskłaniał się“ i „za bezpokojstwo“ przeprosił:

— Ot, czas, on wojenny, prosz pana...

Bić lubił, ale jak mawiał, „bez złoby“, tedy, gdy biedaka, co nie rad był się rozstać z groszem na czarną godzinę, rozkładali kozacy i bili, major go „sigarkami“ częstował, z okrwawionego żartował:

— Ot, sławno byłoby teraz solju posypać, ale pan do bry, paszuka kreditek w kamodie, i wypije z majorem, na zgodę.

W dobrym, jak zawsze, humorze był major, gdy mu kozacy Grzybowskiego przywiedli. Pochylił się z konia i po plecach go zlekka uderzył.

— Nu, powiedz, milejszy człowieku, zaczem ty do lasu przekradał się? Jak ojcu ty powiedz? — — gałubczyk.

— Wiadomo, za czem, do lasu. Po chróst.

— Po chróst!... A jaż dla ciebie, mój miły, już chróst przysposobił, ot widział... — i major na suchą gałąź starej, przydrożnej gruszy wskazał. — Sławny on, suchy; ciebie moje kozaczki podsadzą i od tego chróstu ciepło tobie będzie... A? Miły?

Chłop drgnął i mruknął, w bok patrząc:

— Jak ta komu sądzone — nie minie.

— Nu, a powiedz ty mi, dobrzejszy mój gospodarzu, ile u was w lesie powstanców?... Myż za was, za waszą wolę wojujęm, a prędko z panami skończym, wam lepiej, bo ziemię wamże zaraz rozdziela. Ty słyszał?

— Gadali...

— Nu, i prawdę gadali. Powiedzże i ty teraz prawdę, ile ich w lesie?

— W lesie nie masz nikogo, a co było, do Langiewicza już przeszło.

— Nu tak... A pocóż ty do lasu szedł?

— Toć mówiłem: po chróst.

Zniecierpliwił się Zwieriw, na kozaka skinął, ten na arkan chłopca ku sobie pociągnął i nahajem z wysoka przemierzył.

Jak iskry, gdy prysną z pod kopyt, zamigotały oczy starego i wnet sznury wżarły się w ciało, do bólu, do jęku.

Ciężka droga znów biegła pod górę. Zmydlone konie ustawały u armat, knut świstał i rwała się uprzęż, a coraz zwawiej i głośniej rozlegały przekleństwa, oczywiście, ku powstańcom zwrócone. Bo przecie to oni, takie syny, umyślnie drogi psują, zabierają furazę, jak mogą, szkodzą naszemu bratu, jeszcze śrutem, jak do kaczek, strzelają.

— Oj, naród, naród! Dobrze tobie, spokojnie, a ty... —

i z melancholją rozmyślał znów się łączy przekleństwo, znów zaparła armata w wyboju. Ledwie ją stamtąd dźwignęli, w tem samem miejscu bryka taboru pochyliła się nagle, zaważyła chwilę i powoli, jakby zmęczona, ułożyła na drodze. Za nią przystanęły furgony.

— Mówiłem, — do młodego podporucznika zwrócił się major — poco te wszystkie maszyny, bagaże wozić ze sobą. Dajcie trzy tysiące kozaczków, trzy tysiące nahajek, a w tydzień zrobię porządek. I Annę na szyję dostanę. Ale co im tam mówić, kiedy wojnę zachcieli prowadzić. I z kim? Z bosonogą bandą.

Lecz co to? Ze wzgórza, porosłego brzezina, suchy strzał buchnął, i drugi, a po nim cała linja kłębków dymu wyrosła. Zakotłowało się w wojsku, kilka koni dragońskich luzem popędziło przez pola.

Major przybladł, ochłonał, w mig sprawił kolumnę, dymem zasnęła się droga. Gruchnęły śpiesznie odprzodkowane armaty, raz jeszcze i — raz, karabinowym ogniem zmienione, i — cisza. Brzezina tylko się zlekka kołysze, ptak wrzasnął, kot pomknął, wśród żołnierzy odezwały się śmiechy. Jeszcze raz zaszumiały kartacze, major kozaków rozrzucił po wzgórzu, pchnął do lasku, na zwiady.

Lecz głucho, tylko rodzime, macierzyste przekleństwo moskiewskie, na różne głosy, na różne westchnienia, wznosi się z szeregów. Ciska się koń ciężko zraniony, pojękuje żołnierz.

Dumnym truchcikiem, na wysoko zdartych szkapach powracali z brzezinki kozacy. Odłączył się od nich brodaty dziesiętnik i salutował:

— Nikawo nie okazałoś, wasze — skorodje.

— Nu i sławno, — uśmiechnął się dowódca.

— Rady starrratsia! — huknęły szeregi.

— Ot tobie i wojna. Strzelają, kilku skaleczą, i w nogi...

— Ale sami uszli bez straty.

Major zastanowił się chwilę, potem surowo na młodzieńca spojrział, i ruszył oddziałem.

Za brzezina, z poza smugi snującego się dymu, miły uderzył go widok. W drzew kępie, pod bładem marcowym słońcem, złocił się dworek, a że pora obiadowa była, uśmiechnął się Zwierow i do Grzybowskiego zwrócił.

— Ej, kochanienki, a czyż to chata?

— Wiadomo... Pana Kozłowskiego, dziedzica.

— Ot, co dziwnego, że u was tylko pan Kozłowski, pan Baranowski, Kurowski. Ni jednego Lwowa, a wsio miełkij skot.

Prychnął nieśmiało „wzwodnyj” opodał idący, lecz gdy major ku niemu dobrotliwie spojrział, szerokim śmiechem buchnęli żołnierze. Żwawo kroku poddali, przeczuwając obfity posiłek, daj Boże rabunek, bo major łaskawy, to może i — pogulajut do woli.

Na płaskich i, jakby glinianych twarzach kozaków już błysły dziwną jakąś bezmyślną drapieżnością czarne ziarna oczów, a gdy major na „uradnika” skinął, głowę w kierunku wsi poruszył, a ten rwącą się szkapę na dwa boki nahajem obłożył i pomknął, zaskomleli, nagle jak spuszczone ze sfory ogary, ruszyli za nim z kopyta. Już między ciche chłopskie chaty, z chmurą pyłu, wpadli i gnają. Stada ptactwa przed nimi, ukasane, wrzeszczące baby, ogłupiałe krowy, cielęta i psy, z rozpaczliwym jazgotem kryjące się w opłotki. Pisk, skrzekot i wycie, a nad wszystkimi głosami wsi przerażonej, skowyt radosny. Piki zniżyli i pędzą, a raz wraz, pod kopytami, w kłębach piasku, zakotłuje się ciemny łach starowiny, błysnie dzieciak płótnianką, ale nic to, bo wolny sokół — Doniec serdeczny, zna swoje prawo.

Nagle, z poza chaty, jakiś rozpaczliwy strzał buchnął,

pędzący tuman w miejscu się zwinął, w mig z cizbą koni kozackich zawrócił i gnał już do swoich.

*

Miedzy zabudowania folwarczne padł głuchy łoskot, i jednocześnie pod ziemią się ozwał, aż zadrżała zgrzybiała stodoła i dzieci-śpicherki.

Chłop, idący od pola, drgnął, liczy:

— Dwa!... cztery!... — ruszył sporo, w podwórze.

I spojrział naokół, wylękniony, zbłądły.

Parobek wiadro u koryta przechylił, zamarł i słucha. Porządkowy kół ciosał, u wióra, siekierę zatrzymał, opodał dwóch za łby się wzięło, z rozstawionymi rękami zastygli, bez ruchu.

— Raz... dwa... trzy... cztery...

Młot w kuźni ustał, nawołujący od dworu głos w pół imienia urwał, a konopiasty dzieciak brzechtający w kałuży, patyk opuścił, głowę zwrócił do pola.

— Bum... bum...

Wszystkie sprawy ludzkie pokryła cisza i trwała chwilę, aż nagle ostry krzyk w nią uderzył, płaczem się rozległ:

— O Jezu! O Święta Panienko!

I w tej chwili już gwar powstał, z budynków wybiegli mroczni parobcy, baby rozelkane. Dwóch siadło na szkapie — pognali przez pola.

U drogi gromadka kobiet. Na kolana padły. Jedna z nich głośnie odmawia litanję, inne, czołgając się po ziemi, dra chusty na głowach, błagają.

— Zmiłuj się nad nami!

— Wybaw nas, Panie!

Na chrapiącej szkapie, gubiąc płaty piany za sobą, chłop sadzi. W rozkołysany bólem i trwogą tłum cisnął dwa słowa:

— Moskale idą!

I pomknął do dworu, do jadalni wpadł.

— Moskale idą!

Kozłowski od stołu się porwał.

— Co? Gdzie? Kto powiedział?

— Widziałem... Od brzeziny — chmara.

Dech w nim zaparło, jasne oczy wylupił, w twarz dziedzica patrzył, bez trwogi. Strach nad nim, mocniejszy.

Zabiegali we dworze. Zapłakana klucznica, pijany kucharz, ogłupiałe zmywaczki, w jadalni zjawili się wszyscy, i w krzyk. Lecz wnet pan Walery przytomność odzyskał.

— Kufry tutaj, a w mig! Beczki pod srebra! Żywo!... Ogrodnika do mnie!

Wśród rozpaczliwej bieganiny, rozgwaru, przekleństw, rozkazów, brzęku tłuczonego szkła, w kilkanaście minut kredensowe srebra, herbowe półmiski, puzdra z przyborami, cenne toaletowe szkatułki, zarzucono, jedno na drugie, w wielkie dębowe beczki. Pan Walery każdą pieczęcią sygnetu opatrzył, smołą zalał ogrodnik, i już parobcy spuścili je do stawu, na sznurach.

Potem otwierano nie bez trudu stare sepety, kute w misterne floresy, kufry jak landary wielkie, od dawna zawarte, tchnące chłodną wilgocią, i szły w nie pani jedwabie, koronki, pasy lite, szale tureckie, stare kaszmiry. W największem poszanowaniu, przez lata, utrzymywane pamiątki ładowano byle jak, byle prędzej...

— Już są na grobli! — we drzwi jadalni huknął chłop dworski.

— Starą kuźnię minęli... laboga! laboga! — biegł drugi.

A od wsi co chwila zjawiali się ludzie; blade, drżące, babiny z płaczem ścisnęły kolana dziedziców, prosząc o przyjęcie do przechowania najcenniejszych skarbów rodziny. Ta welniak kraśny przyniosła, na dwa palce gruby, tkany przez lata, tamta korale, stara komornica — jedyną

własność, kieczkę do trumny, inna biedaczka — zawiązana w szmatki obrączkę i trzy srebrne ruble.

Zżymał się pan Walery, ale dobra pani na wszystko miejsce znalazła, nawet nowe buty juchtowe, na kijku, zachowała dziadowi, tylko zawahała się chwilę, gdy drugi — wielki kozuch skudlony do rąk jej cisnął.

— Ni baby, ni dzieciów, jasna dziedziczko... To jedno...

Od czworaków, już wieść o kozakach przybiegła. Niedomknięte, powiązane sznurami kufry, za ogrodnikiem, parobcy ponieśli, pan Walery po ścianach spojrzał, mruknął do żony:

— Kościuszkę na strych. Portrety ze ściany zdjąć, bo oni wspomnień nie lubią.

— No przecież dziadek, babka... Cóż to im szkodzi?

— Nie wolno mieć dziadków.

I dodał po chwili:

— A nie wyrwij mi się z jakim głupstwem: z miłością ojczyzny, czy tam z Polską od morza do morza, bo chałupę nam spalą. U nich nie kupić...

Chwila jeszcze, i wśród przykłej ciszy, jakgdyby wieść cała wymarła, z parsaniem koni i gwarem żołnierzy, za-tętniały kopyta, dźwięknął krótki głos trąbki, na postój.

Spieszeni dragoni, w tej chwili kopę siana rozrzucili w dziedzińcu, koniom zwolnili popręgów, major łańcuch widet zarządził, i pogodny, uśmiechnięty, jakby do sąsiada w odwiedzinę przybył, krótkim kłusikiem ku dworowi ruszył.

„Otrekomendował się“ z czynem i orderami, parę razy dziedzica za rękę uściśnął, pani domu ucałował obie, o dzieci zapytał i swobodnie za stołem siadł.

— Ja-ż brat wasz, dobre państwo moje, z matki Polki, tutaj zrodzony, starinnego pokroju człowiek, wszystko ro-

zumiem. Pod księciem Konstantym służbę rozpoczął, pił z ułanami... Oj grzechy, grzechy...

Zamyślił się chwilę i czekał, aż oszołomiony gospodarz przyjdzie do siebie, tymczasem oczami po komnacie wzdając, wzrok na samowarze zatrzymał.

— Ot, sławna maszyna!

— Zaraz, zaraz!... A jakże...

Zakrzętnął się gospodarz, pani wysunęła do kredensu, obok, i za chwilę już pokojowej dziewczynie, w sztywnym jak skóra perkalowym kaftanie i z nasadloną głową, „od gości“, z rąk leciały talerze. Co spojrzy w stronę majora, wnet ją cosik zamroczy, i jakby kijem wyciął przez ręce a ten przygaduje jeszcze:

— Ot, szkodę państwu przyniosła, a zdrowa, jaka! He, he, he... pan Kozłowski... — i oko przymrużył — żyć nie umierać waszemu bratu... Babski wy naród! U was i adjutanty — baby.

Na stole już złoto-bursztynowy płyn błysnął w karafce, obok polskie pocziwe śliwki z kminem, na patyczki nadziane, skromnego wyglądu smakowite gomółki, serki rozmaite, kolorem i kształtem odmienne, płaski chleb wiejski, róża w maśle rzeźbiona, przybór do kawy, baba dorodna, wreszcie z kuchni przyniesiono półmisek.

— Niechże pan pułkownik pozwoli.

Zwierjow powstał, pałasz odpasał, w kącie go ustawił, ręce zatarł i po krótkich, strzyżonych wąsach mlasnął językiem.

— Ot, za co was lubię! Za prosty obyczaj... — zerknął po stole. — Nu, gospodarzu milejszy, wódeczka aż mruga.

— Oj, wytnie on mi kuranta, wytnie! — zatrwożony tą dobroduszością, myślał Walery, przepijając do gościa. Ten wypił i kołysząc się gładził po piersiach.

— Aj, sławna! Aj, wodka, tak wodka... Soli szczepotkę, i zaraz po drugiej... Wy z sercem, ja z sercem...

W podwórzu nagle podniosły się głosy, konie gęsto zadrżały, a za chwilę na ganku brzękły ostrogi, we drzwiach salutował dragon:

— Pułkownik kniaź Zagreba-Trockij.

Zaledwie mocny zapach stajenno-okowito-dziegiowy po jadalni szerzej się rozszedł, już meldowany skłonił się zlekka, do majora szedł z powitaniem.

— Paweł Grigorjicz — kakimi sud'bani! — Zwierjow za ręce go ścisnął. — Ot niespodzianka, ot tobie gospodarzu radość! Jasny kniaź Paweł Grigorjicz, — a tu właśnie wódeczka, i biez ceremonij, pułkownik.

Kniaź niedbale rękę gospodarzowi podał, pani się skłoniła.

— Madame!

— Nu, aż madamy. My swoi ludzie, siadaj i jedz.

Pułkownik rosły, mało rasowy, choć urodziwy, długie bokobrody rozgarnął, na opiętym mundurze orderów poprawił, i dobrym francuskim językiem do gospodyni, o pogodzie, zagadał. Nie tłumaczył się zgoła, bo nie pojmował księżę pan, dla sportu i zasługi „usmirenja“ do Polski przybyły, aby, w zabranym kraju, za najazd domu, wypadało kogoś przepraszać.

Z dalszej rozmowy okazało się, że zwabiony wystrzałami, z pobliskiego lasu, gdzie z ogarami na powstańców polował, śpieszył z odsieczą. Po drodze spotkał pikietę, i miło mu z majorem trochę pogadać, a ruszyć, gdyż jakiś Oksiński z oddziałem się błąka, ludzi mu już urwał sporo, a sam się jakoś wywija, oczywiście do czasu, bo dziś, jutro, czekają go baty i sosna.

— Ja go znam, chitry on, bestja... Ale wódka — car wódka... Ej, Paweł Grigorjicz!

Na stole zjawily się z węgierskiem winem smukłe bocianki, i żwawa potoczyła rozmowa, choć gospodarz nie wielki brał w niej udział. O stracie, jaka go czeka, rozmyślał. Boć że wydrze krwawicę major, to pewna, lecz ile? — i co zrobić, aby się choć w części od klęski uchronić?

Pani płonęła, to bladła, płaczu serdecznego bliska, wśród tych ścian nagich, obok drwiących oficerów moskiewskich, do których żywiła wrodzoną nienawiść i dawną obawę z tych czasów, kiedy to: — przyjdzie moskał, zabierze cię... — straszyla ją niańka.

— O, jaki brodaty wielgachny, oczy mu się świecą... — odżyło w mózgu wspomnienie. Nagła ciemność spłynęła, i zdało się jej, że w noc bezsenność utkwila oczy w serce okienic i drży, bo tam, za niemi, on stanął, już wszedł, już do łóżeczka, z workiem, się skrada... Zatrzepotało w niej serce, głowę podniosła: wielki, brodaty tuż przy niej, i patrzy...

Krew zbiegła od twarzy, chłód w skronie uderzył. Chwielej się na nogach, wyszła z jadalni, a gdy płacz zbawczy, kobiecie buchnął jej z piersi, przyszyła ulga, z łez falą.

— A ja tobie co powiem, Kozłowski... ty mnie się podobasz. I choć ty do brzeziny miateżników puścił, ja tobie za chleb i za sól — miersi! Ale — ty człowiek z głową, rozumiesz... — po karafkę sięgnął, wódki się napił. — Jaż dobrze mówię, sam, ty, rozumiesz, co za nasze bezpokoństwo nam trzeba?

— Nie wiem, doprawdy...

— Nu, połno! Sercem za serce, ja człowiek prosty. Dziesięć procentów od majątku dasz...

— Gwałt rozbój! — od stołu gospodarz się zerwał.

Wtedy książę-pułkownik ciężkie ręce na ramiona mu oparł, i zimnym, bladym wzrokiem w pociemniałą twarz spojrział.

— Kazakow kliknu...

— Tak zrozum-że, serdeczny, co my bież gwałtu prosim...

*

Na zmrok się już miało, gdy w dziedzińcu zadźwięczał skoczny, radosny głos trąbki.

Z piekarni wytoczyła się ciżba dragonów, a z nimi w poszarpanych chustach, kilka rozchełstanych, sinych dziewczuch folwarcznych. Od wydartych z zawiasów, toporami rozbiitych drzwi gorzelni zataczali się, wyjąc, kozacy. U stodoły, wśród rozrzuconych gnatów wołowych, karabinów ustawionych w kozły i pokłutych prosiąt, pod chmurą pierza, obozowała piechota, a opodał, nad pociętymi worami z owsem, postępując drzemały konie.

Przy studni, w cieniu koryta, na sino-różowej, kwiecistej pierzynie, rozciągnął się młody kornecik. Upił się z żalu, że nie proszono go do dworu na obiad. Nad nim, z wiadrem w rękach, krępy „dieńszczyk“ rozmyślał: — lać — nie lać; — drugi, za ręce, za nogi, szarpał śpiącego.

— Ej, Wasze bła-aorodje! Signa!...

Oficerek blade, senne oczy otworzył na chwilę.

— Ja, dwarianin... Ja... Ja formy znaju... Plewat' mnie na ichnij abied...

— Lej, Wania!

Chmurny pan Walery wiódł drogich gości. Burzyła się w nim wściekłość wobec tej przemocy, której nigdy dotąd nie uległ. Nie miał w domu sumy żądanej, więc srebrem ją trzeba było dopełnić i klejnotami, na resztę skrypt trzyniowy wystawił.

— On winien, przeklęty Langiewicz. Syna mi zabrał, Moskale za nim tu przyszedli... Poczekaaj!

A major żartował.

Kozłowskiemu w głowie się ćmiło, zaś w ramionach czuł moc taką, jak nigdy. Jakżeby kniazia w łeb grzmotnął, a po-

tem zadławił majora. I palce skurczyły mu się jak szpony, lecz odbiegła przytomność, gdy na krzywdę swoją spojrział w podwórzu.

— Zbóje — złodzieje!!

Śmiechem parsknął pułkownik i świsnął szpicrutą.

— Nie lubisz?

Nagle, krwią zaćmiony wzrok Kozłowskiego uderzyła postać skępowanego człowieka. Zbliżył się, Grzybowskiego rozpoznał.

— Toż twoja duszyczka, mileńki, a nam tylko kłopot. Co z nim? — do pułkownika major się zwrócił. — Sotniu goriaczych, Paweł Grigorjicz, i z Bohom...

Kniaź okrwawionego chłopca zmierzył i trzepnął zlekka majora po plecach.

— A zaraz bić! Stary obyczaj. Nic w was liberalizmu, Siemion Michajłycz.

— Starego pokroju ja człowiek, wiadomo.

— A ja zato nowy. Z duszy liberał i dawnego barbarzyństwa nie znoszę.

Skinął na przybocznego kozaka, ognia do cygara kazał mu skrzesać, poczem głową w stronę Grzybowskiego poruszył niedbale.

— Pawiesit'.

Podprowadzono mu konia, na strzemieniu się wzniosł, zręcznie krąg nogą zatoczył, a przełożywszy starannie cugle między palcami, osadził się w siodle.

— *Eh bien?* Żiwo, Taras!

Powlekli starego pod ręce kozacy, a za chwilę z pieśnią „o pszczółce“ oddział wioskę opuścił.

*

Stał syn Grzybowskiego, ręce zaciskał, aż stawy chrzęszczały, łbem w ścianę tłukł, chrypiał:

— Jezus Maryja... Jezus Maryja!

Obok drżący, blady Kozłowski na kołyszącego się zlekka, u belkowania stodoły, trupa patrzył i myślał o synu. Po chwili, ślaniając się, do chłopca zbliżył, ręce na ramionach mu wsparł.

— Langiewicz... Langiewicz ojca im wydał, — ojciec chłopów buntował... Rozumiesz?

Grzybowski suche, płonące oczy rozwarł szeroko, nagle blask zrozumienia przez mózg mu przeleciał, i chłop runął do nóg dziedzicowych.

— Jaśnie panie... Bóg zapłać!

Na leśnem uroczysku stał kmieć i kosę klepał. Aż dziwno, bo skądże w marcu jął się takiej roboty? I kosę miał inną, żelazo, jakby na śmiech, sztorcem osadził u drzewca, na cóż mu takie kosisko? A jeszcze wychapane zdrowo we środku, rdzą zjadłe?

Ale widać, że i takie żelaza do jakiegoś użytku, bo oto od lasu, z półtorasta chłopów wyległo, a wszyscy, na urząd, z takusieńkimi kosami. Chłopstwo, nie chłopstwo, bo siwe na nich czamary, ten i ów ma za pasem pistolet, a idą sprawnie, jak wojsko. I nie wiedziałbyś zrazu, co to za ludzie, choć coś, jakby znajomego w pamięci się błąka. Myślisz, do przeszłości sięgasz, gdzieś ty już takich ludzi spotykał, aż nagle, przed oczami elementarz dawny, w nim malowana postać wojaka, a podpisano: ko-sy-nier.

Opowiada ci matka cudne historie. O Raciławicach, o Stoczku, a tyś oczy w nią utkwiał, i słuchasz, aż ci serce zamiera.

— Ja będę taki, tylko urosnę!...

I oto urosłeś, tęgii chłop z ciebie, ale ci już oczy nie błyszczą zapalem, jak w dziecięcych marzeniach. Inne cele przed

tobą, inne widoki, a gdyś z dziwną kosą się spotkał, użytek jej odgadł, całą niepewność rozpaczliwej walki zrozumiał, już pilno ci z lasu, bo krwi szkoda i ofiar na takie szaleństwo.

— Z motyką na słońce — na armaty z kosą!

Nie jeden dziesiątek był takich w Grochowskim lesie. Pierwszym impetem porwany, młodzieniec szedł w bory, jadł, pił, przy ogniskach marzył, tu i owdzie prochu powąchał. Ale gdy przyszło ulec karności, znieść przykre słowo, na słońce spać głodno, a co najgorsze, wroga nie szukać, lecz przed nim, w pośpiechu, uciekać, wtedy niejednen poczuł się nieswojo i dalej obliczać, rozważać: A czy Francja napewno?... A czy karabiny przyjdą?... A jakież są siły ogólne?... I zawiedziony, z żalem do rządu, do Mierosławskiego, wkońcu do Cesarzowej Eugenji, przy pierwszej sposobności, z obozu umykał, unosząc dowód rzeczowy spełnionych czynów, chwałę dzieci i wnuków — szafirową konfederatkę, z białym orzełkiem, dar ukochanej.

Ale o bohaterów wojny nie trudno, ma ich każda, najuboższa historia. Trudniej o cichą zasługę nikomu nieznaną rodzin, składających z każdego pokolenia krwawą ofiarę, na tym ołtarzu, przy którym im się nawet modlić nie wolno. Trudniej o dumny ból matki, żegnającej ostatnie dziecko, na pastwę oprawców cytadeli przez nią, świadomie, chowane, i trudniej o sto lat beznadziejnej walki dla walki, niż o chwałę bohaterskiego natchnienia, choćby to była — szarża u Somo-Sierry, duma polskiej historii.

Zatem — wróć, chłopcze, a choćbyś dał życie, to dałeś — jak w Polsce — niewiele.

Huczy życiem bór Grochowski. Dźwięczą młoty kowali, nieokute kosy prostują. Rąbią topory, jodły do zasieków krzeszą, pryskają ostrzone pałasze, a z tysiąca piersi, jak w tanecznym poskoku, śpiew leci, przez bory.

Od folwarku, na dzielnych szkapach, kawalerja się sypie, wnet w półkole się zwarła. Czapski galopem przeleciał, konia wparł w ziemię.

— No, wiara, a nie zróbcie mi wstydu, gdy ruszymy w ogień! Szkapę krótko, a mocno; szabłą daleko, a cięto. W szarży iść ławą, a nie na wyścigi. Równaj się marsz!

Cisnął koniem jenerał, a za nim, jak wichler, półkole.

Potem dwa kręgi rozwinął, znowu je złączył, w kolumnę ustawił i wysnuł z niej szóstki. Z nich barwny prostokąt zakolysał się w klusie i nagle rozsypał. Skinął szabłą, znowu ich zebrał i murem ustawił.

— Niezgorzejl!

I już radosne, a rzewne: „Ułani, ulani, malowane dzieci“, a szary piechur patrzy wilkiem, zpodełba i klnie „kome-djantów“.

O to nie trudno, gdzie pan z chłopem wzajem się boczą, nie ufają sobie, gdzie co człek to inny, i z serca i z myśli, a nawet z ubrania.

Szumny panicz z chartami do obozu przybył, a przy nim żołnierz-kolega w świtce, przepasanej rzemieniem, i w łapciach, ponury poleszok, dalej Włosi i Węgrzy w kapeluszach Kalabrii i ciemnych opończach. Obok szare samodziałowe czamary bez potrzeb i sute bekiesze; aksamitne kurty i giezła zgrzebne; pańskie cholewy, srebrne ostrogi i bosc pięty, na leśnych korzeniach i skalnych żwirach podarte.

A broni! Belgijskie sztucery, rewolwery Colta, samopały szwedzkie i dawne krucice. Dębczak, co z korzeniem się zrósł, karabela kamieniami sadzona i pałka okuta, noże myśliwskie, dubeltówki misterne, obok garście żyłaste, w których nic, oprócz mocy.

A jednak niech się tylko wśród różnobarwnych, różnoidalnych szeregów sztandar amarantowy z białym orłem

rozwinął, a „do ataku!” zabrzmiało, wszystkie małe, tłumione zawiści, niesnaski, niby górskie ruczaje, razem gdy spłyną, potężniały w żywioł, druzgocący i dar strategiczny, i karność wojskową, i liczbę.

Niestety, choć wiary nie brakło, nie zjawił się cud.

*

Po szczęśliwym przedarciu się przez placówki moskiewskie, Wicek Grzybowski, dostatnio odziany, i z niegorszą rusznicą, zaraz do oddziału Rochebrune'a został wliczony, a że od przednich straży szły wieści, jakoby nieprzyjacieli z południowej strony, na strzał armatni się zbliżył, chłop tylko bitwy czekał, licząc, że w niej, gdy chwila odpowiednia się trafi, żrącą zemstę nasyci. Zaś Langiewicza winy był pewnym zupełnie, bo cóż mieliby w tem Moskale, aby człowieka, nieprzychylnego powstaniu, zabijać? Niejednego już z chłopów zgładzili powstańcy takim sposobem, ale śmierci ojca nie daruje Grzybowski, choćby własną głową zapłacił.

Ze swej strony czuwał i pan Walery nad naczelnikiem powstania, a choć chłopskiej zaciekłości ufał, nie mógł ukoić nienawiści własnej, która nad wszystkie uczucia w duszy urosła. Rozrzutnym nawet się stał i na wszystkie strony płacił, byle o każdym kroku Langiewicza mieć pewną wiadomość. — Syna mi porwał, batami zagroził, Moskali za sobą sprowadził — wrzało mu w mózgu, i oszołomiony wściekłością, na niebezpieczeństwo nie bacząc, ciągnął za wojskiem moskiewskim, w obawie, aby mu się nie wymknął wróg nienawistny.

A Grzybowski tylko chmurny łeb zwiesił, żadnych obaw nie żywił, bo śmierć za śmierć — wiadomo.

W obozie gotowano się do bitwy, wczorajsza jednak zachwała, śpiewna pewność siebie zmieniła się powoli w zwykły przed polem niepokój, drażniony jeszcze ciągłymi wie-

ściami, sprzecznymi ze sobą. To jenerał Uszakow, posiłkami wzmocniony, pod Grochowiska ruszył, to ks. Bagration, w czterdzieści armat, lasy otoczył; i żywa dusza nie ujdzie, to z oddziału Medema tuż-tuż awangardy kozackie widziano, — co chwila donosili chłopci, żebracy, druciarze. O Czengierym jednak słuch zginął.

Wieściom tym, pochodzącym od ludzi, których nikt nie znał, nie ufano wiele, wszakże przykre uczucie otoczenia przez wrogów ciążyło, i bitwę przyśpieszyć, czy przebić się, stało się ogólnem żądaniem, a gdzie niegdzie, od wiecujących gromadek, już ten i ów pokrzykiwał...

Langiewicz, jak każdy naczelnik powstania, musiał się jednak liczyć z żądaniami po polsku niesfornego oddziału, a że cofnąć się nie mógł, zaś rządząc się Skrzyneckiego teorią, bitwę za ostateczność uważał, tedy postanowił złamać siłą kawalerji cisnący go krąg i tą luką się przebić, pozostawiając piechocie obowiązek zaszczytny osłaniania odwrotu.

Tymczasem nastrój wojska chcąc zbadać, sadził przez obóz, jak zawsze na dużej miary kasztanowatym bachmacie, bo, że sam niskiego wzrostu, wielkie szkapy lubił.

Wśród wojska nie miał on miru, choć ludzi nie biął, jak to się w innych oddziałach, z konieczności, zdarzało. Grzeczny, lecz zimny, nie posiadał tych darów, którymi urodzony wojownik umie serca zjednywać. Wreszcie ostrożny był w ogniu, a że tej właściwości ogólnoludzkich instynktów żołnierz u swoich wodzów nie znosi, cichy szmer wzgardliwych uwag biegł przez niekarne szeregi.

— Cie-go, jak się nasrożył, niby zwierz na kołnierzu...

— Nie oblatuje jeszcze go straszek, ale ino bitwy poczekaj, to go nie uświadczysz... — i wraz drobny, czarniawy, z miejska odziany towarzysz czapkę w górę wyrzuca:

— Wiwat, dyktator! A w duchu — jakże inaczej.

Obok Langiewicza, na małym koniku adjutant — dzielna dziewczyna, równie jednak nie lubiana przez wojsko, choć i konia dobrze zażywa, z gwintówki strzela nie gorzej, śpi w hajdawerach, a w ogniu jej nie strach.

Z godnego rosyjskiego domu panna, cóż ją w szeregi powstania przywiodło? Miłość do obcej ojczyzny, czy inna? To pewna, że nikt pierwszej nie ufał, nie zazdrościł nikt drugiej.

Za nimi, w krótkim galopie, strojny sztab się kołysał, z szefem Bentkowskim u czoła. Sztab piękny, sławny sztab dyktatora, ze świtą, *guide*'ami, na białych, królewskich *bachmatach*.

Po zlustrowaniu obozu, wódz na adjutanta skinął, rzucił przez zęby:

— Czachowski, Rochebrune — do mnie!

W miejscu koniem sprawnie zwróciła dziewczyna, darń przysnęła z pod kopyt. Langiewicz na małą łysinę się zsunął, skórzany futerał z mapką Chrzanowskiego podał mu śmigły, jak sosna, ordynans.

Po chwili salutował pułkownik Czachowski. Dyktator od mapy, z poza okularów, podniósł oczy na niego i, jak to miał we zwyczaju, mówił nerwowo, pośpiesznie, co odbierało stanowczość i wagę rozkazom głównego dowódcy:

— Niema co czekać... Ścisną, weprą nas w bagna... — głową wskazał na moczar, rzadka olszyną i chojniakiem porosły. — Położenie najgorsze, trzeba się przebić... Tak... Nic innego nie widzę... — bystro w oczy pułkownika spojrział i dalej się śpieszył:

— Zebrać bataljon... Pułkownik Czachowski w tylnej straży zostanie... Od Welecza odwrót zasłonić, cofając się zwolna za główną kolumną... Od południa cała waga — Czengierzy.

Czachowski, znając ruchy nieprzyjacielskie dokładnie, usta otworzył:

— Wydaje mi się, że...

— Mnie się nic nie wydaje... Ja wiem! Z główną siłą idę na północ, tam przejdę... Rochebrune z żuawami przede mną... Oddział podnieść natychmiast, bez straty czasu... Bez narad, źle czy dobrze zrobił Langiewicz... Skończone!

Salutował Czachowski, a gdy kilkanaście kroków w las uszedł:

— Choroba! — splunął ze złością. — Cofać się, osaczony przedzierać, umykać, byle nie bitwa, aż ścisną, wytłuką... Psiakrew! — Oczy łzami mu zasły.

Z gąszczy Rochebrune wyszedł; wezwany, śpieszył po rozkaz. Niski, a zsiadły, w ruchach żywy i zwinny, całem sercem wojownik, wnosił w szeregi zuchwałą odwagę i humor swojej ojczyzny.

— *Eh, bien? Ça va?* — pod ramię pułkownika ujął i w oczy mu patrzył z uśmiechem — *Eh, bien...* Szakoski?

— A idź, dowiesz się... Znowu mamy uciekać!

— *Ah, non, par exemple... Ma foi, non!* — i naprzód się rzucił, lecz wobec wodza uległ rozkazom, bo żołnierz był dobry. Zęby zacisnął i syknął:

— *Sacré nom!*

Lecz słuchał.

W godzinę, za szpicą z trzech koni, po czterech w szeregu, dzielny Francuz ze swymi strzelcami ruszył leśną drożyną. Gwizdał i śpiewał, pół po francusku, z węgierską po polsku zagadywał wciąż ludzi i żartami krzepił. Znał Polaków, jak Polak, wiedział, że czego pierwszym impetem nie robi, to przegrał, i dlatego swoich żuawów, tak jakoś rozochocić umiał, że jak stanął przy pierwszym szeregu, nikt się nie zachwiał, i jak fala szli. Lecz i jak fala, gdy nie złamie odrazu zapory, rozpraszali się wnet. Kłął wtedy bluź-

niерczo, z pięściami się rzucał, bił, płakał, lecz gdy już wszystkie wady Polakom wymówił, a do wyjazdu się zbierał...

— *Mais, enfin... au fond... sont ils braves, les canailles...* — i z żuawami, po dawnemu, szedł w ogień, i znów po dawnemu przeklinał całą polską nację.

Kilka staj uszli za ledwie, gdy nagle parę strzałów buchnęło w pobliżu, trzask z gęstwy krzaków się rozległ i na okrwawionej szkapie wypadł jeździec powstańczy.

— Piechota!

W mgnieniu oka Rochebrune bojową kolumnę rozwinął, po bokach kilkunastu strzelców rozrzucił i z pierwszym szeregiem, jak zawsze, cisnął się naprzód.

Poprzez gęste zarośla sunął wąż rosyjskiej piechoty, a tuż przed nim na jasną polanę wypadli Rochebrune'a żołnierze. Bez komendy kilka strzałów pękło.

— Pal! — dym buchnął, zastukało po drzewach. Poskoczyli jeszcze, gdy rozsypała się echem równa salwa piechoty, i druga silniejsza, i trzecia. W mig, jakby w stado wróbli drobnym śrutem trzepnął, rozpierzchli się bracia i w mig już zakłębiły dymami okoliczne krzaki, szerokie pnie sosen barciowych, leśne wyboiska, a piechota w zaroślach, dymami zasnutą, równo raz po raz, wali salwami w polanę.

Opatrzyli się rychło, jeśli strzelać po dymach. Gdzie tylko biały kłębek się zwinął, wnet i ogień w tę stronę, ale gdzie to bezdusznej, ćwiczonej piechocie z polskim myśliwcem się mierzyć? Nabijanie nie idzie mu sporo, zato każdy strzał drogi, a z pewnego ukrycia, jakby w tokowisko walił. I coraz bliżej, a gęściej prażą zarośla, ziele ogniem piechota, lecz nagle się zwarli, pochyłili bagnety, i skoczyli pędem. Przed nimi, za nimi, las zagrzemiał, a z boku Rochebrune gruchnął setką zapaśnych sztucerów, — poprawił... aż skotłował kolumnę.

— Bij... Zabij! — krzaki ożyły, wysypało się mrowie szarych wojaków, z pałaszami wpadli w pierzchające bezładnie, a skupione w gęszczach, jak nabił, żółte szynele, pękate rańce, smrodne buciska.

— Pomiluj! Pomiluj! — błagały ręce, bagnety, z białymi szmatami.

— A juści! Będę cię prowadzał za sobą, takiś mi piekny! — i wała kolby bezbronných, pałasz aż zgrzyta, gdy więźnie w czerepie, krótkie noże sięgają głęboko, po życie, bluzga krew ciepła, kleista...

Jeszcze raz salwa, jeszcze kilka wystrzałów, — i już tylko śmiertelny chrap i błaganie: — pomiluj!

Ale nie rozumie litości ten, co jej nigdy nie zaznał. Przez oczy, krwią zalane, nie widzi ostatnich udręczeń, nie słyszy błagania.

— Bij! zabij! za ojca, za brata... — aż ręce bezwładne opadną. I legnie bestja w człowieku krwi syta.

Ucieka życie, zamierają ostatnie jego odgłosy. Śmierć biega i oczy rozwiera, a innym jeszcze na piersiach przysiadzie i — męczy. Po mchach, wrzosach, czarne kałuże krwi krzepną, a na nich roztrzaskana jasna myśl ludzka: miłość, marzenia, może najtkliwsze uczucia — błoto lepkie, cuchnące.

Chwila, i czarne ptactwo tu spadnie; u ciał martwych rozpocznie się walka o krwawy kęs życia.

Chłop w rozchełstanej koszuli krwawy pot z czoła otarł rękawem i patrzył chmurnymi oczami po przeżących się ciałach. Nagle dzika radość do piersi mu zbiegła, aż zawył śmiechem:

— Widzita, juchy, Moskale!... Widzita!...

I znowu zwykła chmura na czoło mu zaszła, łeb zwiesił, strzaskaną kolbę starej rusznicy opatrzył, sznurkami powiązał, medytował chwilę i do strzelby zagadał:

— Ale... ojciec źle robił, kiej swoich buntował... Źle robił, źle polskiej ziemi bronił...

Żwawo, z pieśniami, ruszyli naprzód żołnierze. Rochebrune gwizdał, lecz niespokojnie dokoła spoglądał. Czuł duszą żołnierza, że wróg blisko gdzieś czuwa. Na grobli do Galowa wiodącej aż dziwno mu było, że i tu cisza; jednak mimo przecucia, postój zarządził, i wnet wiara rozpałała ognisko, a naczelnik sięgnął po kapciuch z *caporal*em francuskim i lulkę zapalił.

Rad był i z siebie i z ludzi, fajkę sobie chwalił, a nucąc jakąś rzewną paryską piosenkę, na jedlniak podmokły spozierał, aż wzrok na wzgórzu zatrzymał: — wyborna dla armat pozycja — nieźrównana pozycja...

— O, głupi wojsko ruski! — fajkę wytrząsnął i ziewnął. Odpowiedzieli mu różnemi głosami żołnierze, przeciągający się błogo, w ciepłe ogniska z przyskającej świerczyny.

Nagle, potężnemi kłębami dymu buchnęło wzgórze, grzmot groblą potrząsnął, zaszumiały jęklive kartacze, i w tej chwili zwinęło się kilku na ziemi. Wrzask się podniósł okrutny — i zginął, jednostajnym złowrogim łomotem pokryty.

— *Les voilà!* — Rochebrune zawrzasał, lecz nim sformował kolumnę, już z głuchym okrzykiem zwarli się gromadą, zebrali w sobie i runęli z grobli. Sypały kule, ale już górą je niosło, a ciżba, wpół Zdrowaś, na baterję wpadła. Chwila i wśród ognia, pierś do piersi zapasów, u ślizgich, krwią dymiących lawet, smagane konie zatoczyły kregi, obróciła baterja, i w szalonym popłochu uciekał Czengiery.

Udarł kilku ludzi, pół setki zostawił.

Huczało wojsko, z płaczem całowali się wszyscy, szaleli. Rochebrune okrutnie żywo coś gadał, ale nie rozumiał go nikt; dopiero gdy dzielnemu żołnierzowi lży w oczach

zabłysły, pojęli go wszyscy. Kilkadzieciąt ramion zwróciło się ku niemu, i w górę, a w górę, aż z sił opadł zupełnie.

Przez Busk, Szaniec, ku Kielcom, z gór na łeb, dosłownie, Czengiery umykał, a nagłość ataku w taki szal strachu wprowadziła oddział rosyjski, że żołnierze w Staszowie, Busku, Pińczowie oddawali się wylekłym, zdziwionym burmistrzom w opiekę, broń u nich składając.

A Langiewicz? Langiewicz, kartaczami spłoszony, a słysząc jeszcze Czachowskiego strzały na tyłach, ze stropionem wojskiem w lasy się cofnął. I wojsko opuścił, naradzając się z Bentkowskim, nad bezpieczną ku granicy drogą.

Aż dziwnie, jak to trwoga jednego serca, we mgnieniu, zaraża tysiące. Ledwo Langiewicz w las uszedł, wnet szeregi kawalerji rwać się poczęły, a zanim je Czapski sformował, rozbiła w Wiślicy dragonja. Mniej liczna, mniej piękna, a rozbiła tak srodze, że z kilku ludźmi ledwo uszedł generał.

Zawodna sława „malowanych dzieci“.

Ale dzielny Francuz z kosynierami swój oddział połączył, gdy rota pułkownika Sorniewa, od wschodu, żwawo na nich natarła. Bohaterskim wysiłkiem zmęczeniu, odstrzelili się leniwo żuawi. Stary a cięty Śmiechowski już do ataku wiódł kosynierów, lecz nagle pod gęstym ogniem poczęły się łamać szeregi. Rochebrune'a żal ścisnął za serce, drogę im zaparł, z pistoletu trzasnął.

— Dzień dobhy! psiakhe... ktoha godzina... *en avant* — ryknął z płaczem, co umiał po polsku.

Tak ich rozbawił, a wzruszył, że drgnęły serca. Z grabowem drzewcem zwarły się garście sękaty, i poszli żeńcy... Za rotą, co nie zachwiała się nawet, a legła, ukrytą rezerwę z lasu wyparli i gnali uciekających, przed strasznym pokosem ze trzy wiorsty pono.

Mordem zmęczeniu, żywcem niewolników już brali i wró-

cili z kupą. W siwych, okrwawionych sukmanach, umęczeni kosiarze przyglądali się rosyjskiej piechocie, jak gdyby widzieli ją po raz pierwszy.

— Sielne chłopy, i w krzyżach szerokie, ale jak bokiem kosą zawinąć, a puścić, żeby ino furkła, to i dwóch z niego.

— Ale! Także dobrze od góry ich łupać.

— I od góry dobrze.

Rad stary Śmiechowski, a Rochebrune z żydem Rosenbergiem się spiera. Tak zuchwałą odwagą się w tym ataku odznaczył, że Francuz, nic innego nie mając, zegarek mu ofiarował.

— Ja pana pułkownika bardzo dziękuję... Ja miałbym lepszy, jakbym handlu pilnował.

I upominku nie przyjął.

Od upojonych zwycięstwem, lecz po rosyjskie manierki sięgających strzelców odszedł Grzybowski; z rozbity strzelbą ciągle miał troskę, bo przy niej majstrował, przez co i w myślach czuł bezład.

— I znów, jucha, puściła... Ale źle ociec robił, kiej chłopów buntował... I jakże mi teraz — kiej tamtemu śmierć zasądzona... Jakże mi teraz bez kolby... Gałgańsko bez kolby... A ojczyzna je pierwsza. I jakże? Jakże mi teraz, żeby tyle narodu ostawić bez głowy?

Westchnął. Jeszcze niżej łeb zwiesił...

— Hej, żeby ino miał drutu kawalek... Niema tam drutu? — krzyknął do strzelców..

— Jest, jest, pełna butelka... Bywaj, Grzybowski.

— Ano, trza ździebko. Może we łbie odmroczy.

Sosny górą się palą, zmierzch idzie. Choć głodno i chłód, wiara huka po lesie. I jeszcze przyszła uciecha, bo zjawili się chłopci z wieścią radosną, że siła napsuł Moskali pułkownik Czachowski. Wolna do Włecza droga.

— Wiwat, Czachowski!

— Jakby salwa baterji: „Jeszcze Polska nie zginęła“ — grzmot runął przez bór Grochowski.

Trwała radość niedługo, bo znów trzeba było się bronić, w rozsypce uciekać.

— — — — —
U podjazdu Barańskiej komory zatrzymała się bryczka. Wysiadł z niej człek niepozorny i w szubę niedźwiedzią zawinął, jakby głowę chciał ukryć, choć twarz pospolita, do tysiąca innych podobna, i cała postać, ni żołnierska, ni pańska, zgola nie zwracały uwagi, nawet zawzięcie czujnej, pod owe czasy, policji granicznej.

Z przyjezdnym wysiadł pacholek, w hajdawerach szerokich i kurcie zielonej, syn czy strzelczyk służebny, i obaj, z małym tobołkiem, do poczekalnej izby ruszyli, gdzie przysiedli skromnie, w kącie zacisznym, zdala od ciżby podróżnych.

Rzekłbyś — dziedzic, na małej dzierzawie, jedzie do urzędu.

Ale jak bywa zwykle: gdy ktoś ukryć się pragnie, wnet znajdzie się drugi, który go śledzi, tak też i teraz, chyłkiem za nimi, wszedł człowiek jakowyś, Węgier czy inny, jakich się mnóstwo włóczyło, i usiadł opodal, a w przestrzeń jakiś znak rzucił.

W zadumaniu na rękach się sparł, ale raz wraz, w stronę owych podróżnych błysnął oczami.

Nie przyjaciel to był, ale wróg i znać złe jego spojrzenia pochwycił czujny pacholek, bo ku staremu głowę pochylił i szepnął:

— Śledzą nas...

— Co się stało? Kto śledzi? Dlaczego? — jakby ze snu, nieprzytomnie, tamten się rzucił.

— Pod ścianą... W ciemnej opończy...

Z pod niedźwiedziego kołnierza, ostrożnie, okulary zwrócił w tę stronę człek niepozorny. Drgnął nagle, i jak gdyby mroźny wiatr wionął, głębiej w futro się zaszył.

— Mój człowiek...

Wtedy pacholek do kolan mu przypadł, jasną głowinę w ciemne kudły wtulił, ale z rzewności otrząsnął się wnet, i trwała cisza. Aż znowu ku starszemu się skłonił, błagając.

— Wróć!... Panie mój, wróć!... Klęska i hańba... Tamci biedacy oddali ci honor, krew, życie a ty... panie... W dniu zwycięstwa płacisz im... zdradą... — po twarzy pacholka potoczyły się łzy kobiece, rzęsiste.

— Zgubić mię chcesz... I ty? — z pod futra niecierpliwa ręka targnęła płaczącym. Przypadł do niej ustami.

— Uratować cię chcę... Cześć twoją... Oni biedni, głodni, bez wodza... Dziś, jutro pod szubienicę pójdą... Za co? Za wiarę w twoją przysięgę... Tyś Polak, tyś pan, a to... brzydkie, brudne!... Ja córka twych wrogów, Moskali, ja w oczy ci... Ja... Zgiń, marny człowieku! — i nagle płaczem strzelczyk rozjęknął, za nogi objął starszego:

— Panie mój!... wróć!

— Nie! Bo tam niema ratunku...

Opodał dźwiękły wydobywane z pochew pałasze. Równym krokiem, po dwóch, szło sześciu straży, wiódł ich szlachcic wielki, wąsaty.

Blady był, drżał, a choć silny z pozoru, na nogach się słaniał, jak gdyby nim skryty ból targał — —

— — — — —

Cichy i pusty bór Grochowski. Ten krzyknął: zdrada! tamten zapłakał; w różne strony ruszyły oddziały, niosąc krwi, życia ofiarę.

Na nowe walki, po nowe nadzieje, aż do klęski ostatniej, kiedy w pierś jedną sto bagnetów uderzy i nowe szubienice wyrosną, a okrzyk zwycięski — na sławę! — świętą Rosję ogarnie, od morza do morza.

I rok 1863 w wiecznotrwałym marmurze, złotemi cyframi na Kremlu rozbłyśnie, a ubogie krzyże powstańcze wróg wydrze z tej ziemi, mogiłami usłanej, bogato, jak żadna.



54468

~~53098~~

SPIS RZECZY

	Str.
Historja jednego podwórza	5
Złe miasto	177
63	233
